ST. ZABOROWSKI

W SERCU KNIEI

OBRAZY MYŚLIWSKIE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

W SERCU KNIEI

ST. ZABOROWSKI

W SERCU KNIEI

OBRAZY MYŚLIWSKIE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1914

JAK TRUBADUR.

Szanownym Państwu A. i H. Kieniewiczom, jako wyraz głębokiej wdzięczności, obrazek ten ofiaruje autor.

»Droga pójdzie ci przez błota,
Po nich długi pomost spłynie,
W oczeretach oko zginie,
A kraj smętny, niby słota«.
W. Pol: »Pieśń o Ziemi naszej«.

Grają, już grają! były depesze! Czarodziejskie słowa, które, jak zaklęcie, otwierają przed myśliwym zamknięty w nich świat cały. Pierwsze uśmiechy wiosny, urok życia budzącego się w przyrodzie, oczekiwanie i wspomnienia minionych, niezrównanych wrażeń myśliwskich. Wiosna, toki, doroczne święto; głuszce tokują. Czar idzie na myśliwego, żywiej bije serce, ciągnie coś do kniei, jak magnes. W mieście duszno czegoś, ciasno; miejsca sobie znaleźć nie można. Słychać, ten już pojechał, inny wyjeżdża.

Piękna jak kobieta i zmienna jak kobieta, co dnia inaczej i co dnia ozdobniej przyodziana, w potędze życia swego niewyczerpana, knieja stwarza może obrazy barwniejsze i w światło

bogatsze, niż poważny, szumiący las sosnowy. Siłą głębokiego uroku jednak z obrazów tych żaden nie dorówna puszczy poleskiej, kiedy ustępuje z niej zima, kiedy ciepłe już, miękkie, czuć w niej pierwsze tchnienie wiosny i kiedy o świcie tajemniczą pieśń swej miłości śpiewać w niej zaczyna głuszec. Jesienią, kiedy w kniei ryczy jeleń i »łamie« w ostępie wabiony łoś, bogaty, różnobarwny jak mozajka las wrześniowy, choć niezrównanie piękny, smutny już czegoś bywa, przesłonięty mgłą i jakby konający. Potem zimą, kiedy zaściele ziemię całun śniegu, kiedy gra trąbka w obławie, kiedy skomli w puszczy psiarnia stanowiąca zwierza; rankami na ponowie‘ kiedy mróz ściśnie i w słońcu miryadami zaświecą brylanty, knieja olśniewa. Od obrazów takich wrażenia idą na myśliwego, jak żywioł, wstrząsają, jak burza.

W puszczy, w głębokim ostępie zasypanym śniegiem, na obławie, równocześnie wyszły na mnie dwa niedźwiedzie. Byłem na stanowisku sam, bez strzelca, z jednym tylko podwójnym sztucerem. Jak huragan, jak nawałnica, zwaliło się na mnie wrażenie... Na Czarnym Lądzie, w słonecznej Afryce, w spotkaniu z lwem doznałem potężnych wstrząśnień, kiedy w zarośniętym, ciemnym wąwozie, w gęstych haszczach, idąc za ranionym zwierzem, o pięć kroków przed sobą, usłyszałem nagle jego ryk. W głosie tym

był ból, wściekłość, chęć zemsty i oczekiwanie Pewien byłem, że mnie widzi, że jego ryk to początek szarży, że chwila jeszcze, a ujrzę przed sobą łeb rozżartego zwierza. Były to chwile niezrównane, których najdrobniejsze szczegóły zachowam w pamięci na życie całe, których wspomnienie żywe przychodzi na mnie we śnie i na jawie dziś jeszcze, po latach. Dyana łaskawą była na mnie i nie skąpiła mi wrażeń głębokich, wstrząsających. Skala wzruszeń tych jednak nie wydała mi się nigdy tak rozległą i tak subtelną, stopniowe upajanie się chwilą i otoczeniem tak głębokiem, jak w cichym, uśpionym ostępie poleskim, kiedy w półmrokach świtu wysłuchać miałem i podejść tokującego głuszca. Uroku nokturnu takiego napróżno słuchać w innych wrażeniach myśliwskich! Polowałem dużo i najpiękniejsze bodaj chwile, jakie miałem w życiu, zawdzięczam kniei. Dziś, kiedy życie to jest u schyłku i kiedy czas pobielił głowę, do najcenniejszych klejnotów chowanych w skarbcu pamięci zaliczam wspomnienia, wywiezione z Polesia, z toków. W tych nocnych łowach, w których wszystko ciszą jest i zagadką, otoczenie samo, nastrój i świadomość, jak wielką rolę odegrać ma zręczność i zimna krew myśliwego, podziałać muszą na każdego. Noc taka wiosenna, zaczarowana, spędzona w puszczy dziewiczej; noc pełna uroku i tajemnicy, pełna zwodniczych

szmerów i poszeptów lasu, który czuwa i strzeże się wówczas nawet, gdy śpi, upoić musi i zagrać na nerwach każdemu. Sam głuszec wreszcie, ten upragniony cel łowów, ta zwierzyna dziwna, mistyczna prawie, niespotykana nigdy w świetle słońca, zwierzyna czujna, tajemnicza, którą, jak senną marę poranku, spędza jeden krok niezręczny, jeden gest nieopatrzny. Kto nie doświadczał lub nie dorozumiał czaru, jaki jest w tych wrażeniach, kto nie widział obrazów, jakie dają toki, i komu nie bije serce na ich wspomnienie, ten nie zaznał najwyższych i najwytworniejszych dreszczów, jakie myśliwemu dać może knieja.

Przygrzało słońce i odwieczna czarodziejka wiosna zeszła na ziemię. Jak świat szeroki, porywając wszystko, popłynęło potężną falą nowe życie. Rozkute rzeki wylały, na czarnej ziemi nieśmiałe, nikłe pojawiły się pierwsze kwiaty pierwiosnka; zbudzona ciepłem tchnieniem puszcza zmartwychwstaje. Co żyje, co biega po ziemi, co lata w powietrzu, poczęło weselić się, śpiewać i kochać.

Zwierz rzuca zimową szatę, przyodziane strojnie ptactwo śpiewne sprawuje gody. Ruszyli się i ludzie; narządzają pługi, szykują wozy i tylko patrzeć, pociągną w pole. U żłobów, w obejściu, czując młodą ruń, ryczy żałośnie dobytek. Na

wylewach, gdzie woda już ciepła, narady i niekończące się nigdy wiece odprawiają żaby. Są już i bociany. Krążąc w błękicie wysoko, upatrują z podniebia, gdzie założyć siedzibę, gdzie dzieci wychować. Nad łąkami, kwiląc żałośnie, uwijają się czajki żałobnice, a nad rolą, witając słońce pieśnią, zawisł, jak srebrny dzwoneczek, śpiewak wiosny, skowronek.

Kiedy na świecie ciepło i cicho, wieczorami ciągnie nad oczeretem słonka; z ługów, od lasu słychać bełkot tokujących cietrzewi. Ruch, śpiew i gwar wesela zawładnęły światem; życie aż tętni.

Zajrzało słońce do najskrytszych, do najmroczniejszych głębin puszczy. A gdzie przeniknął jego złoty promień, tam, jak za dotknięciem różdżki czarodzieja, budziło się ciepło, życie i miłość.

W zapadłem, głuchem uroczyszczu, za moczarami, od świata odcięty, zaszyty w gęstwę świerczyny, stary pustelnik, czujny, podejrzliwy głuszec odczuł wszechmocny czar wiosny i wraz z całym światem jął się gotować do weselnych godów. Co ranka, skoro świt, odświętnie odziany, w błyszczącym pancerzu na piersiach, strojny, buńczuczny, spada z hałasem na polanę i, roztoczywszy czarny wachlarz ogona, jak tarczę, powłóczy szumnie skrzydłami i szerokimi kręgi »znaczy« miejsce, na którem, jak rycerz z tur-

nieju, stanąć zamierza w szrankach do walki z rywalami, na którem, jak rycerz, otrzymać chce dań miłosną.

Lepszego miejsca trudno znaleźć w lesie całym.

Pod stropem gwiaździstego nieba rozległa, mszysta polana, pośrodku parę starych, wysokich świerków i rama gąszczów dokoła. Na jednym ze starych świerków właśnie, na upatrzonym zdawna, wybranym sęku, głuszec, jak herold, wyzywać będzie przeciwników, jak trubadur, śpiewać poranną pieśń wiosny i miłości. W świerczynie dokoła, patrząc na zapasy i słuchając śpiewu, zasiądą damy serca, gotowe nagrodzić zwycięzcę. A tuż, w gąszczarach nad błotem, w podszyciu, nie brak miejsc spokojnych, zacisznych na przygodne rozmowy we dwoje. Miejsca te zna dobrze niewidzialne a chytre pokolenie paziów-krechtunów, snujących się dokoła tokowiska.

Z dziadów, pradziadów polanę tę upodobał sobie okoliczny ród głuszców i, mimo związanych z nią tragicznych podań o losach przodków, powraca na nią wiernie, co wiosna. Nasz głuszec urodził się w blizkim ostępie, tu się wychował, tu wyrósł; tu jako krechtun uczył się pieśni i kosztował pierwszych, zakazanych owoców miłości. Minęły trzy wiosny, z krechtuna wyrósł gracz pierwszej wody, szermierz nad

szermierze, pieśniarz nad pieśniarze. Odwieczna sława tokowiska została utrzymaną i wiosną po dawnemu, z dalekich ostępów, ciągnie na polanę płeć piękna, nie chcąc ani pieśni nowych, ani nowego rycerza. Słońce czaruje go, wiosna i śpiew upajają.

W zapamiętaniu, pieśni i miłość ceniąc nad życie, nie baczy, że jego wróg odwieczny — człowiek — krąży dokoła, że go śledzi i że nań czyha. Co nocy, jak gwiazda, migoce przez gęstwę świerków dalekie, nikłe ognisko strażującego osacznika. Mróz czy słota, słońce czy mgła wstają z nad rojstu, cierpliwy poleszuk strażuje i czeka.

Aż wiosennego pewnego ranka, przed świtem, mrokiem nocy osłonięty, przez chytrego leśnika prowadzony, na polanę zakradnie się myśliwy. I, nim wzejdzie słońce, budząc śpiącą puszczę — zagrzmi wystrzał. Głuszec, królewski syn ostępów, jak trubadur, jak skrzydlaty rycerz »bez skazy«, zginie na oczach wybranej za pieśń, ostatniej aryi nie dośpiewawszy. Umrze w ekstazie, miłością, wiosną i śpiewem upojony.

Taką jest treść toków, takimi poleskie wiosenne łowy, takim sam motyw polowania. A na ten motyw wiosna, noc, las i wschody słońca wiecznie nowe i coraz piękniejsze układać przychodzą obrazy. Takie Polesie noszę w wyobraźni,

takie to obrazy, jak perły, chowam głęboko w skarbcach wspomnienia.

»Snują mi się niekiedy, jakby senne mary,
Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary,
Lasy ciemne i gęste, jak gdyby jaskinie,
Rzeka, co między łozą a sitowiem płynie».

W pamięci »jakby senne mary« mam tyle, tyle innych niezrównanych, nigdy niezapomnianych obrazów, zbieranych na gościnnem Polesiu przez lat dziesiątki. Nocne wyprawy do kniei, kiedy o pierwszych kurach, przy światłach, w ciemne, mgliste noce wiosenne ruszano na toki. Świecąc krwawo kagańcami, małe, leśne wózki poleskie wychodziły z podwórza i, ciągnąc w różne strony świata, jak błędne ogniki, migotały w ciemności coraz dalej, coraz słabiej, aż światełka gasły, zanurzywszy się w czarnych otchłaniach puszczy.

Pozostawieni własnym losom, samowtór z osacznikami, myśliwi tonęli w ostępach, jak w morzu. Tylko niekiedy daleki, głuchy, doleciał wystrzał sąsiada, który doszedł głuszca. Po dniu, kiedy słońce było wysoko, wózki pojedyńczo ściągały z lasu.

Lipcowe wschody słońca, widziane z łodzi, na rzece; dokoła pachniało wodą i tatarakiem, na każdej kiści trzciny, na każdym liściu, na każdem źdźble trawy błyszczała, jak dyament

kropla rosy. Powietrze, jak kryształ, samo szło do piersi, niebo nad światem było bez chmur, lazurowe, a z nad czarnego lasu, pod którym czaiła się reszta białej mgły, tryumfalnie, jak ognista, złota kula, budząc knieje i oczerety, wznosiło się słońce — coraz wyżej. W pełni letniego swego rozkwitu, w całem bogactwie barw i zieloności, wonna, strojna ziemia dyszała życiem i siłą.

Parta wiosłem osacznika-rybaka, łódź lekko mknęła po rzece i, obcierając się o wysmukłe trzciny, strącała krople rosy, które spadały na wodę, jak deszcz. Przed łodzią szuwar chylił się i otwierał, potem rozkołysana, zielona ściana podnosiła się, zamykała i ogarniała nas gąszczem swym zupełnie. Płynąć tak można było mile dni całe i dokoła był wciąż ten sam zielony szumiący las trzcin i sitowi, nad nami przestwór błękitu i pod łodzią płynąca leniwo woda.

Gdzie nad brzegami rzeki był las, gdzie drzewa rosły zwarte, wysokie i gdzie nie dochodziły promienie słońca, na wodzie było ciemno i chłodno, jak w jaskini. W cichej, przejrzystej wodzie na dnie przesuwały się wodorosty, trawy i pokręcone, jak węże, łodygi grążeli.

I wydawało się chwilami, że nie my płyniemy, że łódź stoi w miejscu, a przesuwa się pod nami, uciekając, dno rzeki.

W miarę, jak przygrzewało ciepło, roić się

poczynał w niezmiernem swem bogactwie, wylęgły w słońcu i wilgoci, cały tajemniczy nieznany świat wodny — świat istot, którym życie daje lato i moczar. Przelatując z trzciny na trzcinę, czepiając się listków łozy, migotały w świetle, jak żywe opale, jak cząstki tęczy, leśne »panienki« z przejrzystemi skrzydłami, różnobarwne muchy i motyle. W tysiącznych odmianach i postaciach, po liściach sitowia i tataraku, po płaskich, okrągłych nenufarach i po wodzie pełzały chrząszcze wodne; przed łodzią, w toni, śmigając jak srebrne strzały, jak iskry, migały między łodygami trzcin i sitowia drobne rybki. Pod brzegiem, rzucając na dno cień, przesunęło się czasem długie ciemne ciało szczupaka czy suma. Z nadbrzeżnych szuwarów podnosił się bąk, albo czapla, a na czystych zwierciadłach wody między oczeretem, między kolistymi liśćmi grążeli i między białymi kwiatami wodnej róży, wodziły się stadka kaczek i cyranek, które kryły nurka przed łodzią.

Spokój i wesele istot, które radują się życiem, były dokoła. Świat śmiał się do wschodzącego słońca. W południe, kiedy z nieba padał żar, na moczarach i na rzece panowała cisza. Od lasu w balsamicznem, ciepłem tchnieniu zalatywał zapach nagrzanej żywicy; między drzewami brzęczały leśne pszczoły, zajęte robotą. Śpiąc w blaskach słońca, rzeka leżała bez ru-

chu, jak wielkie, olśniewające zwierciadło; za rzeką, nad łąkami trzęsło się w skwarze powietrze. A łowy na grubego zwierza, zimą, po śniegu! Ruszano do kniei skoro świt, kiedy nad białym, mroźnym światem, jak płomień, świecąc czerwono, wschodziło słońce, kiedy nad puszczą, naprzeciw gasł blady, zimowy miesiąc. Pod welonem szadzi, co z nocy obsiadła drzewa, las krył się, jak panna młoda; na łąkach, zasłanych obrusem ponowy, strzelając w oczy iskrami, lśnił się puszysty śnieg. Świat cały był tam, jak jedna jasność, a czarne knieje przed nami, jak wielka obietnica.

Mróz szczypał twarze, z koni buchała para, pod płozami śnieg skrzypiał i śpiewał. Na saniach, posforowane, rwały się skomląc ogary. Wracano pod wieczór, o zachodzie, kiedy mróz ściskał ziemię i kiedy na niebie zapalały się pierwsze gwiazdy; przez bory zasypane śniegiem, przez głębokie ostępy, przez usypiający już mroczny las i przez otwarte, zasłane białe »hałe« łąki, niknąc i pojawiając się znowu, jak niekończący się długi, szary wąż, wił się korowód nizkich, jednokonnych sanek. Do sioła, gdzie czekał dach, ogień na kominie i nocleg, prowadził konny strzelec miejscowy, w wilczej kapuzie na głowie, z torbą borsuczą i rogiem przez plecy. Za myśliwymi szły sanie ze zwierzyną, z psami i z kuchnią. W siołach, poprzez małe,

zadymione szybki w chatach, ludzie patrzyli ciekawie, jak to »pani« wracają z obławy. Nad siołem, prosto jak świece szły na czyste niebo dymy. Z dymów tych osacznicy wróżyli pogodę na dzień następny.

Hej Polesie! . . . .
»Tajemny, dziwny urok w mych oczach obwiewa
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa«.
Syrokomla: «Ulas«.

Polesie! Bryniów, Słobódka, Chotynicze, Dąbrowa! Ile nazw, tyle wspomnień, tyle przeżytych wrażeń niezatartych, tyle odwróconych kart życia, tyle dobrych, jasnych chwil, których los nie powtórzy, które nie wrócą nigdy.

Jak z mgły, w pamięci wstają obrazy żywe, barwne, jak gdyby nie leżał na nich pył czasu, jak gdyby wszystko, co minęło, działo się wczoraj! Budzą się wspomnienia i, pełne ruchu, korowodem snują się na ekranie wyobraźni. W pamięci i w sercu leży ich dużo, zapisanych głęboko, może godnych opowieści.

Ale to skrytek takich strach czasem otwierać, bo pogrzebane wraz z niemi śpią najpiękniejsze dni życia, młodość i — upojenia, które w tej sile i w tych barwach nie powrócą nigdy.

Wstają i tacy nawet, których dawno już nie oglądały oczy żyjących, którzy już śpią na cmentarzach poleskich, na piaszczystych wzgórkach,

pod odwiecznemi sosnami... Przychodzą, zjawiają się we wspomnieniach, jak żywi, ażeby zgasnąć w westchnieniu. Jak na zaklęcie, obrazy, ludzie, zdarzenia budzą się z przeszłości i stają przed oczyma.

Polesie! — Wśród głuchych puszcz za światem, w zapadłych kątach, na wyspach między błotami, rosną na piaskach lasy sosnowe i szary lud mieszka. Lasy ciemne, ponure, a lud spokojny, cichy, w ciężkiej doli od losu wydziedziczony. A taki odwieczny, taki pierwotny, jak puszcze, które go żywią, jak moczary, po których brodzi w czasie zalewu. Wszystko tam stare jakieś, zapleśniałe — takie, jakiem było przed wiekiem, za dziadów, pradziadów. Nie zmienia się tam nic, bo puszcze, trzęsawiska i przepaściste oczerety odgrodziły ziemie te od świata i nie dopuściły ani światła, ani postępu. Ludzie żyją tam po starym obyczaju, a świat, kraj i lud, jakby omszałe, jak senne i zamarłe.

Takie odniosłem pierwsze wrażenie i takiem widzę Polesie zawsze, ilekroć snują mi się, »jakby senne mary«, wywiezione stamtąd wspomnienia.

Jak dziś, pamiętam pierwszy mój przyjazd. Wjeżdżałem w inny kraj: żółte piaski, na błotach oczerety, szary lud. W dymie lokomotywy, miast brudnego węgla, czuć było smolny, balsamiczny zapach palonej sosny. Stacya była poleska prawdziwa, zaszyta w lasach, budowana

z drzewa, martwa. Groblą, dysząc, sapiąc, pociąg ledwie dowlókł się przed dworzec. Za stacyą, na podwórzu konało po wyciętym lesie kilka świerków niedobitków, obdartych, schnących, już nie dających cienia; u płotu uwiązane czekały podwody. Jednokonne wózki na osiach drewnianych, z maźnicami. Zaprzężone do nich, w hołoblach, małe, ledwie że większe od dużych psów, kudłate koniki skubały siano. Poczciwe, niepozorne szkapiny poleskie pełne zalet, które cenić, jak zasługują, nauczyłem się później. Przy podwodach ludzie byli brodaci, z długimi włosami, w czapach baranich, choć ciepło było na świecie i słonecznie. Odziani byli w samodział, szaro, w lipowych łapciach na nogach. Mówili mało, a krótkie, dymiące lulki, które trzymali w zębach, wyjmowali z ust tylko wówczas, kiedy chcieli splunąć.

Nad krajobrazem, mimo godziny południowej i mimo blasku słońca, w powietrzu było coś jak tęsknota, jak smutek. Żadna jaskrawsza barwa nie ucieszyła oka, nie wpadły do ucha ani miejscowy motyw, ani ludowa piosenka, dokoła było wszystko jak wypłowiałe, jak przygasłe — szare, senne, mgliste.

Pociąg, jak żółw, powoli wchodził na stacyę, posługacz powoli zabierał moje rzeczy z wagonu, powoli zaszedł wózek i powoli, stępa ruszyliśmy w drogę. Droga była, jak to na Pole-

siu, piaszczysta, ciężka, pełna korzeni i wybojów. Za stacyą tuż, rzucona przez błoto, zaczynała się grobla a w oddali, na widnokręgu, przesłonięta sinawem tchnieniem oparów, drzemała w słońcu długa, czarna ściana boru.

Takie było moje pierwsze wrażenie Polesia, najpierwsze i najgłębsze, którego nie zatarły już inne, doznane później, żywsze i więcej barwne. W powietrzu żywiczny zapach dymu, piaszczysta droga, moczar i za mgłą śpiący w słońcu las. A nad wszystkiem odwieczny spokój, cisza i nieuchwytny, nieokreślony smutek.

Los chciał, że pierwsza noc na tokach, na Polesiu, była najpiękniejszą może nocą, jaką widziałem w lesie. By uroczyć mnie i podbić od pierwszego wejrzenia, puszcza poleska nocy tej roztoczyła całą swą krasę i cały swój głęboki, nieskończony czar. Nad lasem miesiąc stał w pełni, noc była cicha, gwiaździsta, a puszcza, wiosenna już, już tchnieniem życia dysząca, ciepła, rozmarzona.

Z wielkich objawień przyrody, zrozumiałych dla zmysłów człowieka, żadne nie zmienia postaci swej i wyrazu tak bardzo i żadne też nie działa na wyobraźnię jego tak silnie i tak rozmaicie, jak las. Kiedy w pełni swych sił żywotnych latem, w zieleni cały i w kwiatach, rozpalony słońcem, pachnący rozchodnikiem i macierzanką, przesłonięty liściem las tworzy, mimo

ozdoby swej całej wstydliwy jest czegoś, milczący i tajemniczy.

W jesiennej szacie, kiedy liście spadają z drzew, kiedy w mgliste poranki błyszczy rosa i kiedy na przyrodę idzie już śmierć zimy, las, choć wysrebrzony szronem, choć mieni się w słońcu od złota i od szkarłatu, smutny jest i zadumany.

W ponure noce zimowe, kiedy wierzchołami sosen i jodeł potrząsa wicher, kiedy jęcząc gną się dęby i kiedy w czarnych głębiach kniei, wyjąc, rozpasze się zadymka, słodki, ciepły las letni staje się groźnym i złowrogim.

A jak inaczej działa na wyobraźnię posępny, poważny bór iglasty, nad którym na strzelistych, czerwonych filarach sosen wiszą sklepienia konarów i ciemny, iglasty strop koron, niż cienisty, przesłonięty tajemniczo, szepczący coś wiecznie, las liściasty.

Piękny zawsze, najwięcej uroku przedstawia las wiosną, kiedy pełen ponęt, pełen obietnic, i nieuchwytnych nadziei odrzuca zimowe szaty i budzi się do nowego życia; kiedy wre w nim, kipi życie, ruch, kiedy chórami odezwie się ptactwo i kiedy pierwsze pączki wypuszcza brzoza. Wiosna i słońce! Wielkie dwa źródła życia! Nie rozpoznać, nie zliczyć tych głosów, jakimi leśny świat wita na wiosnę wschód. Jak tło, jak wielkie, nieustające tremolo, dzień i noc rechocą żaby,

a na tem tle coraz to nowe, coraz inne głosy witają dzień: flet drozda, warczenie kszyków w przestworzu i gdzieś wysoko, pod chmurami żałosne, metaliczne trąbienie żórawi, ciągnących z północy. W kwietniową noc taką na Polesiu, byłem na tokach po raz pierwszy, a wiosna roku tego niezwykle była ciepłą i słoneczną.

Słońce było już nizko, a niebo, choć bez chmur, zimowe jeszcze i blade. Dojeżdżaliśmy do lasu, którego zębata, czarna ściana zamykała widnokrąg, jak mur. Z głównej kwatery ruszyliśmy wcześnie, na przedwieczerz, bo droga do ostępu, w którym polować mieliśmy tej nocy, jak to zwykle poleska droga, daleka była, leśna i przepaścista. Zresztą przeprawiać się przez brody na rzece, za którą leżało uroczysko, można było po dniu tylko, za światła. Noc mieliśmy spędzić w lesie, w »kureniu« i spać przy ogniskach. Pod lasem, w polach dzień był jeszcze i świeciło słońce. Po łąkach, nad zalewami, zabiegając o wieczerzę, poważnym, dostojnym krokiem chodziły bociany. Od błot, nad któremi tumanem wstawałą już mgła wieczorna, dolatywał daleki rozhowor ptactwa. Powietrze było ciche, wiosenne, zachód czysty, promienny, cały w zorzach; wieczór szedł ciepły, noc i ranek zapowiadały się pogodne.

Już pod lasem droga była ciężka, piaszczysta

i grzązka naprzemian, wyboista i pełna korzeni, na groblach koła zapadały się po osie. Na rzece, którą przejeżdżaliśmy brodem, woda poszła koniom do półbrzuchów i zalała dno wózka.

Tam dopiero, jadąc poleskim wózkiem, nauczyłem się podziwiać wytrwałość i roztropność nieocenionych koników miejscowych, dla których nie istniały ani trudności, ani przeszkody. Nie przestraszały ich trzęsawiska, ani toń, jak gdyby u nóg, obok kopyt, ukryte miały pletwy. Myślę, że gdyby kazano im piąć się na drzewa, posłuszne, cierpliwe szkapięta dokazałyby i tego. W nagrodę za te zalety i za nieocenione usługi, bez których podróż na Polesiu byłaby niemożliwą, czeka je bat w zaprzęgu i garść przegniłego napół siana na postoju.

Za brodem droga podniosła się i stała się piaszczystą; wjechaliśmy w zwarte świerkowe gąszcze. Ogarnął nas mrok, od puszczy w ostrem, aromatycznem powietrzu lasu, powiało resztą zimy, która taiła się jeszcze w jego głębiach. W półmroku wieczora barwy lasu zacierały się, pociemniała zieleń świerków i sosen, głąb kniei stała się czarniejszą, więcej tajemniczą; tylko, jak leśne duchy, świeciły jeszcze białą swą korą brzozy. W wieczornym usypiającym już borze nastała chwila martwoty i ciszy zupełnej, chwila, kiedy dzień umarł już, a noc nie zapadła jeszcze, kiedy milknie gwar dzienny, a nie ozwały

się jeszcze nocne odgłosy kniei. Dokoła puszcza już była szczera, dziewicza, ledwie dotykana ręką człowieka. Drożyna, wązka, piaszczysta, wiła się przez las, jak wąż, tonąc miejscami w gąszczach, jak w tunelu. Pełno było wykrotów, łomu, nietkniętych zawał, pni potrzaskanych wichrem i suszu postrącanego z drzew przez zimowe śniegi. Po skórze przechodził rozkoszny dreszcz, wstrząsający myśliwym, który wita knieję. W lasach tymczasem utonęliśmy zupełnie. Ledwie gdzieniegdzie, nad wypaleniskiem lub nad pólkiem wydartem puszczy pod pług, zaświecił między czarnemi ścianami boru szmat nieba. Na pasiekach, parokrotnie, spotykaliśmy wyprzężone wozy, konie i ludzi, warzących przy ogniu wieczorną strawę.

Co roku, na wiosnę, chłop poleski ciągnie do lasu taborem; wywozi nawóz i uprawia co dalsze polany. Koczuje wówczas dniami całymi i nocuje w lesie, pod gołem niebem. Jak za czasów, w których od puszczy groził zwierz, u ognisk cisną się ludzie, psy i konie. Tak bywało tam od wieków, za Kiejstuta i za Giedymina, takie obrazy, ciągnąc przez puszczę na łowy, widywali Jagielloni.

W miarę, jak zapuszczaliśmy się w knieje coraz głębiej, pasieki stawały się rzadsze, a ostępy głuchsze i dziksze. Miejscami, zakrywając niebo, korony drzew, rosnących po obu stronach drogi,

schodziły się i wówczas, mimo pogody i mimo miesiąca w pełni, ciemność ogarniała nas zupełna. Tylko przez gęstwę igieł, migocąc, świeciły gwiazdy. Przy bagnach i nad łąkami las był szczególnie bujnym, podszycie zwartem. W miejscu takiem właśnie, kiedy szyliśmy się przez gąszczar młodej jedliny, koń w wózku rzucił się, żachnął i począł chrapać.

— Szczo heto, Maksym?

— Et niczeho, pane, uołka poczuł — prokliatoho. Hee — nuu! — odpowiedział woźnica, ściągnąwszy konia batem.

— Ha! Może być — pomyślałem w duchu — toć jesteśmy w kraju głuszców, łosi i wilków. W każdym razie odpowiedź, epizod sam i nocna ta podróż cała nie pozbawione były smaku i nastroju. Wstęp przedstawiał się obiecująco.

Na ziemię tymczasem schodziła noc i gwiaździstym swym płaszczem kryła Polesie, puszcze, przez które ciągnęły nasze wózki, drobne ludzkie zamiary i nadzieje, które wieźliśmy z sobą. Czarny las szumiał nad głowami, a nad lasem, srebrząc wierzchoły świerków i sosen, białe brzozy i drogę piaszczystą, coraz wyżej i wyżej wznosił się jasny miesiąc i przeglądał się, jak w zwierciadle, w wodzie błyszczącej w oczeretach. Mimo mroku i mimo nocy, las nie spał jednak i coraz to nowymi głosami oznajmiał

się, że czuwa. Gdzieś daleko odezwał się puszczyk, w gałęziach załopotał spłoszony ptak, albo, ruszywszy przez gąszcze, zaszumiał zwierz. Po groblach przejeżdżaliśmy przez bagna, mijaliśmy pasieki, polany, zwarty las i oczerety. Konie ustały i sapiąc, wlokły się ledwie.

Droga była coraz trudniejsza, godzina późna i, wnosząc po księżycu, ujechaliśmy nie byle szmat drogi. Znużony byłem, senny i, kiwając się na wózku, jak żyd, poczynałem drzemać, kiedy w ostrem, chłodnem powietrzu kniei zaleciał mnie dym. Zawietrzyły go snadź i nasze konie, bo niepopędzane ruszyły żywiej i, parskając, śpieszyły na postój. Kureń, przy którym czekali na nas leśnicy z wiadomością o głuszcach, musiał być blizko.

— Ot i Medweżi — zwrócił się do mnie, objaśniając, Maksym.

Przez gęstwę zamajaczyło światełko, raz, drugi i błyszczało między drzewami coraz wyraźniej. Jeszcze sto kroków, zastukały koła na korzeniach, z polany koń zarżał, stanęliśmy w kręgu światła u ogniska.

Pod wielkim, rozłożystym świerkiem buchał ogień a przy nim siedział stary leśnik z fajką w zębach i gotował coś w wielkim blaszanym czajniku. Kiedy podjechaliśmy, przesłonił oczy ręką i podniósł się, a z szałasu, nadziewając kożuchy, wyszło dwóch jeszcze ludzi i, przywi-

tawszy się, ruszyli ku wózkom wyjmować broń naszą i myśliwskie manatki. Leśnicy po imieniu zwali się: Harasym, Moroz i Karpiej. Niejedną z nimi dobrą chwilę spędziłem w lesie, bliższą jednak znajomość zawrzeć i pokumać się z przyszłymi przyjaciółmi miałem dopiero nazajutrz.

Wiadomości były dobre; głuszców pewnych »zasadzonych« z wieczora na tokowiskach było aż pięć. Dwa grały blizko, w ostępie zwanym »Medweżi« zapewne od misia, którego widziano czy zabito tam przed laty. Te właśnie głuszce przeznaczone były dla mnie, bo, jak mówił mój towarzysz, uroczysko było suche, ostęp bez łomów i zawał a głuszce »łatwiejsze«

Na przewodnika, na mentora, który kierować miał mymi pierwszymi krokami, dodany mi został Harasym. Jako początkujący, dostawałem i lepszy ostęp i najdoświadczeńszego, wypróbowanego leśnika. Osacznicy zresztą pełni byli najlepszych nadziei, bo noc cicha, pogodna, ranek zapowiadała dobry, a głuszce z wieczora zasiadały hałaśliwie, śmiało; »poprawiały się« i, przelatując z miejsca na miejsce, zmieniały drzewa po kilka razy. Zapowiadało więc wszystko, że o świcie tok będzie dobry. Tak obiecywał Harasym, a mówił jak wyrocznia, tonem nie dopuszczającym wątpliwości; widocznie pewnym był siebie i rzecz swoją znał dobrze. Nie tracąc słowa, słuchałem go skwapliwie. Na rozpytywa-

niach i gawędzie reszta wieczora minęła szybko, bo i wieczerza, którą przywieźliśmy z sobą, niewiele zabrała czasu. Przy świetle ogniska, zawczasu, przygotowałem broń i przybory, ażeby w ostatniej chwili nie tracić czasu i nie zapomnieć czegoś, szukając po omacku. Nasz mały obóz myśliwski powoli układał się do snu.

Mój towarzysz, nawykły widocznie do podobnych noclegów, chrapał na sianie okryty futrem, osacznicy i woźnice spali już dawno w swoim kureniu. Tylko stary Harasym, gawędząc półgłosem, dorzucał drew do ognia i, popijając herbatę z czajnika, dotrzymywał mi towarzystwa. Spojrzałem na zegarek, nakręciłem go — była jedenasta.

— Czas i na nas — pomyślałem.

Po chwili zapanował spokój i cisza, którą mąciły tylko konie, skubiące siano u wózków.

Spaliśmy w szałasie, przed którego otwartą ścianą, trzaskając wesoło, paliły się w ognisku całe kłody świerkowe. Z rozkoszą wyciągnąłem się na sianie, którego nie żałowano, lecz, mimo znużenia i rozbitych drogą kości, usnąć nie mogłem. Słuchałem z zazdrością chrapania, dolatującego z drugiego kurenia, i zapatrzony w ogień, łowiłem odgłosy, lecące od lasu. Cisza była, pełne gwiazd niebo bez chmur i najlżejszy wietrzyk nie poruszał igłami. Mimo to puszcza żyła i wielkiem, nieobjętem tchnieniem życia przy-

rody szumiała. Czy szum ten był milionem szmerów, zlewających się w jedno, czy szeptem śpiącego lasu, czy może wyobraźnią tylko, nie mówiły ani zmysły ani świadomość. Poszept głęboki był, jak morze, a w równej, jednostajnej jego fali odróżnić ledwie można było pojedyńcze szmery, dla ucha zrozumiałe: szelest gałązki, spadającej z drzewa, szum skrzydeł ptactwa, ciągnącego nad wierzchołkami, i dalekie, jak z pod ziemi idące, wycie wilka.

Ogień na polanie przygasł, pociemniało, czarne ściany lasu urosły jeszcze; przesloniły niebo i podeszły bliżej, jak gdyby puszcza chciała ogarnąć nas i wchłonąć. Znużenie, nadmiar wrażeń a nadewszystko otoczenie i ten głęboki, nieuchwytny szum, ten szept kniei, miały w sobie coś dziwnie odurzającego, coś, co upajało i usypiało, jak narkotyk. Świadomość zlewała się w jedno z życiem śpiącego lasu. Sąsiedni kureń, nasze wózki i co dalsze przedmioty na polanie zacierały się, rozpływały w mroku i wsiąkały w czarne tło lasu coraz zupełniej. Przeświecając czerwono żarem, w ognisku przed kureniem tliły się reszty zarzewia. Upojony, oszołomiony, nie wiedząc jak ani kiedy, ze stanu takiej półświadomości przeszedłem nagle w głęboki, kamienny sen, w którym utonęło wszystko: ognisko, puszcza, kurenie. Nie długo tak spałem, bez

snów i bez czucia, kiedy targnięto mnie za ramię i obudzono.

Ocknąłem się z wysiłkiem, nie odrazu i, otwarłszy oczy, ujrzałem nad sobą brodatą twarz Harasyma.

— Pora, trubaczy uże trubiat! Wstawat' proszu, pane!

Przez pół śpiąc jeszcze, nie rozumiałem czego chce, co mówi osacznik.

— Czeho, szczo ty każesz, Harasym?

— Żórawi, pane, hołos podajut — dień — pora.

Przez śpiący las, oznajmiając jutrznię, jak hejnał leśny, jak pobudka, przeciągłe, żałosne, do odgłosu trąby podobne, przez las niosły się nawoływania żórawi, witających ranek. Tak, co nocy, przed świtem, o tej samej porze, jak czaty, czujne, stróżliwe ptaki podają hasło: z ostępu do ostępu, z puszczy do puszczy. Przez leśne szlaki, poprzedzając słońce, leci hasło przez knieje, przez błota i przez oczerety — daleko, aż gdzieś pod Smoleńsk i pod Mohylów.

Tak budziłem się na Polesiu pierwszego ranka, takie miałem pierwsze »dzień dobry«, tak powitała mnie puszcza poleska. Powiało na mnie życiem przyrody dziewiczej, pierwotnej, nietykanej jeszcze świętokradzką ręką człowieka; przyrody rządzonej według praw własnych, odwiecznych, których człowiek nie rozumie często,

a które, miast podziwiać, miast korzyć się przed niemi, burzyć przychodzi i obalać. Nie przeczuwając, z czem przychodzę, knieja witała mnie jak swego, jak przyjaciela...

Niewiele czasu zabrała mi ranna tualeta. Mego towarzysza noclegu nie było już w kureniu. Drogę miał dalszą, trudniejszą przez błoto i moczary, po kładkach. Wyruszył był wcześniej, kiedy spałem jeszcze. Otrząsnąwszy się jak pies ze siana, zapaliłem papierosa i, prostując kości pełne jeszcze snu i znużenia, wyszedłem ze strzelbą przed kureń, gdzie u ogniska czekał osacznik.

Wstrząsnął mną dreszcz, trochę z oczekiwania i z niepewności, a trochę z chłodu, bo na świtaniu mróz brał i drzewa ubieliły się szronem. Miesiąc schował się już za ścianę lasu, lecz jasno było od gwiazd, od których skrzyło się niebo. Osacznik wziął moją strzelbę, podał mi kij do ręki i, milcząc, ruszyliśmy w knieję.

Ciemność była zupełna. Szara, zlewająca się z otoczeniem postać leśnika ginęła mi z oczu, co chwila. Syknięciem powstrzymywałem go wówczas i razem szliśmy dalej. Droga przez zwarty, ciemny gąszcz świerkowy łatwą nie była. Nogi plątały się w podszyciu i w łomie, leżącym na ziemi; potykaliśmy się na zwałach i na wykrotach, których było pełno, a których nie podobna było dopatrzyć po nocy; w twarz,

zrzucając kapelusz z głowy, biły gałęzie i kłuło igliwie. Szliśmy dość szybko i hałaśliwie, nie zważając na trzask suszu, pękającego pod stopami.

Idąc, rozmyślałem:

— Idę więc na głuszca, mam go zobaczyć niezadługo. Jak on wygląda, jak to będzie?... Czy w takich ciemnościach dopatrzę go, czy rozpoznam, czy odszukam go wśród gałęzi?...

Na pamięć przychodziły mi zasłyszane opowiadania i głuszce, które widziałem na obrazach lub wypchane. Takiego dojrzę chyba nawet pociemku, dodawałem sobie otuchy, spodziewając się zobaczyć ptaka wielkości indyka. Zresztą usłyszę go i wysłucham po głosie. Sądząc po wielkości ptaka, usłyszę jego głos na wiorstę chyba całą. Jeżeli mały cietrzew tokuje tak głośno, to cóż dopiero trzy, cztery razy większy głuszec. Las się zatrzęsie, kiedy się odezwie. Liczyłem wreszcie na leśnika, o którego wysokich zaletach i doświadczeniu słyszałem tyle i który, wnosząc z zachowania, wiedział najwidoczniej co robi, dokąd mnie prowadzi.

Szliśmy śpiesznie, śmiało i bez zbytniej ostrożności. Chwilami trudno mi było podążyć i, gubiąc się w ciemności, coraz traciłem go z oczu. Z wysokopiennego, ciemnego lasu wyszliśmy na jasną równinę, porośniętą z rzadka karłami so-

sen, na której wśród wrzosowisk brnąć trzeba było miejscami przez smugi wody.

Teraz osacznik szedł wolniej, ostrożniej, odzywał się szeptem tylko, coraz podnosząc rękę, zatrzymywał się i, nastawiając ucha, słuchał co powie mu las. Ale las milczał i na pytanie starego leśnika nie odpowiadał jeszcze. Idziemy, chwila postoju, nasłuchujemy i — wciąż ta sama głucha cisza; las spał.

Noc była jeszcze, ale w powietrzu, po barwie nieba i po gwiazdach czuć było, że świt tuż, że ranek już niedaleko. Między wierzchołami sosen, wysoko, igrać poczynał nad lasem wietrzyk poranny; nizko nad ziemią, przeświecając przez gęstwę, miesiąc zachodził. W puszczy przeciągle, donośnie nawoływały żórawie, a wraz cicho, nieśmiało, jak gdyby zapytując czy już pora, zakwilił na drzewie mały jakiś ptaszek. Pozatem cisza w lesie była głęboka, zupełna, aż dzwoniło w uszach.

Na nerwach, jak na strunach, grał najlżejszy, każdy szelest, najcichszy szmer: spadający liść, tarcie igieł poruszanych wiatrem. Niebo stawało się coraz bledszem, gwiazdy gasły, a głuszec milczał; nie słychać było nic. Wstrzymując oddech i nasłuchując, staliśmy tak kwadrans, pół godziny może — nic; las milczał, jak zaklęty. Leśnik odwrócił się, popatrzył w stronę, od której wschodzić miało słońce, i szepnął:

— Bileje, wraz dień.

Już poczynałem wątpić, już przestawałem wierzyć, kiedy z ciemnej, tajemniczej przestrzeni, z głębi kniei, dziwny, nieoczekiwany, ledwie uchwytny dla ucha, doleciał głos, jak klaskanie kastanietu, jak stłumiony, daleki klekot bociana. Głos ten odezwał się raz, drugi i ucichł; milczenie zaległo głębsze jeszcze. Klaskanie powtórzyło się jeszcze i jeszcze raz — i znowu była cisza.

Leśnik skulił się, przyczaił, spojrzał na mnie i, ręką nakazując milczenie, szepnął:

— Poje.

Pomimo ciemności widziałem, jak błyszczą mu oczy. Więc to był głuszec! Dziś ze wstydem wyznać muszę — doznałem rozczarowania. To był głos głuszca, to ciche, głuche klekotanie — głos głuszca! To miała być ta sławna pieśń, o której nasłuchałem się tyle. Inaczej, ach, jak inaczej przedstawiałem ją sobie! O ileż dźwięczniejszą, donioślejszą! Wrażenie miałem, że spotyka mnie zawód. Osacznik nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, podał się naprzód i dał mi znak, że idziemy. Kiedy skończyło się klaskanie, rzucił się, zrobił dwa duże kroki i stanął. Znów głos — pauza, podczas której nie słychać nic, znów dwa kroki i stajemy, jak wryci.

Rozumiałem, że naśladować mam ślepo ruchy i zachowanie się osacznika, choć nie pojmowa-

łem, dlaczego idziemy, kiedy głuszec milczy i posłyszeć może, a stajemy i zachowujemy się ostrożnie wtedy właśnie, kiedy dochodzi nas jego głos. Rozumiałem także, że nie czas na wyjaśnienia i pytania, a każdy niebaczny ruch, każdy hałas lub nieostrożność zgubić może całą sprawę. Szedłem więc za leśnikiem, jak cień, nieledwie stopy stawiając w jego ślady. Kiedy rzucał się naprzód, biegłem i ja, kiedy przystawał, zatrzymywałem się jak umiałem najciszej i, oddech hamując w piersiach, czekałem co dalej. Biegnąc, nie stawialiśmy więcej niż dwa lub trzy kroki. Stąpając, Harasym nie zachowywał żadnej ostrożności; pod nogami trzaskały łamane gałęzie suszu, po cholewach biły krzewy podszycia i pluskała woda w ługach, przez które wypadało przechodzić. Szliśmy więc dość hałaśliwie, prosto na głos. Zato, kiedy wypadło zatrzymać się, staliśmy cicho, jak pnie. Harasym aż głowę tulił w ramiona. W lesie zalegała wtedy zupełna, głęboka cisza, w której słychać było nasz rzężący, śpieszny oddech i dalekie jeszcze klaskanie głuszca. Nie rozumiałem, dlaczego możemy hałasować, kiedy on milczy i posłyszeć może, a zachowujemy się cicho właśnie wtedy, kiedy gra.

Uszliśmy w ten sposób sto kroków, dwieście może. Klektanie słychać było coraz wyraźniej, coraz donośniej. Teraz dopiero zauważyłem, że

w chwili, w której zatrzymujemy się, od strony, skąd dolatuje nas głos ptaka, prócz klaskania słychać syczenie jakby, czy tarcie, po którem następuje pauza i znowu klaskanie. W przerwie między okresami klaskania osacznik robi dwa kroki naprzód, potem zatrzymuje się i, nasłuchując, nieruchomo czeka. Chcąc usłyszeć wyraźniej co głos ten oznacza, chwyciłem leśnika za pas od torby i gestem dałem mu znak, że posłuchać chcę, stojąc. Zagrał: naprzód, powoli, staccato kastanietu; stopniowo coraz śpieszniejsze, coraz wyżej brane, coraz głośniej, aż w końcu jedno klaśnięcie głośne, donośne, jak odgłos korka wyjmowanego z butelki, i bezpośrednio rulada dźwięków nieoczekiwanych, zdumiewających, nie podobnych do żadnego z odgłosów znanych w przyrodzie. Coś niby syczenie, w którem przeważa litera x.

Płynący namiętnie, dygocząco w tym nocnym cichym lesie głos dziwny, zagadkowy.

— Czy to on? — spytałem leśnika wzrokiem.

Skinął mi głową, że tak.

Aha, pojąłem teraz, zrozumiałem: Pieśń głuszca, o ile głos ten pieśnią nazywać można, składa się z dwóch różnych części, z dwóch niejako strof. Pierwsza to klaszczące staccato; druga — zapamiętała, sycząca rulada, którą usłyszeć trudniej. Podczas pierwszej, ptak w pełni swych zmysłów strzeże się, czuwa i słyszy, pod-

czas drugiej, uniesiony namiętnością, staje się głuszcem niebacznym na otoczenie, na hałas i na niebezpieczeństwo. Podczas pierwszej strofy płoszy go najlżejszy szmer, podczas drugiej strzelać można choć z armaty, nie słyszy. Podchodzić więc można tylko podczas drugiej części, i zatrzymać się trzeba, nim ptak ją skończy. Nazywa się to podchodzić głuszca »w takt pieśni«.

Ruszamy dalej. Teraz, kiedy pojmuję taktykę naszego zachowania się, kiedy wiem, że jeden gest, jeden ruch nieostrożny wystarczy, aby zgubić wszystko, budzić się we mnie poczynają nerwy i trząść mnie poczyna febra; nie odczuwam już rozczarowania. Wsłuchuję się w pieśni ptaka i, świadom ich znaczenia, obliczam każdy krok, każdy ruch. Posuwamy się, jak dwa cienie, cicho, ostrożnie, od pnia do pnia, od drzewa do drzewa.

A głuszec grał — grał zapamiętale, klaskał, syczał; pieśń szła za pieśnią, rulada za ruladą. Cała głębia lasu, cała knieja pełna była głosu, idącego na nas od tajemniczego śpiewaka. Nie zdawałem sobie sprawy, czy to już blizko, czy daleko jeszcze, choć słyszałem wyraźnie każdy ton, każdą nutę, każde syknięcie. W ciemnym, cichym lesie dźwięki te wydawały mi się dziwnie donośne i wyraźne.

Dniało tymczasem coraz więcej, gwiazd było

na niebie coraz mniej, z szarej, rannej pomroki wyłaniać się poczynało otoczenie coraz wyraźniej. Skradaliśmy się przez rzadki, wysoki las sosnowy, w którym, rzucone tu i owdzie, pojedyńczo czerniały piramidy świerków. O sześćdziesiąt kroków przed nami otwierała się przestrzeń jaśniejsza, błoto czy polana. Głuszec grać musiał na skraju, bo dalej większych drzew nie było. By nie przechodzić przez miejsca otwarte, na których jasno już było od świtu i od miesiąca, leśnik skręcił i szliśmy dalej zakryci drzewami, nad brzegiem lasu.

Szliśmy teraz wolno, coraz ostrożniej, coraz ciszej, krok jeden ledwie stawiając na raz. Kryliśmy się coraz usilniej za pniami drzew, tuląc się do nich, kiedy wypadło przystanąć. Osacznik, syn puszczy rodzony, był w swym żywiole. W mroku widziałem, jak jego szara postać, majacząca przede mną, garbiła się i kuliła, jak gdyby zapaść chcąc pod ziemię, to znów prostowała się i prężyła, kiedy, jak kot, przerzucał się od drzewa do drzewa. Coś żywiołowego było w jego ruchach, coś z drapieżnego zwierzęcia, skradającego się do zdobyczy. Z początku stary otaczał mnie opieką, odwracał się i ręką dawał mi znaki, kiedy czekać i kiedy biedz należy. Po chwili jednak, widocznie uznawszy, że rzecz pojąłem i zachowuję się dobrze, pozostawił mnie własnym losom i wsłuchiwał się już tylko w pieśni

grającego głuszca. Czuć było, że cała istota starego leśnika, cała jego myśl, cała dusza są tam przed nami, gdzieś w ciemnym lesie porwane, skupione w jeden punkt, w jedno miejsce, które odgaduje, które siłą swej wyobraźni widzi może od którego nieprzepartym prądem idą na nas — namiętność i pożądanie.

Gorączka ogarniała mnie coraz silniej, urok i czar tego nocnego polowania odczuwałem teraz w całej pełni. Jest — tajemniczy, jak zagadka, czujny, niedostępny, jest przed nami gdzieś w ciemności, zasłonięty nocą, jest — coraz bliżej. Gra! słyszę coraz wyraźniej. Czy zdołam go zobaczyć, czy będę dość ostrożnym, czy będę strzelać? Pytania jak błyskawice lecą mi przez głowę. A on tam jeden jest tylko, jeden, upragniony. Jedna pomyłka, jedna nieuwaga — przepadnie wszystko. Straciwszy tę sposobność, długo czekać będę na drugą. To nie stado kuropatw — nie bażanty! Na nic podróż, na nic noc nieprzespana, na nic zachody. Jedna przez drugą myśli lecą, spychają się, plączą; bije serce, z piersi prze coś do gardła i świszczy w oddechu.

A on gra, jak gra! Gra znowu, zapamiętał się, roztoczyć chce przed nami cały swój kunszt, cały zachwyt miłosny, całe upojenie. Las cały kipi i syczy od jego śpiewu, od jego pieśni; sto głuszców gra, nie jeden! Aż dziwno, jak ten głos wypełnia knieję. Namiętność jego przechodzi na

nas, czuję, że drżę, jak w febrze. Znowu pieśń — skoczyliśmy. W pół kroku leśnik stanął, jak wryty, aż oparłem się piersią o jego plecy. Głuszec jak nożem uciął. Zatrzymałem oddech i pewien, że stracone wszystko, z bijącem sercem czekałem, kiedy się zerwie.

Dostrzegł nas widać, czy posłyszał — myślałem w duszy — zaraz rozlegnie się łopot jego skrzydeł. A przecież szliśmy tak cicho, tak ostrożnie; do ostatniej chwili grał tak dobrze!

Nie zrywa się jednak; jest jeszcze nadzieja — czekamy. Równie dobrze jak osacznik wiem, że losy nasze rozstrzygają się teraz właśnie, teraz zdradzi nas najmniejsza nieostrożność. Czujny ptak podejrzewa coś i najlżejszy szmer, najmniejszy ruch spłoszy go z pewnością.

Tak ocenia położenie i stary Harasym, bo cały zasłuchany, bez ruchu i bez gestu stoi przede mną, nieruchomy jak głaz. Coś dziwnie drażniącego, dziwnie męczącego było w tem oczekiwaniu. Nasłuchujemy, lecz wiemy, że z niemniejszą uwagą słucha i głuszec, czekając czy nie zdradzimy się przypadkiem, czy nas nie odkryje. A on zmysły ma subtelniejsze i lepsze, niż nasze. Odezwie się jeszcze, czy nie odezwie, czy będzie grać jeszcze, czy też spłoszony odleci? Od tego zależy wszystko, a my bezradni, bierni możemy czekać tylko i słuchać. Nasze losy nie leżą już w naszych rękach i wpłynąć

na nie nie mamy sposobu. Musimy być cierpliwi i — czekać. A może?... Minęła tak minuta, dwie, pięć: w piersiach serce bije jak młotem, nic — głuszec milczy. Świta, już wyraźnie dnieje, niedługo wschodzić będzie słońce, a z każdą chwilą prawdopodobieństwo powodzenia jest mniejsze. Za dnia nie podejdziemy głuszca.

Już w lesie odzywać się poczynają głosy ptactwa; pojedyńczo naprzód, potem coraz nowe, coraz liczniejsze i coraz głośniej. Las budzi się i zaczyna żyć. Nad lasem, kwacząc rozpaczliwie, ucieka przed kaczorem krzyżówka, słychać, jak lotki świszczą im w skrzydłach. Na świerku, tuż nad naszemi głowami zawodzi już ranne swe tryle drozd, w powietrzu, w przestrzeni to wznosząc się, to zniżając, warcząc skrzydłami, jak wielki żuk, brzęczy kszyk. Między wierzchołami sosen, chrapiąc i poświstując, wije się, jak wielka, czarna ćma, słonka. Chórem las cały śpiewać poczyna wielki, poranny hymn życia i światła. Miesiąc, skończywszy nocny swój ob, chód, już niepotrzebny światu, odchodzi spocząć. Jeszcze chwila, a zacznie się panowanie słońca. Świt, ranek, cała puszcza, cała przyroda śpieszą witać gwiazdę dnia, źródło życia.

Już na niebie różowa, nieśmiała uśmiechać się zaczyna jutrzenka. Nadchodzi chwila bogów, lecz my nie przyszliśmy podziwiać tych cudów nie bierzemy udziału w tem wielkiem święcie

Jesteśmy jak świętokradcy; do świątyni wiosny zakradamy się, aby wnieść do niej śmierć i żałobę. Dla nas, jak dla ducha ciemności, noc jest potrzebną. Kiedy zaświeci słońce, musimy odejść, bo zamiary nasze i pożądania boją się światła.

...Nareszcie — nareszcie — odezwał się. Naprzód upragnione staccato, wolne, ostrożne, jak gdyby wahał się jeszcze, jak gdyby wywabić chciał kryjącego się może wroga, jak gdyby próbował tylko głosu. Chwila przerwy — nasłuchuje. Klaszcze raz jeszcze i jeszcze raz, aż zagrał pieśń całą. Osacznik jednak nie ruszał się z miejsca i słuchał. Czekał widocznie, aż głuszec uspokoi się, zapomni o podejrzeniach i rozśpiewa się na nowo. I, jak przed chwilą, popłynęły pieśni namiętne, zapamiętałe, niebaczne na śmierć, która była już tak blizko. Zagrał — zasyczał, skoczyliśmy; biegnąc, odprowadziłem zasówkę u strzelby. Czając się za świerkami, za pniami sosen, posunęliśmy się jeszcze piętnaście, dwadzieścia kroków może. Leśnik przypadł do grubej sosny, przywarł do niej i, wychyliwszy głowę, począł wypatrywać.

Jeszcze pieśń jedna. Stanąłem za nim. Głuszec grał tuż, nad nami prawie. Staliśmy nad polaną na brzegu lasu, blizko przed nami rosło kilka gęstych, zwichrzonych sosen, a za sosnami, nad ziemią, na czystem niebie wisiał, jak srebrna misa, blady zachodzący miesiąc. W takt pieśni,

ledwie poruszając ręką, osacznik pokazał mi jedną ze sosen i, szepnąwszy: »sidit«, zamarł z podniesioną dłonią. Gra, znów gra, słyszę każdy ton, każdą modulacyę pieśni, słyszę, jak szeleści piórami, na głos mógłbym strzelać prawie, ale dopatrzyć go, dojrzeć wyraźnie nie mogę. Na moje biedne, miejskie oczy zmęczone drukiem jest za ciemno — nie widzę. Leśnik, jak skamieniały, wyciągniętą ręką pokazuje mi uporczywie tę samą sosnę. Patrzę, wysilam wzrok, chciałbym się cały w oczy zamienić — napróżno — nie widzę! Jak w gorączce, dygocę całem ciałem; wzruszony, półprzytomny patrzę, wpatruję się — nic — nic! Kolejno szukam go na wierzchole sosny, w konarach, na bocznych gałęziach, między miotłami igieł, szukam na ziemi nawet; patrzę raz i drugi i trzeci — nadaremnie, nie widzę.

— Nie zobaczę go chyba! — myślę z rozpaczą — przecież zerwie się w końcu.

A on zawodzi tymczasem bez pamięci. Od czarnej sosny, która kryje go zazdrośnie w swem łonie, pieśni płyną coraz głośniej, coraz namiętniej; zalały las cały i zagłuszyły wszystko. Nie słychać teraz głosu innych ptaków. Świat zniknął mi z przed oczu, ani myślę, ani zastanawiam się; widzę tylko sosnę, na której siedzi, kieruje mną tylko instynkt. Wydaje mi się, że znam już każdy jej szczegół, każdy konar, nie-

ledwie każdą gałązkę. Głuszca jednak, którego pokazuje mi osacznik, dojrzeć nie jestem w stanie. Moje oczy pozostają bezsilne, nie widzę.

A tymczasem dnieje, dnieje coraz wyraźniej, światło coraz głębiej przenika do wnętrza lasu, coraz to dalsze plany wynurzają się z ciemności. Otoczenie nabiera już barwy żywszej, cieplejszej; tylko patrzeć rumienić się będą wierzchoły drzew. Księżyc połową już tylko wychyla się nad czarny skraj lasu — świta wyraźnie; dzień tuż. Jeszcze próbuję, patrzę: — rosochaty podwójny wierzchołek... konary, z których zwieszają się miotły igieł... czarny pień... drgnąłem. Zamknąłem oczy, lękając się, że to złudzenie tylko, że mami mnie wyobraźnia. Powoli, ostrożnie otwieram je, niepewien czy obraz, który widziałem, powtórzy się, czy nie zniknie, jeśli spojrzę zbyt śmiało. Nie — jest! Teraz widzę go wyraźnie. Nad srebrną tarczą miesiąca, na jasnem tle nieba odcina się czarno jego sylwetka. Siedzi na sęku, z boku drzewa; poruszył się — roztacza ogon — gra. Dlaczego nie dojrzałem go wprzódy, jak się to stało? Wszak siedzi odkryty cały. W świetle zachodzącego księżyca widzę go, jak na dłoni. Ale jaki niepodobny do głuszców wypychanych i do głuszców z obrazu! To nie głuszec, jakiego wyobrażałem sobie. Niema w nim nic ciężkiego, nic napuszonego. Nawet kiedy tokuje, kiedy roztacza ogon i opuszcza

skrzydła, kiedy, zadarłszy łeb do góry, jeży na karku pióra, ani na chwilę nie przestaje być zwierzyną, w całem znaczeniu słowa: wysmukłym, dzikim, leśnym ptakiem. Ach, jak dokładnie widzę go teraz!

Znowu gra, wpadł w ekstazę; zawodząc, cały drży. Gra pieśń za pieśnią. Błyskają mu lustra pod skrzydłami i białe centki na wachlarzu. Jestem zamagnetyzowany, zaczarowany! poprostu zapominam, po co przyszedłem, i nie śmiem poruszyć się, aby podnieść strzelbę do twarzy. Gra a między pieśniami stroszy pióra, zamyka i otwiera ogon, jeży pod dziobem brodę i pawi się, jak gdyby odgadywał, że nań patrzą, jak gdyby chciał nas zadziwić. Ależ gra! W przerwach przestępuje z nogi na nogę, wyciąga szyję i słucha; gra i nasłuchuje. Ciche, stłumione, w lesie odezwało się kwoktanie samki. Odpowiada na nie pieśniami i gra jeszcze zapalczywiej, jeszcze namiętniej — czuć, że podnieca się i upaja własnym głosem. Z kniei coraz liczniejsze odpowiadały mu kury.

— Strelajtie, pane! — szepnął osacznik.

Głuszec zatrzymał się, strzepnął piórami i, wyciągnąwszy szyję, rozważał; namyślał się coś, czegoś się wahał — ale zagrał jeszcze. Zanim dokończył pieśni, podniosłem strzelbę do ramienia i zmierzyłem. Z drzewa cicho, pieszczotliwie zakwoktała kura i miękko, bez szelestu, nie po-

ruszając skrzydłami, spłynęła na ziemię. Nasz kogut umilkł, nastroszył pióra, opuścił głowę ku ziemi i, patrząc gdzie zapadła głuszka, klaskał, nie kończąc strofy.

— Strelajtie! — zasyczał mi do ucha leśnik.

Pocisnąłem cyngiel. Błysnęło — suchy urwany łoskot szarpnął powietrzem. Jak błyskawica, długa, wązka smuga niebieskawego światła przeszyła mrok świtu i zgasła. Od lasu przeciągle odpowiedziało echo i, na oka jedno mgnienie, zaległa cisza głęboka — zupełna; puszcza oniemiała. Ptak drgnął, zachwiał się, przez sekundę pozostał jeszcze na gałęzi, potem oderwał się od niej i spadł, jak kamień, aż jęknęła pod sosną ziemia. Dokoła drzewa, na którem, jak strojny rycerz, radosny, weselny, grał przed chwilą głuszec, igrało teraz w rannem powietrzu spadając parę piór.

...Osacznik rzucił się, jak ryś, na zdobycz i przyniósł mi żywego jeszcze, trzepocącego się w agonii ptaka.

— Ot i on, pane!

Czar prysł, miałem głuszca; polowanie było skończone, cel osiągnięty. Jeszcze jeden okrzyk tryumfu, jeszcze chwila upojenia; rozkołysane nerwy nikną i powracają do równowagi, serce w piersiach bije spokojniej — odetchnąłem.

Ranek już był. W świetle budzącego się dnia wrażenia nocne, jak senne widziadła, pobladły,

gasły; nastrój zmieniał się. Knieja wydawała mi się martwą, pustą, odkąd ucichły w niej pieśni, któremi czarowała nas przed chwilą jeszcze. Leśnik ułożył głuszca na piersiach, pogładził mu pióra na grzbiecie i, nałożywszy fajkę, zapalił.

— Kochany on hracz był, wielmi dobre hrał — rzekł, zaciągając się dymem.

Przed nami, charcząc krwią, leżał na mchu klejnot lasu, tajemniczy, nocny śpiewak miłości i wiosny. Oczy, w których błyszczała reszta życia, otwarte miał szeroko i żegnał rodzinny ostęp po raz ostatni. Już w nim nie zagra, już nie powita pieśnią wschodzącego słońca; knieja szukać będzie innego rycerza.

Odurzony byłem i, czy to z niewywczasu, czy z bezsenności, czy z nadmiaru wrażeń może wyczerpany, jak nigdy przedtem. Nogi wprost gięły się pode mną, pod czaszką miałem pustkę i nie byłem w stanie zebrać myśli. Moje nerwy i moja wyobraźnia dziś już dać ze siebie więcej nie mogły. Doznawałem uczucia, że budzę się, że wracam do świadomości, że wrażenia nocy snem były tylko, a ja z zaczarowanego świata leśnych widzeń nocnych wracam na ziemię.

— No, chody, Harasym, wracamy, prowadź do koni.

Osacznik podniósł głuszca ostrożnie, z na-

maszczeniem, strzelbę moją wziął na ramię; ruszyliśmy do kureni.

Przez poranną, wiosenną puszczę, unosząc najpiękniejszą jej ozdobę, wracaliśmy bez słowa, w milczeniu. A las pełen był znów gwaru i śpiewu; za łąkami, z ponad sinej ściany oczeretu, w całej swej gloryi, jasne, poranne wznosiło się słońce. Odwiecznym, niepohamowanym prądem płynęło życie.

Zapad. W ostępie, w pobliżu tokowiska, czekamy, nasłuchując, gdzie głuszce zasiadać będą na nocleg i gdzie znaleźć je będzie można, grające o świcie. Kwiecień. Pogoda. Po ciepłym, słonecznym dniu wieczór na ziemię szedł cichy; za czarny las zachodziło słońce. Godzina, w której ciągnąć poczyna słonka, w której cichnie już w lesie gwar wiosenny. Upojony słońcem, senny, skrzydlaty drobiazg leśny milknie; śpiewu coraz mniej, coraz cichszy. Jeszcze chwila — knieja ułoży się do snu. Pod zwieszającymi się konarami starego, omszałego świerku, oparty o pień, siedzę z osacznikiem, który odkryć ma przede mną arkana, jak »zasadzić« głuszca z wieczora. On dłubie coś przy swej torbie i naprawia łapcie, ja wsłuchuję się w ciszę i w wieczorną symfonię lasu. Nie zachowujemy się zbyt ostrożnie, palimy tytuń i z cicha, półgłosem gawędzimy; osacznik tłómaczy mi nieznane głosy, które dolatują nas z puszczy, i rozpowiada mi o puszczy, o głuszcach, o polowaniu.

— Na Błahoweszczenie (Zwiastowanie), pane, każe hłuszca podhodyt' ne dobre. U hetom ostupie hłuszci potom uż nikohda hrat' ne budut'. I na Paschu (Wielkanoc) tože samo, czetyre dnia jeho bit' ne treba, a to potom za uiesnu ciełu hrat' ne chocze.

Słucham, zachować w pamięci pragnę każde słowo i czekam, kiedy zlatywać się zaczną »hłuszci«.

— Jeszcze nie czas — powiada leśnik — »rano«.

Za nami, na suchych piaszczystych wzgórzach rośnie stary świerkowy las, już mroczny i tajemniczy, przed nami, jak sięgnąć okiem, moczar pokryty chorą, karłowatą sosną i młodym brzeźniakiem, mieniącym się po brzegach w słońcu, jak czerwonawa mgiełka. Na moczarze między sośniną prześwieca woda, a nad wodą, jak zielona szczotka, jędrne, proste sterczą źdźbła młodej trawy. Dalej wśród błota, o ćwierć wiorsty może, na dużej, piaszczystej wyspie czerni się kępa starych, wysokich drzew. Na sosnach tych właśnie, na wyspie, od niepamiętnych jakoby czasów, grać zwykły głuszce co wiosna.

Mgły ani śladu, powietrze czyste, więc choć wieczór, oko sięga daleko; wyspę całą widać, jak na dłoni. Na jasnem, pogodnem niebie, jak misterna koronka, rysują się ostro gałązki brzóz

i osiny a wyżej, wysoko, w przestworzach błękitu pojawiają się, płyną i toną w przestrzeni: sznury żórawi, ciągnących na północ, stadka kaczek dzikich, zawieszonych na niebie, jak czarne krzyżyki, i błyskające jasno w słońcu, krążące parami jastrzębie. Ptactwo ciągnie od zachodu, od strony słońca, niknie za ścianą lasów, przesłaniających widnokrąg, i znów powraca niezamącony, uroczysty spokój wieczorny. W gęstwinie, szukając noclegu, zakwili jeszcze i zatrzepocze ptaszek, w starym lesie, na osice, kuje jeszcze, kończąc dzienną robotę, leśny kowal, czarny dzięcioł, ale głosy te mówią, że to koniec dziennego życia, że knieja usypia już. Znienacka, jak trącona struna, brzęknie w cichem powietrzu przelatujący żuk; warknie nad uchem, zerwie ostatnią nić świadomości, poleci i umysły ogarnie znowu głęboka, upajająca cisza. Nad oczeretem, na błocie, śpieszne, lotne pojawiły się pierwsze słonki; od puszczy, coraz częściej dolatywały odgłosy, zapowiadające noc. Daleko, gdzieś na pasiekach, bełkotał cietrzew, jak motyw przed koncertem, zagrały kapelą całą i ucięły żaby, jak czaty oznajmiały się, trąbiąc wieczorne swe sygnały, żórawie. Dzień konał. Odarte już z promieni słońce, jak płomienna, olśniewająca tarcza, dotykało ziemi, potem za czarną ścianę lasu obsunęło się do połowy, potem świecił już tylko jego skrawek, aż

błysnąwszy jeszcze przez oczeret, ostatnim promieniem zamigotało na wodzie — i zgasło.

Nastała noc. Nad czarnym szlakiem lasu, na zachodzie, krwawo jak łuny, przejrzyste, świetlane, w rubinach i w opałach całe, na niebie rozpalały się zorze. Ukrywszy się, słońce nie zgasło i długo jeszcze światłem swem żegnało piękny, wiosenny świat. W ukośnych promieniach, które szły od zachodu, na pogodnem niebie, jak pochodnie, czerwieniły się wierzchoły sosen i świerków, świeciły biało, jak zjawiska, brzozy. Ziemia tylko i głębie lasu pociemniały, przyćmiła się zieleń, poczerniały czerwone pnie starodrzewia; wnętrze kniei stało się ponure i tajemnicze. W ciemnym ostępie, nawołując grobowym głosem, wabiły się puhacze. Na błocie odezwało się rechotanie żab i wielkiem płynącem tremolo zalało puszczę całą i ciszę wieczorną.

Osacznik umilkł i, nasłuchując, wpatrywał się coraz baczniej w stronę wyspy i sosen na moczarze. Za trzęsawiskiem, za błotami, nad czarną ścianą lasów różowo paliły się zorze; nad oczeretem, w zapadającym mroku, jak wielkie ćmy, jak czarne, nocne motyle, snuły się ciągnące słonki.

— Skoro priletiat, wraz zapadat' budut — szeptem uprzedza mnie leśnik.

I znów mijały chwile, czas płynął, zorze po-

częły blednąć. Na puszczę, topiąc świat w szarym półcieniu, pełzając, spływała nieznacznie noc. Pod obwisłymi konarami świerku było już ciemno, szara postać osacznika zacierała się i zlewała z otoczeniem coraz zupełniej. W mroku odróżnić mogłem już tylko jego twarz i oczy, w których przeglądały się świecąc ostatnie blaski zorzy. I kiedy czaił się tak pod drzewem, cichy, nieruchomy, znów było w nim coś z drapieżnego zwierza, czyhającego w zasadzce.

Tymczasem z wieczornego niebo stawało się nocnem, głębszem, ciemniejszem; błękit przechodził w granat. Wysoko nad lasem, migocąc między konarami sosen, zaświeciła pierwsza gwiazda; rozpalony zachód przygasał. I jeszcze minęła chwila, kiedy nad lasem, na tle zorzy, jak mała, czarna plamka, ciągnąc z nad oczeretu, pojawił się pierwszy głuszec, przeleciał, jak strzała, nad błotem i z hałasem zapadł na wyspie między drzewami.

Leśnik trącił mnie, skulił się jeszcze więcej i szepnał:

— Baczyli, pane? Priletieł adin. Ich tut wraz bolsze budie.

Nie mylił się. W pięć minut może po pierwszym, na niebie zaczerniał drugi głuszec i równie hałaśliwie, jak pierwszy, zapadł na sosny, na moczar. Jeszcze łopotał skrzydłami, jeszcze trzeszczały gałęzie, na których siadał, kiedy od

przeciwnej strony lasu nadleciał trzeci.

— Dobre zapadajut, gromko — dzieląc się ze mną odnoszonemi wrażeniami, zauważył osacznik.

Usadowiwszy się, głuszce milczały zrazu; na wyspie znowu zaległa cisza. Widocznie, zapadłszy, ptaki badały naprzód otoczenie i nasłuchiwały ostrożnie, czy nie zagraża im w pobliżu ukryty wróg. Ale cicho było w lesie i na moczarze, jak w kościele; tylko pianissimo płynęło od błota melodyjne rechotanie żab. Tem głośniej, tem huczniej rozległo się w ciszy nocnej nowe łopotanie skrzydeł. Tuż za nami, w ostępie, czwarty głuszec zerwał się z ziemi i, przeleciawszy nad naszym świerkiem, poniósł się na moczar, na tokowisko. Po chwili rozległo się łopotanie zapadu i znowu nastała cisza, w której słyszałem tylko żaby i równy oddech mego towarzysza.

— Tri — czetyry — liczył szeptem zapadające głuszce.

Noc była już zupełna, na zachodzie, za rojstem ledwie, ledwie czerwieniło się niebo; nad lasem coraz dalsze, coraz liczniejsze zapalały się gwiazdy.

Ciemno było dokoła i cicho, świat zewnętrzny stawał się dalekim i niedostępnym, nie widać i, prócz zwodniczych szmerów usypiającego lasu, nie słychać było nic. Nocna puszcza poleska

wchłaniała nas i przygniatała. Wobec potęgi przyrody, która zamykała się przed nami w ciemności i w milczeniu, zdrowy, pierwotny syn lasu i zwyrodniały człowiek z miasta, jednakowo byli słabi. W ciemnościach, które nas otoczyły, oczy leśnika równie były bezsilne, jak moje, pomimo lornetki. W miejsce obezwładnionych zmysłów tem silniej, wszechwładnie odzywać się począł instynkt. Wrodzony, odwieczny, równie dawny, jak sam ród ludzki, przekazany w puściźnie przez jaskiniowych przodków, którzy polować musieli, aby żyć, uśpiony gdzieś głęboko i bezczynny od pokoleń, budził się instynkt myśliwski z całą siłą i ogarniał nas obu, jak febra... Świat przestał istnieć, a całą uwagę naszą pochłaniał śpiący moczar i majacząca na nim, niewidzialna już prawie w mroku, czarna kępa drzew. Od drzew tych, jak prąd magnetyczny, jak czar, szło na nas pożądanie.

Na moczarach tymczasem, na wyspie, panował spokój głęboki i głucha cisza, w której słychać było bicie serca. Cisza ta jednak była zwodniczą i nie trwała długo. Chwila jeszcze, na moczarach budzić się poczęło życie. Naprzód cicho, jakby nieśmiało, potem coraz wyraźniej, coraz głośniej odzywać się poczęły głosy dziwne, niepojęte, nieoczekiwane. Na wyspie, wśród nocnej ciszy, coraz donośniej rozlegało się coś, jak charkotanie, jak krztuszenie się i kaszel, potem trze-

potanie i szum skrzydeł, trzask łamanych gałęzi, spadanie na ziemię i znowu krztuszenie się, chrząkanie i łopot podrywających się ptaków. Nie cztery głuszce chyba, lecz czterdzieści zebrało się tam odprawiać nocne obrzędy. Czy może były to duchy głuszców zabitych przez laty, które, co wiosna, zlatują się na moczar i, za pokutę, harcując nocami, straszą żyjących towarzyszów.

Gwarna była puszcza w tę noc kwietniową. Któryś ptak, śmielszej widocznie natury, popróbował nawet »śpiewać« i zagrał kilka pieśni. Na wyspie hałas ucichł i z rojstu, na tle rechotania żab, dźwięczne, metaliczne odezwało się w ciszy klaskanie i zawodzenie tokującego koguta. Była to jednak próba tylko, niby przygrywka i zapowiedź tego, co dziać się miało w puszczy o świcie. Rzuciwszy kilka taktów, ptak uciął — potem nastała chwila ciszy i na moczarze znowu rozlegało się łopotanie przelatujących ptaków, ich głosy i trzask łamanych gałęzi.

— Dobre zasidajut, poprawlajutsia — szepnął, udzielając mi spostrzeżeń swych, osacznik.

Zdradzona przez syna swego, leśnika, puszcza uchylała przed nami rąbka zasłony, za którą kryła zazdrośnie, od oczu człowieka daleko, tajemnice swego bytu. W tym zapadłym ostępie poleskim, w tej nocnej głuszy był czar głęboki,

niezrównany i tonęły w nim dusze nasze zupełnie. Wszak byliśmy w łonie samem przyrody pierwotnej, dziewiczej, niedotykanej prawie przez człowieka; w łonie przyrody, odwiecznej, najpierwszej matki, którą może nieświadomie, może bezwiednie, kochamy jednak wszyscy, do której w złych chwilach choroby i zwątpienia garniemy się, jak dzieci. A wraz z poczuciem potęgi, która była przed nami, tej potęgi, która wolą swą odwieczną nakazuje słońcu gasnąć, gwiazdom świecić i głuszcom sprawować wiosenne gody, do duszy płynęła słodycz i ukojenie. Jak po narkotyku, troski uleciały, a na ich miejsce w serce wstępowała radość i wdzięczność za życie. Czar ten, porówno, odczuwać musiał i mój towarzysz, prosty leśnik, bo przez siermięgę czułem, jak drży cały, jak bije mu serce...

Noc już zapadła głęboka, chłód i wilgoć, ciągnące od błota, dawno już lizały nam twarze, kiedy las począł cichnąć. Na wyspie przeloty i trzask gałęzi stały się rzadsze, głosy ptaków cichsze, senne. Powoli — powoli moczary usypiały, życie gasło. Ostatni głuszec odezwał się raz jeszcze ostatni i — umilkł.

Puszcza usnęła. Tylko powietrzem równą, melodyjną falą niosło się rechotanie żab. Z nad rojstu, ogarniając knieje i oczerety, podnosiły się białe opary, gdzieś za lasem, daleko, wschodził miesiąc. W szarej, gęstej pomroce, która

nie była ani światłem ani ciemnością, świat rozpływał się i przechodził w chaos bez kształtów, bez barw i bez granic. Za nami, groźny, ponury, spiętrzony czarnemi piramidami świerków, kłębił się tajemniczo i szumiał, jak morze, wał lasu; przed nami, w resztkach mlecznego, mętnego półświatła, na które składały się gwiazdy, mgła i niewidzialny jeszcze, wschodzący księżyc, tonął rojst i był — jak szara przestrzeń bez końca i bez początku, wśród której ciemną, wielką plamą, jak widziadła, majaczyły w oparach sosny na moczarze.

Taką być musiała ziemia, zanim »wody oddzieliły się od lądów« w pierwsze dni Stworzenia, zanim zaświeciło słońce i zanim nad światem zagrzmiały słowa: »Stań się!«

Kiedy na znak odwrotu, na znak, że rola nasza tymczasem jest skończoną i dłużej w lesie nie mamy co robić, leśnik trącił mnie w ramię, po raz wtóry zdawało mi się, że to nocne tajemnicze życie puszczy marą było tylko i omamieniem, które widziałem we śnie. Chyłkiem, unosząc tajemnicę moczarów, wykradaliśmy się z ostępu cicho, jak dwa cienie. I dawno już błyszczały okna na leśnictwie, dawno w jasnej izbie siedziałem za stołem, kiedy myśl wciąż jeszcze, jak dusza głuszca-pokutnika, błądziła gdzieś po puszczy, dokoła wyspy na moczarach.

6 kwietnia 191 . . Noc, pierwsze kury nie piały jeszcze, na świecie czarno było, jak w kominie. Mój woźnica węchem chyba odszukać potrafił bramę z majdanu i drogę do sioła. Mglisto było i chmurno, chwilami mżył deszcz. Noc, jak to noc wiosenna po dniu bez słońca, przyszła ciepła, wilgotna, prawdziwie kwietniowa. Siedziałem na małym chłopskim wózku poleskim, w jednego konia; powoził osacznik, który znał puszczę.

Wyjeżdżałem zawczasu, ledwie z północy, bo droga wypadła nam lasami, przez brody i przez manowce. Kiedy wózek ruszył i kiedy w oknach dworu zagaszono światło, ogarnęła nas otchłań nocy; ciemność, chłód i samotność. Do skraju lasów było nie dalej jak wiorsta, ale trakt przez sioło, między opłotkami i po dniu nawet, za światła, przepaścistym był i trudnym do przebycia. Ciężko było koniowi, przed wózkiem słychać było jego zaduszony, chrapiący oddech, pod kołami z pluskiem przelewało się błoto; noga za nogą, wózek wlókł się jak ze smołą. Powoli oswajając się, oczy, mimo braku światła, odróżniać poczynały szczegóły otoczenia. Jak obrazy zalane sepią, ledwie że czarniejsze niż ciemność, w pomroce majaczyły i tonęły znowu: chłopskie zagrody, stogi i stojące przy drodze drzewa. Na tle nocnego, chmurnego nieba, nagie wiosną, czarne, wysokie

rysowały się rusztowania »ozieradów«, jak wielkie szubienice.

Na duszy robi się ciężko, a w piersi wzbiera westchnienie; myśl ucieka wstecz i cofa się wstecz, o pół wieku.

Polesie! Ziemia rodzi skąpo, a plon, który wyda, odbierać jej trzeba śpiesznie i uciekać, by chronić go od wilgoci, od wszechwładnej tam wody. Bez końca ciągnęła się droga między opłotkami, a wzdłuż drogi, wciąż te same, wciąż do siebie podobne, przesuwały się i zacierały w ciemności drogi: chata, świreń i za płotem czarna przestrzeń podwórka. Sioło spało, okna były ciemne, nie odzywały się nawet psy. Cisza, pustka i smutek głęboki były dokoła i wciskały się do duszy, aż uwierzyć było trudno, że i tam zaświecić przychodzi niekiedy słońce, że i tam, niezadługo, kiedy będzie Maj, w haszczach, wysrebrzonych światłem miesiąca, odezwą się miłosne pieśni słowików.

Na piaszczystem wzgórzu za siołem, nie dojeżdżając grobli, przed mogiłkami, pośród wieńca odwiecznych, sędziwych lip i dębów stał opuszczony stary kościół modrzewiowy. Kiedy i kto go budował, nikt nie pamięta; zaginęło nawet podanie. Stary kościół stoi zamknięty, opieczętowany i dawno już zakazano modlić się w nim i odprawiać nabożeństwa. Czy to przez wzgląd na święcenia jednak, czy przez poszanowanie

może, kościoła nie burzono i pozwalano, by własną, naturalną umierał śmiercią. Pod pieczęciami, zaryglowany, bez dachu prawie, stary kościół jest jak grób, w którym, dotknięta mściwym palcem przeznaczenia, śpi pogrzebana wielka, świetna przeszłość. Przez czarne okna świątyni, gdzie mimo wszystko mieszka Bóg, wygląda na świat zniszczenie i sprawiedliwość. I za dnia nawet, kiedy na niebie świeci słońce i kiedy, wśród uroczystej ciszy letniej, brzęczą na rozkwitłych lipach pracujące pszczoły, widok konającego kościoła tragiczny jest i smutny — do łez. Dziś w ciemną, ponurą noc kwietniową, otoczona szkieletami drzew, czarna ruina wznosi się na tle nieba, jak widmo, które wstaje z ziemi i przychodzi karać za grzechy ojców, za grzechy przeszłości. Stary kościół poleski — on dawne, inne, pamięta czasy! Jadąc do puszczy na grubego zwierza, głowy odkrywali przed nim królowie, goście senatorów, dziedziców tej ziemi, może fundatorów kościoła.

Minęła przeszłość, minęło wszystko, jak sen. Czasami tylko, kiedy wiatr ciągnie od puszczy, wiodąc z dębami nocne rozhowory, szepcą w niej po cichu rówieśnice kościoła, stare lipy. Czasami, zbłąkany, stary »did« wioskowy, zaszedłszy w te strony, przyklęknie, zmówi pacierz i, dopatrzywszy pieczęci, rusza dalej. Może modli się za tych, za których grzechy zamknięto ko-

ściół. Czarne myśli, jak stado kruków, leciały nade mną.

Minęliśmy sioło, stary kościół na wzgórzu, groblę i dawno już tonęliśmy w głębiach lasu, w puszczy. W świerkowej, zwartej kniei ciemno było, jak pod ziemią. Nie widziałem teraz przed wózkiem ani konia, ani drogi; nie widziałem nawet leśnika, który siedział przede mną. W czarnej kniei poleskiej z myślami swemi byłem sam. Po piaszczystej, suchej drodze leśnej wózek toczył się bez hałasu, ledwie skrzypnęła oś drewniana, ledwie na pniaku zgrzytnęło koło. Cisza w puszczy była zupełna, głęboka; słuchałem, łowiłem szelest kropel, spadających na ziemię z drzew, a szmer ten był jak poszept niezliczonych, drobnych istot żywych, zamieszkujących las.

Było coś oszałamiającego w tym szmerze, a w ciszy i w ciemności poczucie czasu i przestrzeni stało zię zbytecznem i przestało istnieć. »Chłodno było i ciemno i do dom daleko«; po skórze chodziły dreszcze. By posłyszeć głos ludzki, zagadałem do leśnika, pytając, czy daleko jeszcze. Ale i on nieswój był jakiś, śpiący czy bez humoru, rozmowa nie kleiła się; jechaliśmy w milczeniu.

Przy całej cierpliwości, przy całej rezygnacyi, bez których na Polesiu puszczać się w drogę nie można, podróż poczynała mi się dłużyć.

Zapaliłem papierosa i przy jego świetle spojrzałem na zegarek. Dochodziła czwarta; w drodze byliśmy już od trzech godzin przeszło. — Nie dojedziemy chyba, czy co? — myślałem w duszy i aż dziwno mi było, że nasza szkapa wlecze się jeszcze i ciągnie.

— A co, daleko jeszcze? — zapytałem ze zwątpieniem.

— Hej, daloko, pane, ale dojediem — pocieszył mnie leśnik.

— Ba! ale czy zdążymy na świtanie?

— Ne znaju, pane, musi być pośpiejem.

Niecierpliwość zresztą nie prowadziła do niczego, o pośpiechu nie mogło być mowy; powlekliśmy się dalej. I myśleć już nie było o czem, świadomość uciekała, morzyć mnie poczynał sen, bo w nieskończoność ciągnęła się ta nocna podróż po omacku i w milczeniu.

Na domiar złego, leśnik zabłądził i marudziliśmy dobrą chwilę, nim odszukać udało się drogę, zawaloną z zimy łomem i wykrotami. Ale na świecie wszystko ma koniec, długa noc była na schyłku. W powietrzu pociągnęło rannym chłodem, dokoła ciemność stała się mniej czarną, nad drogą, między ścianami drzew niebo szarzało; w puszczy poczynało świtać. Od chwili, kiedy szukaliśmy drogi, minęło znów pół godziny, przejechaliśmy wiorstę, półtorej może, kiedy leśnik zatrzymał wózek, zsiadł i, rozkiełznawszy

konia, porzucił mu garść siana, wydartego z siedzeń. Wbrew obyczajowi, ognia nie rozniecał, bo późno było, czasu mało i należało śpieszyć. Droga nie prowadziła dalej i do ostępu, w którym strażował drugi osacznik, pilnujący tokowiska, iść trzeba było pieszo przez puszczę, na przełaj. Zrzuciłem futro, wydobyłem strzelbę i, przeciągając kości roztrzęsione wózkiem, ruszyłem za leśnikiem.

Dniało, ale nie śpieszyło się słońce na nasz obmokły, zapłakany świat. Dzień przychodził wolno, leniwie, jakby niechętnie i przed świtem już przewidzieć było można, że rankiem oblicza słońca nie ujrzymy. Pomimo to w lesie było coraz jaśniej; szarego, mętnego światła przybywało z chwilą każdą, coraz więcej. W mglistem, wilgotnem powietrzu majaczyć już i rysować się poczynały zarysy drzew, zakwiliła już pierwsza »ptaszka«. Uszedłszy dwie staje może, spotkaliśmy oczekującego nas strażnika, którego ciemna postać wysunęła się z gąszczu.

— Pozno prijechali — dień — rzekł nam na powitanie.

— A szczo, uże hrajut?

— Hrajut, podchodił, szumiat na bołotie, kak pczeły.

Podciągnąłem butów, zapiąłem kubrak i, nabiwszy strzelbę, poszedłem za nim. W mokrym, szemrzącym lesie kroków nie słychać było pra-

wie; szliśmy śmiało. Uszedłszy dwieście kroków może, leśnik przystanął, posłuchał i skinął na mnie, żeby iść dalej. Skradaliśmy się brzegiem niziny, na której, we mgle, ledwie widoczne czerniały rosnące na kępach pojedyńcze, cienkie sosny. Po chwili leśnik przystanął znowu i wyciągnął rękę ku błotu. Wśród szmeru spadających kropel, nikłe, stłumione, słychać było staccato tokującego gdzieś daleko głuszca.

— Czuli, pane? — zapytał mnie szeptem.

— Czuju.

Skręcając w bok, brzegiem rojstu ruszyliśmy dalej. Widocznie leśnik szukał miejsca, skąd bliżej będzie i łatwiej przedostać się na błoto, do tokowiska. Kiedy zatrzymaliśmy się jeszcze, usłyszałem, że na rojście gra więcej głuszców. Wilgoć w powietrzu i mgła tłumiły głos i myliły ucho. Wsłuchując się, posłyszałem wyraźnie, że, prócz pierwszego, na błocie odzywają się jeszcze dwa inne głuszce, których pieśni zlewają się; wszystkie trzy grały wprost przed nami daleko.

Posunąwszy się jeszcze sto kroków, leśnik przystanął znowu, spojrzał na mnie i ręką dał znak, żeby słuchać. Teraz wydawało mi się, że przed nami rojst przepełniony jest tokującymi głuszcami. Oprócz poprzednich trzech, bliżej i dalej odzywały się coraz to nowe, coraz inne; niektóre grały na błocie tak daleko, że pieśni

ich odróżnić zaledwie można było od szmerów kropel, spadających na ziemię.

Osacznik nie skłamał, na rojście szumiało naprawdę, jak w ulu; chwilami rozpoznać nie można było ani głosu ptaków pojedyńczych, ani tempa ich pieśni.

Przez mroczną, budzącą się puszczę poleską, upajając zmysły myśliwego, płynął szepcący, czarowny rapsod wiosny, o jakim myśleć nie śmiałem wprzódy. W ostępie, na tokowisku głuszców grało dziesięć — piętnaście — dwadzieścia może.

Przeczekawszy mój zachwyt, osacznik, skradając się wciąż brzegiem błota, posunął się dalej jeszcze. Las załamywał się tu w stronę rojstu i klinem wchodził w błoto; szliśmy więc po suchem jeszcze. Po chwili jednak klin skończył się, staliśmy nad niziną, na której między kępami świeciła woda. Na rozmyślania czasu nie było, bo świtało coraz wyraźniej, w lesie mimo mgły robił się dzień.

Jeden z głuszców grał, jakby bliżej trochę; skinąłem na osacznika, że tego będziemy podchodzić. Powoli, badając grunt nogą, weszliśmy do wody. Brrr! dreszcze przeszły mi po skórze, kiedy pomyślałem o idącym za mną leśniku: ubrany był w płócienne szarawary, na nogach miał łapcie z łyka.

Od brzegu, gdzie kępy leżały gęsto, przeska-

kiwaliśmy z jednej na drugą. Dalej na błocie, gdzie wody było więcej, brnęliśmy wprost przez moczar. Unikając hałasu za wszelką cenę, szliśmy ostrożnie, nie wyjmując nóg z wody, krok za krokiem. Mimo to szliśmy hałaśliwie; nie zawsze łatwo było utrzymać równowagę, dokoła pluskała i przelewała się poruszana woda. Podmyte zalewem kępy, na które, zatrzymując się, wskakiwaliśmy co pewien czas, chwiały się i tonęły pod naszym ciężarem, nogi, stawiane pod wodą na oślep, grzęzły w błocie i wyrywać je trzeba było siłą.

Pomimo, że szliśmy wolno, ostrożnie, ledwie posuwając się naprzód, dziwno mi było, że głuszec nie posłyszał nas i nie zerwał się jeszcze. Widocznie pewien, że przez moczary podejść go cicho nie można, czuł się pośród zalanego rojstu, jak w fortecy. Ufał w otaczające go rodzinne trzęsawisko i wierzył mu — zbytnio. Gracz był niezrównany, gorący, zapamiętały. Klaskał, syczał, zawodził; na puszczę, jak kaskada, płynęła pieśń po pieśni.

Powoli, powoli podchodziliśmy go coraz bliżej. Uszliśmy już sto kroków może; jeszcze pięćdziesiąt, choćby czterdzieści, będę strzelać.

Na błocie woda sięgała kolan, dno teraz było więcej grzązkie, coraz trudniej było wskakiwać na kępy jednym susem. Brnęliśmy schyleni, kryjąc się za kępami, stając, tuliliśmy się do

cienkich sosen, które na nich rosły. Zresztą ostęp zarośnięty był słabo, drzewa rzadkie, widać było daleko. Jeszcze moment, podchodzimy coraz bliżej. Jak gdyby nigdy nic, głuszec gra tuż — czterdzieści kroków — może bliżej. Teraz o dwa, trzy kroki przed nami sterczy na moczarze duża kępa, na której rośnie sosenka; jeszcze skok jeden, będziemy przy niej, na strzał. Spojrzałem na osacznika i wzrokiem dałem mu poznać, że nie chcę, by szedł za mną dalej. Potem, odetchnąwszy chwilę, zebrałem się w sobie i w pieśni, kiedy głuszec zasyczał, skoczyłem z rozmachem.

Skok udał się. Zakołysała się kępa, zachwiała sosna, za którą uchwyciłem ręką; stanąłem bezpiecznie. Głuszec nie skończył pieśni i syczał jeszcze, kiedy nagle, tuż za mną rozległ się głośny hałas i plusk ciała, wpadającego do wody.

Zdrętwiałem i, nie patrząc, wiedziałem co się stało. Osacznik nie usłuchał, czy nie zrozumiał mnie, skoczył i, miast na kępę, zwalił się do wody. Głuszec uciął, ale nie zrywał się i, tymczasem, dosiedział. Z bijącem sercem, wstrzymując oddech, czekałem. Za sobą słyszałem bełkotanie powietrza, wydobywającego się z wody na powierzchnię. Pozatem było cicho! Leśnik widocznie nie podnosił się i tkwił, jak wpadł, w trzęsawisku; głuszec siedział. Nie odwracając głowy, ostrożnie, przez ramię, spojrzałem za

siebie. Zgięty, zgarbiony osacznik wspierał się ręką o wysepkę, na której stałem, i na jednem kolanie klęczał w błocie.

Głuszec milczał, lecz, mimo cały hałas, nie zrywał się; nie wszystko więc było stracone. Mógłbym nawet wygrać partyę, byle dojrzeć go jak najprędzej i strzelić. Na kępach, na moczarze rosły pojedyńcze, liche sosny, nie grubsze niż ramię, chore i ubogie w igliwie; dopatrzyć na nich głuszca możnaby łatwo i na dalszą metę, gdyby nie mrok. Na mglistym rojście zaś, mimo świtu, szarzało ledwie i widzieć przez opar dalej niż na trzydzieści kroków było niepodobna. Prosto przed nami grał, tam też upatruję go wszystkiemi siłami. Jak daleko sięgnąć mogę wzrokiem, kolejno lustruję każde drzewo, kolejno patrzę na każdą sosnę — nadaremnie, głuszca nie widzę. Szukam go wysoko, nizko, na drzewach, pod drzewami, na kępach; nie widzę go i tam. Stara tragedya! Jest za ciemno i dziś taka mgła! A mój biedny leśnik tymczasem, skulony, skurczony, w zimnej jak lód wodzie, pół stoi, pół leży i czeka — ani drgnie.

W lesie dnia przybywa z każdą chwilą, jest coraz jaśniej i gdzie rzadko, widać daleko; mimo to głuszca nie widzę i nie widzę. Co to znaczy, dlaczego? Nie zerwał się przecież i nie odleciał, bo usłyszałbym z pewnością. Przede mną, niedaleko na kępie, grubsza jedna sosna

stoi pochylona wiatrem i wspiera się o drugą, prostą. W miejscu, gdzie drzewa krzyżują się, o półtora metra może nad ziemią, widzę na pochyłym pniu coś jak narośl, jak zgrubienie. Czyżby?... Ale nie, to nie to, to nie on; wiem przecież, jak głuszec wygląda. Szukam znów gdzieindziej, dokoła — nie widzę. Zrozpaczony, bezradny, patrzę na leśnika; może on dostrzegł, może on pokaże?

Nieruchomy jak posąg, wolną rękę trzyma podniesioną i palcem pokazuje pochyloną sosnę. Patrzę tam jeszcze — nic. Nie, to nie głuszec! A jednak!... Wydało mi się, że »coś«, na co patrzę, co pokazuje mi osacznik, jak gdyby — poruszyło się. Znowu — rusza się znowu... Tak! widzę teraz. To szyja ptaka, długa szyja, którą porusza i kręci. To on, to głuszec! Na tle pnia nie dostrzegłem go wprzódy. Wstrzymując oddech, ledwie poruszając się, powoli, powoli, podnoszę broń do twarzy. Jest już tak jasno, że na strzelbie widzę muszkę. Ależ mierzyć mi niewygodnie: przeszkadza sosna, którą mam przed sobą, do której przywarłem ramieniem. Wychylam się ostrożnie, powoli — nareszcie — mam go na celu. Odetchnąłem głęboko — zmierzyłem raz jeszcze — pociągnąłem. Błysnęło przez mgłę; huk wstrząsnął rojstem. Czarne »coś« miękko obsunęło się na kępę.

— Ach, sława tiebie, hospodi! — jęknął za mną leśnik.

Odwróciłem się: był tak zdrętwiały, tak skostniał od zimnej wody, czekając, kiedy upatrywałem głuszca, że po strzale nie zerwał się, nie skoczył; nie mógł podnieść się i, byle czemprędzej zmienić postawę, wolał i drugiem kolanem uklęknąć w wodzie.

— Sława tiebie, hospodi, uże ja nie moh!

Mówił mi potem, że nie było mu zimno; było mu tylko bardzo niewygodnie, bolały go grzbiet i nogi i bał się, że spłoszy głuszca.

...Pogoda. Na czystem, gwiaździstem niebie stoi miesiąc w pełni; przed świtem bierze przymrozek. W lesie biało od szronu i jasno, jak w dzień; choć szpilki zbierać po ziemi. Głuszce tokują dziś wcześnie; już grały, kiedy z osacznikiem wchodziłem do ostępu. Słychać jednego, daleko na błocie; drugi gra tuż, na suchym lesie, w świerczynie. Tego na początek, podejść można będzie spacerem; zabawa. Potem — potem pomyśleć może da się o drugim, o tym na błocie. Śpieszyć się zbytnio niema potrzeby, jest jeszcze bardzo wcześnie; do wschodu słońca godzina przeszło.

Ukryci, stoimy w cieniu i, szepcąc, naradzamy się z leśnikiem; palę ostatniego papierosa. Nad nami, na grubych kolumnach sosen, jak sklepienie, wisi czarny strop koron, wyżej, wysoko nad lasem, po jasnem niebie płynie miesiąc. Gdzie dosięga jego zimny promień, tam oszroniałe mchy i wrzosowiska błyszczą, jak srebro. Najlżejszy wiatr nie porusza igieł, w pusz-

czy cisza, w przyrodzie głęboki, uroczysty nastrój. Stoję w skupieniu, słucham, i doznaję uczucia, że jestem w świątyni, w której niezadługo, jak tajemnicze misterya odprawiać się będą obrzędy wielkiego rytuału życia. Żórawie milczą dziś, w lesie cisza, jak w kościele. Tem wyraźniej dolatuje nas pieśń tokującego głuszca. W mroźnem, suchem powietrzu, jak osobliwy dzwonek, rozlega się jego dźwięczne, donośne tek-tektek, tek-tektek. Daleko gra; drugiej strofy pieśni nie słychać jeszcze. Jestem jak na przedstawieniu, które znam, a z którego dochodzą mnie tylko urywane słowa. Całość odgaduję i dopowiadam ją sobie w wyobraźni:

— Trzeba iść, inaczej za późno byłoby na drugiego.

Nasunąłem kapelusz na czoło, podniosłem kołnierz i, zgasiwszy papierosa, poczynam się skradać. Idę szybko — droga jak po stole.

Gra — teraz usłyszałem już i drugą część pieśni; słyszę, jak syczy. Otwartych miejsc unikam, bo jasno, jak w dzień; długi, czarny cień wlecze się za mną po ziemi. Staram się przemykać pod drzewami, gdzie mrok. Jeszcze jedna polana duża, otwarta, którą muszę minąć.

— Dawno już nie widziałem takiej pięknej pełni, takiego jasnego miesiąca — myślę w duszy. — Na dziś może wolałbym trochę chmur

trochę mgły. W lesie, na głuszca, stanowczo jest dziś za jasno.

Wstrzymując oddech, nasłuchując, posuwam się przez polanę krok za krokiem, nie śmiem podnieść oczu. Zobaczy, czy nie zobaczy? Gdzie on ma oczy? Przecież musi widzieć.

— A może siedzi odwrócony od polany — pocieszam się w myśli.

Jeszcze chwila, jeszcze dziesięć kroków, ukryję się pod drzewami. Uciął — coś ścisnęło mnie za serce. Słucham — czekam łopotu skrzydeł. Chciałbym zniknąć, zapaść się pod ziemię, a stoję w pełnem świetle, na środku polany. Zobaczył mnie, czy nie zobaczył, odleci, czy nie odleci?... Czekam, słucham, nie śmiem poruszyć oczyma, ani drgnąć. — Tek-tektek! — Gra, nie widział; to była zwykła pauza.

— Ufff! — odetchnąłem, zabiło mi serce.

Jeszcze dwie pieśni — stoję pod świerkiem. Ależ bezpiecznie siedzi! — W czarnej, skłębionej kępie świerków, w samym środku, gdzie ciemno, jak w piwnicy. Nie łatwo będzie wypatrzyć go tam; miesiąc przeszkadza, bo przez kontrast ciemność między drzewami wydaje się jeszcze czarniejszą.

Oparty o pień stoję, patrzę, wpatruję się; te same drzewa, te same miotły igieł widzę po kilka razy; powracam do nich raz jeszcze i jeszcze raz – nic nie widzę. Próbuję zachodzić

z drugiej strony. Księżyc świeci mi teraz za plecami, kępa świerków leży teraz przede mną, jak na dłoni. Gra tak blizko, że słyszę szelest piór w wachlarzu, a mimo to nie widzę. Jeszcze raz zmieniam miejsce, zachodzę jeszcze z innej strony — napróżno: głuszca dopatrzyć nie mogę i nie mogę. Chyba w czapce-niewidce śpiewa, czy zaczarowany. Wracam na stare miejce, światło mam tu z boku; jeszcze patrzę — nic.

W rozpaczy na myśl przychodzi mi leśnik, który czeka gdzieś niedaleko. Krzyknę w takt pieśni, przywołam go, może on zobaczy. Patrzę jeszcze. Ej! w gęstwie, na drzewie zamajaczyło coś! Głuszec, nie głuszec? Ach, przecież to on! Czy — czy aby nie zwodzą mnie oczy?... Odwracam głowę, spoglądam w inną stronę i po chwili ostrożnie, wolno, żeby nie spłoszyć go wzrokiem, patrzę znowu. Tak, to on, to głuszec siedzi. Widzę głowę, zakrzywiony jak u orła jasny dziób; na piersiach, w świetle księżyca, błyszczy mu i mieni się pancerz. Dziób aż odbija na tle czarnej głowy. Całego ptaka, choć przesłonięty trochę, widzę także. Raz jeszcze przymykam oczy, otwieram, patrzę: w najdrobniejszych szczegółach obraz powraca i powtarza się, wciąż ten sam. Już nie mam wątpliwości — widzę teraz, to głuszec. Niema co zwłóczyć — siedzi jak na dłoni. Zmierzyłem, wycelowałem — długo, uważnie; huknął strzał.

Z drzewa posypały się igły i gałęzie, potem sekunda ciszy — osłupiałem. W prawo, na trzeciem, czy na czwartem drzewie rozległo się pośpieszne, gwałtowne łopotanie; głuszec poleciał.

Zwiodła mnie wyobraźnia: to, co brałem za ptaka, było kłębem igliwia — strzelałem na wiatr.

Dzień jakoś był nieszczęśliwy, czy urzekli nas cyganie, których spotkaliśmy wczoraj, jadąc wieczorem do lasu. Dwadzieścia minut później, chybiłem do głuszca na błocie. »Uż toho dnia ne szancowało!«

...Późno, wieczorem po kolacyi, w gabinecie gospodarza, sesya jeneralna; rada wojenna sztabu. Zjeżdżają się z lasów leśnicy i osacznicy z raportami, co który ma w swych ostępach, ile »zasadził« głuszców z wieczora.

Powoli zebrali się wszyscy: Pawło, Harasym, Aleksy, Karpiej i starosta nad wszystkimi, stary, doświadczony Moroz, z którego zdaniem liczy się nawet gospodarz. Wiadomości są pomyślne, wieczór był cichy, pogodny, ciągnęły słonki i głuszce zapadały dobrze, śmiało. Raporty sypią się, jak z rogu obfitości: na Zarudju dwa, na Krywej Porośli cztery, w dalekim Tarzanowie aż sześć, na Lelinie, nazwanem tak od imienia pani domu i zabicia tam przez nią pierwszego głuszca, dwa, na Kupowiu, ale tam trudno podchodzić, jeszcze trzy i — ktoby je tam wreszcie spamiętał wszystkie. Rok w rok, sto kogutów przeszło gra na tokowiskach.

Narada trwa długo. Gospodarz rozpytuje, słucha opowiadań leśników, rozważa raporty

i wyznacza ostępy, myśliwych i osaczników. Starsi goście i honoratiores pojadą bliżej, do ostępów łatwych; młodsi i domowi wyznaczone mają ostępy dalsze, na błotach, gdzie trudniej podchodzić. Z wieczora już dowiedzą się myśliwi dokąd, z kim i kiedy mają wyruszyć przed świtem. Ład i porządek, jak w zegarku: nie chybi osacznik, konie i — głuszec. Reszta zależy od myśliwego.

Z niepokojem i z ukrytą w duszy głęboko niecierpliwością myśliwi spoglądają ku drzwiom, za któremi rozstrzygają się teraz losy ich na przyszły ranek.

Długo coś radzą; zato wszystko rozważone i postanowione będzie bez zarzutu. Nareszcie — drzwi otwierają się i myśliwi z biciem serca, jak uczniowie, kiedy odczytać stopnie przychodzi profesor, słuchają zapadłych decyzyi. Zadowoleni są wszyscy, bo po prawdzie, ostępów wątpliwych, niepewnych w Br..... wie niema. Jeszcze godzina, dwie może snu, do którego kołysać będą myśliwych — marzenie i nadzieja.

Dzień już biały; myśliwi, jeden po drugim wracają z kniei. U podjazdu, w słońcu, na jasnej ścianie dworu, widoczne z daleka, czernią się trzy głuszce, zawieszone w zwykłem miejscu przez tych, którzy polowali w blizkich ostępach i wrócili pierwsi. Tak każe tradycya miej-

scowa. Głuszce, zabite o świcie, wiszą u podjazdu przez cały dzień następny i zdobią dwór, ku zazdrości mniej szczęśliwych, wracających z lasu z pustemi rękami. Uśpiony, opustoszały nocą dwór poleski poczyna żyć.

»Aż w cichym i samotnym domie
Wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk wesoły,
Jak w ulu pustym, kiedy weń wlatują pszczoły.
Był to znak, że wracali goście z polowania
I krzątała się służba około śniadania«.

Biedna ta służba w czasie toków! Goście bawią się po królewsku, a oni na nogach od świtu do wieczora i od wieczora do świtu, uprzejmi zawsze i, mimo zmęczenia, gotowi do usług. W nocy, kiedy czas ruszać do kniei, na stole gorąca herbata; rano po powrocie ledwie myśliwi zdążą przebrać się i zrzucić mokre, długie buty, już zastawione, gotowe czeka na nich śniadanie. I jakie śniadanie! Na stole, w jadalni, same przysmaki; nie wiesz od czego zaczynać. Czego dusza zapragnie i wilczy apetyt, przywieziony z lasu, jest wszystko.

Herbata, kawa, ta litewska kawa, o której »na paryskim bruku« pamiętał i wspominał w Panu Tadeuszu Mickiewicz:

»Takiej kawy, jak w Polsce, niema w żadnym kraju«.

A prócz herbaty, kawy, jakie pieczywa, ja-

kie ciasta! Dla żarłoków nie brak i mięsa. Zimne pieczenie i w różnych postaciach:

»...wędliny leżą do wyboru.
Półgęski tłuste, kumpie, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym«.

Na uboczu, nie rzucając się w oczy, stoi nawet i kusi omszała butelka słynącej na gubernię całą, niezrównanej starki marszałkowskiej. Gdzie rzucić okiem, czego dotknąć ręką, znać niewidzialną rączkę gospodyni, pani domu, czuwającej jak Opatrzność, żeby z Br.....owa wyjeżdżał każdy z wdzięcznością i oczarowany.

Jak komu dyktują głód i temperament, myśliwi śpieszą do sali jadalnej, gdzie czeka już najgościnniejszy z gospodarzy. A czeka go teraz nie lada zadanie! Zawsze gościnny, uśmiechnięty, wysłuchać musi cierpliwie relacyi z polowania i długich opowiadań, które »Boże bądź miłościw« słyszał już tyle, tyle razy. Z rezygnacyą jednak i z uwagą słucha i — dzieli wrażenia swych gości; cieszy się z wybranymi, na których łaskawą była piękna Dyana tej nocy, współczuje z mniej szczęśliwymi, którzy nie słyszeli, spłoszyli lub, co najstraszniejsze, chybili głuszca... Każdy opowiedzieć musi swe tryumfy, lub poskarżyć się na los, a gospodarz — biedny go-

spodarz słucha. W sali jadalnej przy takich śniadaniach gwarno bywa podczas toków.

Dziś tylko czegoś nie klei się rozmowa, opowieści idą bez ognia, nie rozlega się w sali zwykły gwar. Wszyscy wyglądają czegoś, na coś czekają. Coraz któryś z myśliwych podnosi się z za stołu i idzie spojrzeć przez okno, ku drodze od lasu. Nerwowi są wszyscy jakoś, niespokojni.

I nie bez przyczyny. Sama pani domu, nasza gospodyni, wyruszyła dziś do lasu, aby tam porówno z drugimi popróbować szczęścia; wrócić musi lada chwila. Przywiezie głuszca, czy nie przywiezie?... Pytanie to w duszy zadajemy sobie wszyscy, bo szczere, choć ciche, życzenia nasze towarzyszyły jej do kniei wiernie. Głośno ich wypowiedzieć nie wolno; to przyniosłoby nieszczęście.

Ale dlaczego nie wracają dotąd, co to znaczy? Powinni już być. Prowadził panią najlepszy, stary, doświadczony leśnik. Przecież nie zbłądzili — to pewna. Może, spłoszywszy głuszca, szukać popróbowali innego: w ostępie grało ich kilka. W takim jednak razie szanse powodzenia byłyby mniejsze.

Nie mówimy o tem jednak i nie chcemy myśleć, bo tak gorąco pragnęliby wszyscy, żeby wrócili z głuszcem. Gospodarz, niespokojny już trochę, mówi o wysłaniu konnego, kiedy za oknem

mignął łeb koński, czapka osacznika i damski kapelusz z piórkiem. Przyjechali, przyjechali!

Rzucili się wszyscy witać, przyjmować. Jest, jest głuszec, osacznik z tryumfującą miną podnosi go w górę.

— Jak to było, jak było? — wszyscy pytają naraz, wszyscy krzyczą, każdy chce wiedzieć. — Jak to było? Czy dobrze grał, czy jasno już było?... — Gwar, wrzawa, radość, powinszowania, tym razem naprawdę szczere. W jadalni po staremu; zawrzało, jak w ulu.

Dzień był już taki szczęśliwy!

...Po czterech dobach spędzonych w lasach, na wózku i w kureniach, po czterech nocach na sianie, u ogniska — bezsennych prawie, zasypiam w łóżku pierwszy raz. Rozkoszy większej z pewnością nie zaznali na Olimpie bogowie sami. W lesie, jak to wiosną, mieliśmy i deszcz i mróz i zadymkę. Ranki jednak były pogodne, głuszce grały i polowanie udało się. Wracam upojony, cały pod urokiem wrażeń, których i tym razem nie poskąpiła nam puszcza, oczarowany, niezatartych obrazów pełen. Pozatem, odczuwam dobre, zdrowe zmęczenie i nieprzepartą potrzebę snu. Kleją się powieki, a zasłana świeżo, biała pościel wydaje mi się rajem. W łóżku miękko, ciepło, rozkosznie, w pokoju unosi się zapach dobrego mydła, wody

kolońskiej i świeżej bielizny; na kominku dopala się ogień.

»Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy«.

Aby odczuć całą wartość tych drobnych, codziennych rozkoszy życia, trzeba być na Polesiu, po czterech nocach bezsennie spędzonych na tokach, w lesie; umyć się i leżeć w łóżku. Palę papierosa, w ręku trzymam książkę i — nie czytam jej: myślę o czem innem.

Wyobraźnią jestem jeszcze w puszczy, w jej ostępach, na moczarach; słyszę, jak na rojście tokuje głuszec o świcie. W pamięci, żywe, pełne ruchu kłębią się przeżyte wrażenia, widziane obrazy wstają przed oczyma, w uszach brzmią jeszcze usłyszane odgłosy lasu. Cicha, śpiąca knieja poleska szepce coś zwodniczo, stare sosny szumią, a gdzieś, w głębi lasu, w oddali dźwięcznie, donośnie odzywa się zaczarowane staccato tajemniczego trubadura puszczy. Jego pieśń mam wciąż w uchu, słyszę ją i nie mogę nie myśleć o niej. Wspomnienie to upaja mnie jeszcze i przyśpiesza bicie serca. Zwolna, nieznacznie, wzburzona wyobraźnia milknie; nerwy, rozkołysane melodyą lasu, wracają do równowagi; przyroda domaga się swych praw, zmęczone bezsennością ciało bierze górę.

Wspomnienia, jak fale, przychodzą coraz

słabsze, obrazy przesłania mgła; świadomość i wyobraźnia chwieją się. W uszach tylko, uporczywie, gra jeszcze pieśń swoją głuszec. Ale i to wspomnienie mętnieje, plącze się i zaciera coraz więcej; głos jest coraz cichszy, odchodzi coraz dalej... Książka wypada mi z ręki, dokoła we mgle i w zapomnieniu tonąć poczyna świat cały: pieśni głuszca, puszcza, Polesie...

Czy to już sen, czy na jawie jeszcze? Jeszcze ostatni wysiłek, błysnął ostatni promień świadomości; zamajaczyło ostatnie wspomnienie, w uchu odezwała się ostatnia pieśń — jeszcze... jeszcze...

W ciemnościach snu pogrążyło się wszystko. Światło świadomości zgasło.

NA ROJSTACH LITEWSKICH.

Doktorowi Władysławowi Stankiewiczowi opis ten poświęcam.

»Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Nieba bledsze, trawy rzedsze,
Rojsty grzązkie, groble wązkie«.

Wincenty Pol.

Prawdziwie ocenic i zrozumieć, czem jest wieś w czasie lata, umieją tylko mieszkańcy wielkich miast, skazani na spędzenie letnich upałów w miejskich murach, rozpalonych dziennym skwarem, których nawet chłodniejsze noce nie są w stanie ostudzić. Ci nieszczęśliwi zapominają, czem jest świeże powietrze w lesie albo na polu, a o prawdziwej zieloności tracą pojęcie, patrząc na szare od kurzu uliczne drzewa i publiczne ogrody.

To też wyjazd na wieś zalicza przeciętny mieszkaniec miasta do szczęśliwych chwil, jakie mu się w ciągu roku przytrafić mogą, i godziny wyjazdu czeka, jak zbawienia.

Wyjazd taki nabiera jednak większego jeszcze uroku, jeżeli to myśliwy jedzie na polowanie. Ach, samo słowo »polowanie« — jak ono czarownie brzmi dla ucha miejskiego Nemroda, który nieraz miesiące czekać musi, zanim mu je wolno wymówić; dla zapalonego myśliwego, który nie widuje innej zielòności, jak na skwerach miejskich, a zwierzynę w sklepach za szybą!...

Każdy z nas, dla których św. Hubert srogim był patronem, zamykając nas w mieście z naszą namiętnością, zna bicie serca, towarzyszące takiej wyprawie, i gorliwe przygotowania, które ją poprzedzają.

Broń, drzemiąca spokojnie na ścianie, zostaje zdjęta na trzy dni naprzód, i okurzona, odczyszczona, czeka, zamknięta w podróżnym futerale, aż wybije uroczysta chwila, w której znów ujrzy światło dzienne.

Ubiór, przybory, amunicya — wszystko w szyku, a poczciwy »Bekas« albo »Dyana«, pędzące bezczynny żywot na zaglądaniu w oczy kucharce, wyrastają do rzędu najpierwszych osób, którym wszyscy dogadzają, nie szczędząc pieszczot i przysmaków.

Na wsi polowanie to rzecz codzienna, zwyczajna, spowszedniała nawet dla najzapaleńszych; ale dla nas, miejskich ślimaków, przygniecionych ciasną skorupą obowiązku, wiążącego do miej-

sca — to owoc zakazany — ba! często raj utracony dla tych, co dawniej na wsi mieszkali. To też, kiedy wiejski myśliwy widzi w polowaniu najczęściej samą tylko treść, t. j. widok zwierzyny i piękny strzał, nad jedno i drugie przenosząc często dobre śniadanie i wesołą kompanię — inaczej rzecz się ma z jego miejskim kolegą. Dla miejskiego myśliwca polowanie to swoboda, głowa wolna od trosk, powietrze, ruch i zdrowie, słowem wszystkie najcenniejsze dary życia, których los skąpił mu rok cały, a w dodatku uczucie, że wolno mu wreszcie zaspokoić namiętność i umaczać usta w słodkim kielichu, do którego wzdychał długo napróżno.

»Ach, i ja kiedyś w Arkadyi byłem!« i trzy miesiące najpiękniejszego polowania, całe wakacye uniwersyteckie, spędziłem w okolicy, niezmiernie w zwierzynę bogatej, gdzie bite kuropatwy tysiącami się liczyło. Dziś odwrócił ode mnie oblicze swe św. Hubert, mieszkam w mieście, poluję rzadko — kiedy czas pozwoli — i z westchnieniem wspominam lepsze, jaśniejsze dni...

»...dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie!«

Ostatni rok szczególniej był mi pod względem polowania fatalnym, bo ważne zajęcia nie zostawiły mi ani chwili wolnej. Musiałem sie-

dzieć w mieście przez cały sezon myśliwski, i minęła jesień, a potem zima, w ciągu których nie dałem ani jednego strzału.

Z początku, kiedy w chłodne ranki zawisła nad światem mgła jesienna, kiedy w powietrzu zjawiła się pajęczyna, a w polu zapachniały powiędłe kartofle, ta nieodłączna woń przy polowaniu na kuropatwy — trapiła mnie nieopisana tęsknota.

Pierwsza ponowa, kryjąca miejskie dachy białym płaszczem, sprowadzała mi łzy do oczu, i chodziłem dnia tego jak struty, miejsca sobie nie mogąc znaleźć, tak mi w mieście było źle i ciasno...

Potem przyszła wiosna, myśliwskie bezrobocie; nie polowałem więc i ja, a wspomnienia dawniejszych tryumfów przesłoniły się tymczasem mgłą zapomnienia, za którą, jak miraż, przesuwały się rozkoszne obrazy, widziane w szczęśliwsze dni. Obławy na grubego zwierza w lesie, przysypanym śniegiem — złote pola ściernisk, przeszukiwane szybko przez białe wyżły — albo głuche stawy i szuwary, wśród których bez szelestu sunęła łódka...

Że będę jeszcze polował w życiu, sam nie śmiałem wierzyć. Nie wyobrażałem sobie, żeby ten piękny sen mógł się ziścić, bo rzeczywistość byłaby zbyt piękną...,

Nadeszło tymczasem lato, skwarne i duszne, pełne kurzu i zaduchów. Kto mógł, uciekał z miasta. Warszawa pustoszała z dnia na dzień, aż zostali się w końcu tacy, którym los odmówił zupełnie zieloności i powietrza. Tak zastał mnie w Warszawie lipiec.

Oddawna byłem zaproszony na polowanie na Litwę przez kolegę uniwersyteckiego; zaproszenie ponawiał co roku, ale zawsze stawało coś na przeszkodzie i wybrać się nigdy nie mogłem mimo szczerej chęci. Obiecywał strzał do głuszców i pardw, a o cietrzewiach i dubeltach nie było co i mówić — uważano je tam za zwierzynę tak pospolitą, że jej nie wspominano.

Przy kłopotach i troskach o zaproszeniu tem zapomniałem, kiedy pewnego dnia, wróciwszy do domu, poznałem między listami, przyniesionymi pod mą nieobecność, pismo mego kolegi. List był serdeczny, nalegający, żeby przyjechać koniecznie, bo zwierzyny tego roku dużo i polowanie zapowiada się doskonale.

Serce zabiło mi żywo, kiedy przeczytałem te słowa — uczułem, że dawna gwałtowna namiętność odżyła we mnie w całej sile. — Niech będzie co chce — pomyślałem — pojadę! Dla takiej zwierzyny, jaką tam mam spotkać, warto zgrzeszyć. Gdyby to były kuropatwy albo zające, nie mówię, ale głuszce! pojadę *à tout prix*.

Nie miałem, co prawda, czasu, powinienem

był siedzieć i piec się w mieście, ale robota była nie pilna, a pokusa ogromna. W mieście gorąco panowało, jak w łaźni, wieś i lasy nęciły, a w tych warunkach sumienie staje się elastyczniejszem, łatwiej z niem wejść w ugodę. Żeby się nie rozmyślić, odpowiedziałem depeszą, że przyjadę i poprosiłem o konie.

W trzy dni później, w piękny lipcowy poranek, w towarzystwie starego Black'a, wysłużonego pointer'a, przed którym zabiłem już dużo setek kuropatw, ruszyłem na dworzec.

Myślę, że Stanley, ruszając w głąb Afryki na poszukiwanie Emina-paszy, nie przygotowywał się staranniej, niż ja. Począwszy od nowej dwunastki, która miała odbyć swój debiut, a skończywszy na nowym kapeluszu, sprawionym *ad hoc* — wszystko było jak na przegląd, bez zarzutu.

Z lekkiem sercem wsiadłem do dorożki, bojąc się, żeby w ostatniej chwili nie zaszło coś, coby wyjazdowi w poprzek stanąć mogło. Ze schodów schodziłem, jak ktoś, co się boi pogoni — nie śmiałem się obejrzeć. Wreszcie dorożka ruszyła — odetchnąłem.

Miałem poprostu niebo w sercu, a Warszawa nie wydała mi się nigdy tak piękną, jak tego ranka. Kobiety wydały mi się przystojniejsze, niż zwykle, dorożka nie grzechotała rozśrubowanem żelastwem, powietrze, którem oddycha-

łem, było czyste i wonne, a nawet mój doroż karz był dziwnie uprzejmym tego dnia nadzwy czajnego...

Black, równie jak ja, w doskonałym jechał humorze. Poszczekiwał na mijające nas psy, jak gdyby się chwalił; wspinał się na kozioł, obwąchując kołnierz dorożkarza z dziwną uporczywością, a po nogach deptał mnie tak zawzięcie, jak gdyby to było jedynym celem jego podróży. Kiedy niekiedy zwracał jednak uwagę i na mnie, spoglądał mi w oczy i trącał nosem w rękę, co w jego psim języku znaczyło mniej więcej: »Widzisz, bawi mnie to wszystko i zajmuje bardzo, ale myślę i o tobie, bo kocham cię po dawnemu«.

Minęliśmy most żelazny na Wiśle, koła zaturkotały znów po bruku — i stanęliśmy na dworcu. Tu biednego Blacka ciężkie czekały chwile, bo, mimo gorących starań z mej strony, mimo szeleszczących argumentów, których nie szczędziłem, zamknięty został do okratowanej psiej budy, które to miejsce etyka kolejowa wyznacza psom nawet opatrzonym kagańcami. Nie pomogło nic. Biedny Black, mimo energicznej obrony, znalazł się najniewinniej w świecie za kratą.

Ha! cóż robić, mój biedny psie! Nie ty pierwszy i nie ostatni — wyższych od ciebie to spotykało...

Swoją drogą żal mi go było niezmiernie i odszedłem od wagonu, żeby nie słyszeć jego żałosnego wycia i nie widzieć żółtych okrągłych oczu, żałośnie we mnie patrzących, jak gdyby pytały, za co go ta krzywda spotyka?

Odwiedzałem go na każdej stacyi, gdzie czasu było dosyć, nosząc mu przysmaki i karesy, a w Białymstoku, gdzie jedliśmy obiad, dobra harmonia wróciła między nami w zupełności. Przekonał się i wyrozumował psią logiką, że podróż, choć za kratą, nie jest znów tak złą rzeczą, bo krzywdy nie robią, a jeść dają smacznie.

Za Białymstokiem kraj widocznie zmienił fizyognomię. Wsie stały się rzadsze, uboższe, częściej świecił piasek po polach, w wązkie zagony oranych; po łęgach stała woda na czarnem błocie. W lasach zjawiła się jodła, lasy były nizkie, wilgotne, przechodzące miejscami w torfniaki, porosłe karłowatą brzozą i sośniną.

W takich lasach znaleźć się miałem wkrótce; przyglądałem im się więc z podwójnem zajęciem. Cały ten świat, do którego niósł mnie trzęsący wagon, był dla mnie nowy i nieznany; natura, ludzie, ich obyczaje — wszystko to zaciekawiało mnie niezmiernie. Wielkich miast miałem już wogóle dosyć, więc przypatrzyć się chciałem ludziom, bliżej żyjącym z miejscową przyrodą, ludziom, noszącym osobny charakter ziemi, która

ich żywi, niespłowiałym pod promieniami banalnego kosmopolityzmu i tak zwanej kultury, polegającej zazwyczaj na piciu koniaku, który nie widział Francyi, i na paleniu hawańskich cygar z Hamburga.

Za Grodnem wjechaliśmy we właściwą Litwę, a tymczasem słońce kończyło dzienną swą wędrówkę, i na krajobrazy, migocące przez okna wagonu, zapadać zaczął wieczór, topiąc dalsze przedmioty w szarym półcieniu. W wagonie powietrze było straszne, bo jakaś Rosyanka z uszami zatkniętemi watą i z kwaśną twarzą obawiała się »cugu« i bólu zębów. Wyszedłem więc na platformę odetchnąć trochę świeższem powietrzem.

Pociąg pędził przez torfiaste, rozległe łąki, porośnięte lichą krzewiną; na tle ciemnej ściany boru świeciła wysoka, łysa góra piasku, ozłocona ostatnimi promieniami zachodu. Krajobraz to typowy litewski, który spotykałem tam na każdym niemal kroku. Powtarzają się na nim zawsze: bagno, piasek i las...

Po krótkim lipcowym zmroku ziemię przykryła noc piękna, jasna, pełna świeżości i zapachów, które w ciągu dnia słońce wywabiło z ziemi. Nasycić się nie mogłem chłodnem powietrzem, które pruł gwałtowny bieg pociągu. Tego balsamu, którego mi brakło od roku, miałem tu niemal za dużo. Tłoczył mi się do płuc, szumiał w uszach, przenikał moje włosy i ubra-

nie — i były skarbu tego, pożądanego w wielkich miastach, całe morza i przestwory, których wypić nie potrafiliby wszyscy mieszczuchy razem zebrani.

Pociąg pędził jak zapamiętały, ciągnąc za sobą długi warkocz dymu, nasiany iskrami.

O dziesiątej z wieczora minęliśmy Wilno — i dobrze po 12-ej, głuchą już nocą, dojechaliśmy do małej stacyi, gdzie czekać na mnie miały konie. Jakoż zastałem małą, leciutką bryczkę na drewnianych osiach, zaprzężoną parą krępych żmudzinów o łbach kudłatych, jak żubry. Black, uszczęśliwiony swobodą, uspokoić się nie mógł w radości; skacząc i skomląc, pierwszy wskoczył na bryczkę. Ruszyliśmy — i od tej chwili rozpoczęła się moja odyseja litewska, pełna wrażeń, nowych ludzi i zdarzeń.

Za stacyą zaraz wjechaliśmy w bór, ciągnący się dwiema wysokiemi ścianami z obu stron drogi, chłodny, wilgotny od rosy i pełen zapachu grzybów i żywicy. Było to pierwsze wrażenie, jakie odbiło się na mych mózgowych kliszach — najpierwsze i najmocniejsze — to, którego nie zapomina się nigdy. Odpowiadało ono doskonale obrazom, jakie snułem w wyobraźni, myśląc o Litwie. Piaszczysta droga prowadziła przez głuchy, ciemny las, pachnący puszczą i niedźwiedziami. Z radością myślałem,

że oto jestem na tej Litwie, o której tyle słyszałem i czytałem. Wszystkie bajki i historye, słyszane od dzieciństwa, o litewskich borach, zwierzynie grubej i litewskich polowaniach, stanęły mi w pamięci. Serce biło mi żywo, kiedy myślałem, że jestem nakoniec w tej obiecanej krainie myśliwego, opiewanej przez poetów, i że nie dalej jak jutro deptać ją będę sam — myśliwy — ze strzelbą w ręku.

Jechaliśmy stępa po piaszczystej drodze, nad którą świecił jasny pas nieba nad wierzchołkami sosen. Noc była dziwnie gwiaździsta, urocza i spokojna. Czułem, że mi jest w tej ciszy nad wyraz dobrze, że odpoczywam po turkocie miasta, który został gdzieś bardzo daleko. Zlałem się w jedną całość z tą ciepłą nocą lipcową i z lasem, w którym zniknąłem, jak ziarnko piasku, bez myśli i bez woli.

Tego słodkiego uczucia nicości i obezwładnienia, uczucia ogromnego spokoju, doznaje każdy człowiek, kiedy po długiem życiu sztucznem i abstrakcyjnem zetknie się naraz zblizka z wielkiemi dziełami przyrody. Uczucie, jakiego się wówczas doznaje, ma w sobie coś kojącego, pocieszającego i podobne jest do uczucia zmęczonego dziecka, tulącego się do łona matki...

Sprawy, które wczoraj jeszcze pochłaniały mnie całego, wydawały mi się dzisiaj, wobec gwiaździstego nieba i tej cichej nocy litewskiej,

małemi i śmiesznemi, a ludzie z ich codziennem, kłopotliwem życiem — istotami z innej planety. Nie chciałem myśleć, że to »dziś« jest tylko słodkim snem, a wczoraj i jutro rzeczywistością. Black, podobnie jak i ja, był pod urokiem chwili, bo spać nie chciał, tylko strzygł uszami, badając nosem zalatujące go z lasu, nieznane wonie.

W wyobraźni i ja widziałem las, przez który szła droga, napełniony zwierzyną, bo nie wystawiałem sobie litewskiego lasu bez wilków i niedźwiedzi. Byłbym się też nie zdziwił zbytecznie, gdyby z zarośli wynurzyła się naraz rosochata głowa łosia albo niedźwiedzia. Ale były to naturalnie mrzonki tylko, wysnute z wyobraźni, chciwej złudzeń. O łosiach i niedźwiedziach pamięć nawet zaginęła w tych stronach, od czasu jak przeprowadzono kolej, która pożarła okoliczne lasy. Sam bór, przez który jechałem, z puszczy widzianej w nocy, przemienił się w jasnych promieniach słońca w lichy sosnowy las, tęgo poszczerbiony siekierą.

Na razie jednak złudzenie było zupełne i pozostało mi to pierwsze wrażenie Litwy w postaci ciemnego boru, zalanego nocą, tajemniczego i głuchego, pełnego dzikich woni uroku.

Wyjechaliśmy z lasu. Niebo bladło już świtem, nad rolą wisiał w powietrzu pierwszy skowronek, witający ranną pieśnią budzący się dzień. Nad łąkami podnosiła się biała mgła, prze-

słaniając krzaki i drzewa zasłoną z gazy i zacierając kontury przedmiotów.

Droga przestała być piaszczystą i bryczka turkotała coraz częściej po groblach, ułożonych z okrąglaków na bagnach. Pola grodzone były płotami, zamkniętymi w poprzek drogi bramą. Stawaliśmy przed każdą; gruby Antoni złaził z kozła, mrucząc pod nosem na zmudę, i otwierał bramę, którą zostawił otwartą, przejechawszy.

Minęliśmy kilka wsi i zaścianków, także zamkniętych bramami. Wsie ludne, czyste, dobrze zbudowane i ogrodzone, świadczą dobrze o gospodarności miejscowego ludu. Domy stoją bokiem do drogi, budowane w węgieł z ogromnym okapem dachu, słomą najczęściej kryte. Pod okapem wiszą drabiny, brony i inne gospodarskie porządki. Podwórka ciasne, ale czyste, budowane w kwadrat, składają się z obórki, »świrni«, czyli stodoły, i małego śpichlerzyka, na słupach budowanego, »klecią« tu zwanego. Podobne są do siebie, jak dwa ziarna, i nie wiem, jak sami gospodarze poznać je mogą.

Okienka po chatach równe, kwadratowe, miały wszystkie szyby w porządku. Z jednego wyjrzała jakaś płowa, rozczochrana głowa, patrząca zaspanemi oczyma, kto tak rano jedzie.

O ile wsie robią wrażenie zasobnych i porządnie zabudowanych, o tyle gleba jest biedną, mało rodzi i po macoszemu traktuje tych, co ją

kochają. Liche żyto i liche kartofle, czasem trochę gryki pod lasem na wycinkach — to cały plon i owoc całorocznej pracy chłopa. Pomimo to lud pięknie wyrośnięty, dorodny, choć brzydki z twarzy. Zato grzeczny, usłużny, wita podróżnego, chwaląc Jezusa, i czapkę zdejmuje. Ubrani w szary samodział z wełny i niebielone płótno, harmonizują z otoczeniem, jak oni, płowem i bezbarwnem. Na Kujawach, w Łowickiem, w Sandomierskiem, gdzie gleba bogata mieni się pyszną zielenością i złotem pszenicy, stroi się i lud w jaskrawe kolory. Tutaj chłop, ten najbliższy syn ziemi, którą uprawia, przyjął także barwy swej karmicielki i szarą, jak ona, nosi szatę.

Rzeczywiście, przeważającym tu kolorem jest szary, jak gdyby wszystko, na co się patrzy, przesłonięte było cienką warstwą popiołu. Nawet wspaniałe lipcowe słońce, które wyjrzało z za dalekiego lasu, nie ożywiło tego kolorytu. Przedmioty zbliżyły się tylko, rozjaśniły, ale szara, posępna barwa krajobrazu została ta sama. Na szarej roli zboże szare i marne, bory i łąki nawet w południe przesłonięte lekkim welonem mgły szarej; drewniane domy, szare od starości i mrówczy lud chłopski, w samodział szary odziany.

— Cóż, Antoni, daleko jeszcze? — zapytałem furmana.

— Wiorst trzydzieści będzie, pan — brzmiała pocieszająca odpowiedź.

— Do dyabła! — myślałem w duchu — jedziemy cztery godziny i ujechaliśmy dwadzieścia wiorst! Kiedy my dojedziemy!

— Popaść trzeba, pan, w Bołowie, bo konie ledwie nogi wloką — dodał po chwili gruby Antoni.

Rzeczywiście, żmudziny robiły bokami i pospuszczały kudłate łby, sapiąc.

— A do Bołowa daleko? — zapytałem, aby coś powiedzieć, bo w rzeczy samej było mi wszystko jedno od chwili, gdy się dowiedziałem, że od celu podróży dzieli nas jeszcze trzydzieści wiorst, które trzeba było przebyć po piasku i groblach z tańczących pod kołami pniaków.

— A ot Bołowo, tam, gdzie młyn — odpowiedział Antoni.

Jakoż wjechaliśmy do wsi, bryczka zaturkotała po moście i stanęliśmy przed karczmą. Z karczmy wyszedł żyd arendarz, zaspany, spocony, z włosami, pełnymi pierza. Widać, zbudziliśmy go i ruszyli z betów. Kłaniając się nizko, zapraszał do izby, zapewniając, że samowar »zaraz będzie«. Wolałem czekać przed karczmą, bo w izbie, pomimo wybitego okna, zaduch był nieznośny i tysiące dziwnie natarczywych much, cisnących się do ust i do oczu. Żyd, jako grzeczny gospodarz, dotrzymywał mi towarzystwa

i bawił rozmową. Wytrzymawszy indagacyę, kto jestem i gdzie jadę, sprowadziłem rozmowę na więcej miejscowe tematy i z kolei ja zacząłem rozpytywać o okolicę, szlachtę i t. p. Żyd znał wszystkich na pamięć. Kiedy dowiedział się, do kogo jadę, powiedział:

— A znam, znam, stary pan (ojciec mego kolegi) zawsze tu bywał u mnie, jak jechał na kolej.

— A lasy tam duże? — spytałem na chybił trafił, chcąc się dowiedzieć czegoś, coby mnie naprawdę obchodziło. — Zwierzyny dużo?

— Nu, dawniej to była. Zjechali się panowie, postawili obławie dwa, trzy antałki wódki, to zawsze zabili kilka łosi. Ale teraz lasy wycięte, to łosiów niema.

Nawiasem mówiąc, pejsaty mój gospodarz wiedział coś o wycinaniu lasów w okolicy, bo był sam, jak się później dowiedziałem, faktorem, napędzającym okoliczną szlachtę do kieszeni wileńskich żydów, którzy lasy rąbali. O dalsze szczegóły odprawianych w okolicy polowań nie próbowałem go pytać, bo z tych interesowały go jedynie stawiane obławie antałki.

Brudna, jak mąż, karczmarka przyniosła tymczasem kipiący samowar. Antoni wydobył z bryczki pękaty koszyk, naładowany przeróżnymi przysmakami w takiej ilości, że trzech można było nimi obdzielić. Jedząc, prosiłem żyda, żeby

mi dał soli. Przyniósł trochę w papierku, bojąc się widocznie, żebym nieczystem dotknięciem nie strefił jego solniczki.

Żyd był jakiś starowier i po staroświecku ubrany w jarmułkę, z pod której spływały grajcarki pejsów, na nogach miał przydeptane pantofle, a z pod kamizelki wyłaziła mu śmiertelna koszula. Zapach, który nosił z sobą, intrygował bardzo Blacka, który go obwąchiwał uporczyczywie ze wszystkich stron, niepokojąc żyda zbytnią blizkością.

Konie odpoczęły tymczasem, podjadły, Antoni napoił je i orzekł, że możemy ruszać w dalszą drogę.

Zaraz za wsią wjechaliśmy na ogromną płaszczyznę żółtego, lotnego piasku, ciągnącą się przed nami, jak okiem zasięgnąć. Na piasku jasnym, olśniewającym od słońca, sterczały na łokieć czarne, opalone pieńki, smutne i martwe, jak nagrobki. Bo też jechaliśmy po cmentarzysku zniszczonego nieopatrzną ręką lasu.

Dwadzieścia kilka lat temu na tym piasku rosła puszcza, kryjąca starodrzewem mile kwadratowe. Pod sosnami, Witolda pamiętającemi, spacerowały łosie i niedźwiedzie, w konarach litewskich olbrzymów pędził zbójecki żywot ryś, tyranizując drobną gawiedź, po ziemi chodzącą. Teraz te cuda, na które stulecia się złożyly, znikły — a jedyny ślad, który po nich pozostał,

to te zwęglone pnie, których nie zwyciężył ani czas, ani ogień, i smutek w sercach tych, którzy pamiętają lepsze czasy...

Jest to, niestety, zwykła kolej litewskich lasów; kupcy zabierają tylko pnie, t. z. »towar«, a wierzchoły i gałęzie zostają na miejscu, bo materyał opałowy nie ma wartości. Pewnej nocy koniuchy, pasający nocami, zapomną zgasić ogniska, wszczyna się pożar, przy takiej nagromadzonej ilości drzewa straszny, i ginie wszelka drobna roślinność, którą oszczędziła siekiera, a w kilka tygodni, kiedy wiatr rozniesie popioły, pozostaje z lasu tylko ziemia, na której rósł, i te czarne ponure pnie, sterczące ku niebu, jakby pomsty wołały. Był to najsmutniejszy kawał drogi z całej mej podróży.

U nas po wyciętym lesie życie kwitnie dalej. Jeżeli wycinki nie zostaną zagajone na nowo, to po siekierze idzie pług i pszenica zaciera pamięć i ślady lasu. Tutaj po lesie zostaje śmierć i naga ziemia, bo na piasku, rzucanym wiatrami, nawet trawka i jałowiec nie chcą się trzymać.

Słońce odbijało się od piasku i przygrzewało mimo wczesnej godziny, jak w południe. Konie wlokły się noga za nogą, przytem krajobraz był strasznie monotonny, niczem nie wiążący myśli, ani oczu. Zacząłem czuć senność i, kiwając głową, jak żyd przy modlitwie, zasnąłem.

Obudziło mnie mocne stuknięcie pod bryczką. Byliśmy znowu w lesie. Antoni, śpiąc, jak ja, wjechał na korzeń, których mnóstwo wychodziło na drogę. Las był piękny, wysokopienny i mocno podszyty. Przecierałem oczy, szczęśliwy, że się już skończyło to morze piasku i te opalone pnie, śmiercią pachnące — radowałem się życiem i zielonością, które miałem przed sobą.

Drożynka, poprzecinana korzeniami, wiła się kręto pomiędzy grubymi pniami sosen, jak na obrazach Chełmońskiego. Obrazy, które widziałem kiedyś, tak były wierne, tak prawdziwe, że zdawało mi się, iż to właśnie miejsce służyć musiało za model wielkiemu artyście. Drogi nie prostował, nie wytykał inżynier; była naturalna, tak, jak naznaczył ją pierwszy chłop, przemykając się między drzewami wązkim wózkim. Zegarek pokazywał dziewiątą; od popasu w Bołowie znów upłynęło dwie godziny.

— Cóż, Antoni, długo jeszcze? — zapytałem furmana, pewien, że mi odpowie, iż za lasem już zaraz.

— Wiorst piętnaście będzie, pan — odpowiedział z flegmą.

— No, dziwne tu wiorsty — myślałem — kiedy milę trzeba jechać półtorej godziny.

— Czy na południe zajedziemy?

— Ha, może i zajedziemy, pan — zakończył,

nie mając widocznie ochoty do rozmowy, nawpół śpiący Antoni.

Swoją drogą prosiłem go sam, żeby zwolnił, bo zbite podróżą, wagonem i bryczką kości bolały mnie na tych rzucających korzeniach okrutnie.

Zresztę droga przez las była w całem znaczeniu tego słowa przyjemną. Chłodno było, zielono, pachnąco, po drzewach roiło się ptakami, cieszącymi się, jak ja, tym cudnym rankiem letnim. Inne lasy, które zwiedzałem później, były, przeciwnie, zupełnie martwe i milczące i w żadnym nie widziałem tyle rozmaitych ptaków, co wtedy. Niestety, nie umiałem czytać w tej wspaniałej księdze przyrody, otwartej szeroko przede mną, i myślałem raz jeden więcej, czy nie użyteczniej byłoby umieć zdawać sobie sprawę z tego, co żyje i otacza nas, niż mieć to poczucie, że dziesięć lat, strawionych w gimnazyum nie pozostawiło nam nic, oprócz imion autorów, nieżyjących od wieków.

Fauna była tu odmienną, dużo ptaków było mi nieznanych zupełnie. Pierwszy raz widziałem tu dużego dzięcioła czarnego, który w Królestwie należy do rzadkości, a na Litwie spotyka się stosunkowo często. Pytałem Antoniego o nazwiska nieznanych mi ptaków, ale, niestety, niektóre tylko pospolitsze umiał nazwać i to w gminnem narzeczu.

Z lasu wyjechaliśmy na łąkę, przez którą rzucona była długa grobla. Pomimo, że to była połowa lipca, pomimo, że trawa była na podziw bujna, łąka nie była nawet ściętą. Tą łąką wjechaliśmy znowu na pole piasku, minęliśmy kilka wsi i zaścianków, zamkniętych kołowrotami i bramą — nakoniec dobrze w południe zajechaliśmy przed stary dwór w S.

Na ganku przywitała nas cała zgraja psów gończych i ogarów z takim zajadłym hałasem i naszczekiwaniem, że, obawiając się o Blacka i o własne łydki, nie śmiałem zejść z wózka. Na hałas jednak wyszedł mój kolega, psy odpędził i, przywitawszy mnie serdecznie, prowadził do stołu.

Obiad składał się z potraw czysto miejscowych; więc zaczęliśmy od starki, pamiętającej jeszcze dziada gospodarza, którą zagryźliśmy kumpią, w jałowcu wędzoną. Potem szedł chłodnik, kołduny, a skończyliśmy kisielem ze śmietaną. Menu tego obiadu było dowodem uprzejmości ze strony gospodarza, który, wiedząc, że kocham się we wszystkiem, co charakterystystyczną, miejscową nosi cechę, czysto litewskim chciał mię ugościć obiadem.

Po obiedzie, przy kosmopolitycznej kawie i zamorskich likierach, rozmowa zeszła na polowanie, jako przedmiot, najwięcej nas w danej chwili zajmujący. Wszyscy jednogłośnie potwier-

dzili, że zwierzyny dużo, bo lęgi były dobre i wiosna pomyślna. Mój kolega chciał, żebym odpoczął po podróży jeden dzień, lecz protestowałem przeciwko temu z całej siły, nie chcąc tracić drogocennego czasu tembardziej, że dłużej, niż pięć dni, nie mogłem zostać. Postanowiliśmy zatem jechać tego samego dnia i chodziło tylko o wybór miejsca.

Na radzie wojennej, do której wezwany został i stary Jan, postanowiono wyprawę do Wodziszek, małego zaścianka, utopionego wśród lasów, odległego od S. o piętnaście wiorst, litewskich naturalnie, co do których nie robiłem sobie złudzeń.

Rozeszliśmy się po obiedzie, ja spać, a moi towarzysze przygotować wszystko na kilkodniowy pobyt w puszczy, gdzie wyżyć potrzeba było zabranymi z domu zapasami, gdyż oprócz wody, drzewa i nie zawsze mleka, dostać nie można było nic. Zabieraliśmy więc samowar, kosz, pełen rozmaitych wędlin, serów, zimnego mięsiwa i t. p., i drugi mniejszy koszyk, z którego wyglądały szyjki cześć budzących gąsiorków. Jechał nawet worek z ospą owsianą dla naszej psiarni, strawą, na którą popsuty miejską kuchnią Black godził się dopiero, ostateczną przyciśnięty potrzebą.

Wstałem dobrze z wieczora, wypoczęty i gotów do drogi. Słońce było już nizko, ruszać mię-

liśmy zaraz. Przed dworem stała już długa, łubiana bryka, wyładowana z czubem, bo przezorny Jan zabierał nawet koce do leśnych noclegów. Dokoła bryki kręciły się miejscowe wyżły, niespokojnie patrząc w oczy Janowi, jakby wyrozumieć chciały, co znaczą te przygotowania i czy one także w nich wezmą udział?

Z trudem usadowiliśmy się we trzech z psami na trzeszczących koszach, nie wiedząc, co robić z nogami, na które już nie było miejsca. Ale najgorzej ruszyć, później już się jedzie i dojeżdża do celu. Początek podróży był opłakany, bo psy, nie zrobiwszy wczesnej znajomości, kręciły się i gryzły ustawicznie, depcąc nas po nogach. Jechaliśmy ciągle prawie lasem, więc z chwilą, kiedy zmrok zapadł zupełny, bryczka podskakiwać zaczęła po pieńkach, których w ciemności niepodobna było widzieć i wymijać.

Nie omyliły mię przeczucia co do długości zapowiedzianych piętnastu wiorst. Podobnie jak z rana, rozciągały się one straszliwie i straciłem w końcu nadzieję, czy wogóle dojedziemy. Swoją drogą nie nudziło mi się, jak rankiem, bo wspomnień mieliśmy wspólnych dużo i rozmowa szła ożywiona. Kiedy niekiedy w głuchym borze zaświecił szmat uprawnej ziemi, zaszczekał z daleka pies na zaścianku i znów ogarniał nas chłodny las. Czasem mijaliśmy mniejsze pólka,

wyrąbane w lesie, t. z. »pasieki«, posiane gryką albo owsem.

Koło dziesiątej, czy jedenastej, wjechaliśmy na większe pole, na którem z daleka błyszczało światełko pod lasem. Konie parsknęły, czując blizką stajnię, zaszczekały psy na obcych — byliśmy u celu. Bryczka podskoczyła jeszcze razy kilka na pniakach i wjechaliśmy do zaścianku.

Brata szlachcica, na którego gościnność i dach liczyliśmy, nie było w domu, założyliśmy więc obóz pod ścianą lasu, przy szopie z sianem, w której umieszczone były nasze konie. W izbie gorąco było zresztą nie do wytrzymania i roje much. Drzewa nie brakowało, więc buchnął za chwilę napalony przez Jana ogień, a z pękatego kosza poczęły się sypać, jak z rogu obfitości: drób na zimno, wędliny, sery i t. d. Za chwilę samowar był gotów; wychyliwszy więc po tęgim kielichu starki, siedliśmy do kolacyi.

Te wieczerze przy ognisku, będąc zarazem dobrze zasłużonym wypoczynkiem po całodziennych trudach, zapisały mi się głęboko w pamięci i pozostaną jednem z najmilszych wspomnień tego krótkiego leśnego życia. Kiedy ogień rozświecił stare jodły, zwieszające brodate gałęzie nad naszemi głowami, wyglądało nasze koczowisko, jak obóz cyganów, albo zbójców z operetki. Pół siedząc, pół leżąc, rozkładaliśmy się

z psami dokoła ognia, a kiedy minęło pierwsze zmęczenie i głód był zaspokojony, słuchaliśmy w późną noc opowiadań starego Jana.

Naturalnie w takiem otoczeniu i towarzystwie nie można było mówić o niczem, tylko o polowaniu. Sypały się więc, jak z rękawa, historye i anegdotki. Mnie przypadała mało zaszczytna, ale wygodna rola słuchacza, bo nie śmiałem zabierać głosu tam, gdzie co chwila mówiono o łosiach, rysiach i niedźwiedziach. Nie dawniej jak ostatniej zimy, stary Jan, którego imię powtarzać będę musiał coraz częściej, zabił dwa rysie, otropiwszy je na ponowie i zapędziwszy gończemi na drzewo.

»Pan Jan« jest to jeden z tych typów, których synowie nasi znać już nie będą, bo giną razem z puszczami i grubym zwierzem, starte kulturą z oblicza ziemi. Syn zaściankowego szlachcica, rodzony syn tych puszcz, które kocha i zna na pamięć. Po ojcu zostało mu kilka włók puścizny i mały folwarczek. Nie długo jednak cieszył się swym dobytkiem, bo stale przekładał pobyt w lesie nad gospodarkę, a fuzyę częściej miewał w ręku, niż pług albo kosę. Źli ludzie twierdzili — ale któż bo nie ma niechętnych! — że do szynku zaglądał pan Jan za często, święcąc w dobranem gronie myśliwskie tryumfy. Słowem, poszła ojcowizna, a Jan wstąpił w służbę do ojca mego

kolegi w charakterze trochę strzelca, trochę sługi, a trochę przyjaciela, bo i nieboszczyk namiętnym był myśliwym.

Służył stary im wiernie, odbywał ze swym panem dalekie podróże, cierpiał nędzę nawet dla drogiego pana. Kiedy na obczyźnie przyszła choroba, strzegł pana, jak oka w głowie, pochował go, a powróciwszy do starych kątów, niańczył młodego panicza. Stąd stosunek Jana do mego kolegi innym był, niż zwykle sługi do pana. Zresztą był to bywalec, dużo widział, dużo cierpiał, więc odgrywał często rolę mentora wobec młodego dziedzica, któremu często prawdę rżnął w oczy. Koniec zimy i wiosnę spędzał Jan pod dachem, przy kominie, bo męczyły go reumatyzmy i w lesie nie było co robić. Nie lubił towarzystwa przeciętnych, pracujących ludzi, zazdroszcząc im może trochę własnego kąta i niezależności. Tęsknił wtedy za swobodą i bywał podobno zrzędnym i ospałym. Latem, chcąc coś robić, doglądał niby roboty w polu. Wyglądał przez ten czas przymusowego bezrobocia staro i chodził zgarbiony. Lecz kiedy w lasach pożółkły liście i jesienne mgły zawisły nad rojstem, kiedy młody pan przyjechał z zagranicy na koniec uniwersyteckich feryi — stary Jan zmieniał się, jak dotknięty różdżką czarodziejską. Skulony grzbiet prostował się, oko nabierało blasku i budził się dawny »Jaś«, dzielny strzelec,

trochę kłusownik, a trochę zawierucha, skory do kieliszka.

Knieja była jego żywiołem, w niej żył dopiero naprawdę. Nikt nie wiedział lepiej, niż on, gdzie może »stać« łoś, gdzie tokowiska głuszców, gdzie najlepiej ciągną słonki. Od pierwszego wejrzenia zrozumiałem, co może być warta przyjaźń takiego leśnego wilka na polowaniu, i wszelkiemi siłami starałem się pozyskać jego względy. Byłem o tyle szczęśliwym, że udało mi się to w zupełności, a korzystałem oprócz tego z przywilejów gościa, któremu Jan pragnął dobrze przedstawić knieje i litewskie polowania, więc opływałem, jak pączek w maśle.

Prowadził mnie w miejsca, gdzie spotkać można było głuszce, wołał mnie, rozbiwszy stadko cietrzewi, do których strzelaliśmy pojedyńczo, wskazywał błotka, na których siadywały dubelty — a wieczorem, kiedy zmęczeni, wynurzani w błocie, wracaliśmy do koczowiska, ledwie powłócząc nogami, opiekował się mną, jak niańka. Były to chwile, w których stary Jan zdumiewał mnie swą żelazną wytrzymałością. Chodził w ciągu dnia tyle, co inny, a może nawet więcej, nosił sążnistą torbę, wyładowaną zwierzyną, i na wieczór, kiedy mój kolega i ja wyciągaliśmy się bez duszy na sianie, nie mając sił nawet na zmianę bielizny i umycie się, Jan znajdował jeszcze dość energii, żeby rozpalić

ogień, nakarmić ludzi i psy, wypatroszyć zwierzynę i urządzić nasze posłania.

Był on istną opatrznością naszej wyprawy. Bez niego groziły nam: niewygoda, głód i zniechęcenie na każdym kroku. On był duszą i sprężyną naszego leśnego życia. On myślał o wszystkiem i robił za wszystkich, a załatwiwszy bieżące sprawy, zasiadał obok nas u ogniska, i jeżeli sen nie skleił nam tymczasem oczu, opowiadał dzieje otaczających nas lasów i dawnych polowań. Być może, iż w innych warunkach, w codziennem, zwyczajnem życiu, byłby mi się Jan wydał trochę kłamcą i próżniakiem, ale tu, zdaleka od wszelkiej kultury, wśród lasów, był on typem nieporównanym, stanowił sam przez się jedną z najciekawszych stron moich wrażeń.

Kiedy po dziennym trudzie zasiedliśmy dodoła ogniska, rzucającego krwawe blaski na bliskie jodły, stare i zgarbione, jakby zdziwione, kto przyszedł kłócić ich wiekowy spokój i sen nocny, wtedy stary Jan był w swoim żywiole i zaczynał opowiadać. Czem dla stepu ukraińskiego lirnik, śpiewający dzieje szlaków i kurhanów, tem był dla kniei litewskiej ten stary, brodaty strzelec. Jak bard, śpiewał nam co wieczór historyę tych lasów, tych głębi, w których snuliśmy się, jak banda cyganów, opowiadał ich chwałę i leśne dramaty, które miały miejsce, i w których sam czynny brał udział. Nasza

gromadka, rozłożona dokoła ognia wśród lasu, przypominała mi sceny z »Wolnego strzelca«, tylko tu sam byłem aktorem i bawiło mnie to leśne życie i opowiadania nieskończenie więcej, niż najwspanialszy teatr. Nasze gawędy ciągnęły się często w późną noc. Księżyc był w pełni, wschodził późno i często wytaczał się wysoko nad czarny las, a my siedzieliśmy dokoła gasnącego ogniska, zasłuchani w opowiadanie starego myśliwca, i czekaliśmy, aż świt zapędził nas do szopy na siano.

Pierwszego wieczora po przyjeździe do S., Jan wyprawił nas wcześniej spać, bo »i pan z drogi, i jutro do lasu«.

Spaliśmy w szopie na sianie. Szopa była nowo stawiana, brakło jej wrót i połowy dachu. Za to powietrze było ciepłe, łagodne, komarów mało, a siano pachło tak, jak pachnie leśne siano, sucho sprzątnięte.

Z rozkoszą wyciągnąłem zbite podróżą i niewywczasem ciało, na miękkiem posłaniu, ale usnąć nie mogłem. Po głowie szumiała mi myśl, że oto jestem w tych litewskich puszczach, do których tak długo tęskniłem, o których tyle myślałem i słyszałem. O parę kroków ode mnie szumi oto chłodny, ciemny las, w którym znajdę się za parę godzin. I cietrzewie i głuszce, które mam ubić, są już także, śpią gdzieś niedaleko ode mnie z wtulonemi pod skrzydła główkami

Uczułem trochę wyrzutów sumienia na myśl, że je jutro niewinnie mordować będę, że przyjechałem tak daleko jedynie dlatego, żeby zakłócić ich spokój i szczęśliwy leśny żywot. Wszystkie te myśli i obrazy kłębiły mi się jedne przez drugie w głowie i mieszały się z cudownym zapachem siana, upajając mnie, jak haszysz.

Black, pomrukując, ułożył mi się w nogach, wzdychając głęboko przed zaśnięciem, bo kolacya z miejscowej osypki nie smakowała mu i był w fatalnym humorze. Mój kolega i Jan chrapali już w kącie szopy, konie chrupały siano, wszędzie było cicho, spokojnie i jasno w tę lipcową, miesięczną noc. Przez nieprzykrytą część dachu widziałem kilka gwiazd i białą chmurkę, stojącą nieruchomie na niebie. To było ostatnie wrażenie tego wieczoru i z tym obrazem pod powiekami usnąłem.

Nazajutrz, ledwie pierwsze blaski świtu zarumieniły na wschodzie niebo, byliśmy na nogach. Spać mi się chciało jeszcze ogromnie, ale widząc, że moi towarzysze już wstali, zerwałem się i ja, i wyszedłem przed naszą szopę zobaczyć, jak wygląda okolica po dniu.

Las zaczynał się już za szopą, ale nie widać go było jeszcze zupełnie, bo tonął w mgle i w mroku porannym. Wszystko, co nas otaczało, przesycone było wilgocią; z każdej igły na jodłach wisiała kropla rosy, trawa na ziemi wy-

glądała, jak posrebrzona, nawet nasze odzienie było wilgotne. W jednej chwili to chłodne, świeże powietrze ranka orzeźwiło mnie i gotów byłem ruszyć choćby zaraz. Na pieńku kipiał już samowar, nastawiony przez Jana, kiedyśmy jeszcze spali.

— Będzie pogoda, chwała Bogu — rzekł stary myśliwy — bo mgła idzie w ziemię.

Pośpiesznie piliśmy herbatę, parząc sobie usta, byle tylko czasu nie tracić.

W kwadrans byliśmy gotowi, ubrani, obuci — i uzbrojeni, ruszyliśmy do lasu, poprzedzani przez skomlące radośnie psy, uszczęśliwione naszym rynsztunkiem i przygotowaniami. Minęliśmy małe, nieskoszone pólko owsa i razem z pierwszymi promieniami ukazującego się słońca weszliśmy w las. Nie był to nasz poczciwy mazowiecki, albo wielkopolski lasek, pełen liściastych drzew, zielony, zamieszkany przez świergocące do rannego słońca ptactwo, wesół i pachnący. Tu widać było tylko siwe i czerwonawe pnie grubych jodeł, na ziemi mnóstwo łomu, potrącanego nogami i kłującego w stopy, a wszystko to porosłe obfitym, brodatym mchem, zwieszającym się całymi pękami z każdego drzewa.

U nas mech jest skromny, dyskretny, rośnie tylko na północnej stronie drzewa i chroni gospodarza swego od zimna, płacąc w ten sposób za komorne i gościnność. Tu mech jest potęż-

ny, panujący nad wszystkiem, rośnie na każdej najdrobniejszej gałęzi i odbiera jej żywotne soki, ciągnięte z ziemi. Te brody, wiszące smutno ku ziemi, nadają drzewom pozór starości i zgrzybiałości, który uderza od pierwszego wejrzenia. Oprócz tego lasy, które widzieć tam miałem sposobność, są martwe i milczące, bo zupełnie brak w nich drobnych ptaszków, ożywiających nasze lasy. Spotyka się jedynie dzięcioły, pukające o stare, zmurszałe drzewa. Zwierzyny niema zresztą w większych lasach, bo brak podszycia. Jedynym krzewem, jaki spotkać można, jest lichy, przejrzysty jałowiec.

Po półgodzinnym marszu przez las, zmoczeni obtrząsaną z igieł i mchu rosą, wyszliśmy na miejsca, na których las począł się niższy, rzadszy i jeszcze więcej opanowany przez mech. Stąpaliśmy po miękkim mchu, a nogi zapadały się co chwila w torf, zostawiając w wyciśniętych stopami śladach wodę. Byliśmy na torfniakach, nazywanych tu rojstami.

Dwa są rodzaje rojstów: mokre i suche rojsty. Jedne i drugie tem się odznaczają, że rosną na torfie, który stanowi charakterystyczną ich cechę. Stosownie do tego, czy położenie jest wysokiem i pokład torfu suchym, czy też bagnistym, rojst nazywają suchym lub mokrym. Istnieje jeszcze i trzecia nazwa, bardzo blizka dwóch pierwszych: »mszarnik«.

Mszarnik jest to miejsce zupełnie bagniste, najczęściej kotlina wśród wilgotnego rojstu. Po rojstach można chodzić, na mszarniku śmierć czyha na śmiałka za pierwszym zaraz krokiem, któryby postawił na zielonej, nęcącej powierzchni. Mszarnik bowiem, jak twierdził Jan, »nie ma dna«.

Za mego pobytu na Litwie, w jednym z sąsiednich zaścianków wilki wpędziły konia na mszarnik. Zaledwie przednie nogi biednej szkapy dotknęły zwodniczego gruntu, zapadł się przodem z głową. Obezwładnionego w ten sposób wilki obgryzły z tyłu do kości. I mój kolega, i doświadczony Jan, zalecali mi więc wielokrotnie, żeby mszarników strzedz się, jak ognia, bo śmierć w nich czatuje.

Wyraźnych granic między temi miejscami niema i każdy suchy rojst, zniżając się, przechodzi w mokry, w którym znowu najniższe miejsca, jak studnie, stanowią mszarniki.

Chodzenie po rojstach należy do najtrudniejszych, jakie znam, bo w pokładzie miękkiego, grzązkiego torfu leży mnóstwo niezgniłych sęków i gałęzi, które kłują stopy za każdym krokiem. Na powierzchni rosną wysokie trawy, albo wrzos, plączący się dokoła nóg, ignących w torfie, a sama powierzchnia nie jest równą, tylko usianą kępami, o które myśliwy potyka się co chwila, rozbijając sobie palce u nóg. Nie

wiem, jakie obuwie byłoby najodpowiedniejsze. O długich butach nie może być mowy, bo te, zwłaszcza oblepione torfem, byłyby za ciężkie i, jak mówili miejscowi myśliwi, trzebaby »zostawić nogi« na pierwszej wiorście. Angielskie sznurowane trzewiki byłyby odpowiednie, gdyby nie haki, zaczepiające się o trawę i wrzos.

Idąc za przykładem mego kolegi, wdziałem litewskie chodaki ze skóry, sznurowane rzemieniami. Okazało się jednak, że i te nie są praktyczne, bo skóra za cienka nie chroni dostatecznie podeszwy, zwłaszcza rozmiękniętą. Z początku wydało mi się, że mam skrzydła u nóg, tak łatwo i lekko było mi chodzić. Po godzinnym jednak marszu, czy to wskutek rozmięknięcia skóry, czy też moje nogi stały się wrażliwszemi, każdy krok, stawiany na ukrytym w torfie sęku, sprawiał mi ból, a do domu wróciłem z nogami opuchłemi i piekącemi, jak gdybym chodził po świeżo wysypanej szosie. Nauczony doświadczeniem, obułem nazajutrz miejskie kamaszki, ale te zostawały w błocie i wyciągałem z nich nogi. Pozostałem więc nadal przy miejscowych łapciach, zabezpieczając tylko nogi kilku parami skarpetek.

Co się tyczy reszty ubrania, tam, jak i wszędzie, gdzie myśliwy narażony jest na gorąco w dzień, a wilgoć i chłód w nocy, koszula z cienkiej flaneli oddaje niezmierne usługi i jest

najwygodniejszem i zarazem najzdrowszem ubraniem. Istnieje powszechnie między myśliwymi przekonanie, że flanela jest latem za gorąca. Jest to stanowczo fałszywe, zwłaszcza, jeżeli wełna jest cienka. Wentylacya, niezbędna dla spoconego ciała, jest przy flaneli daleko dokładniejszą i łatwiejszą, niż przy płótnie i perkalu, które to tkaniny, raz zmoczone potem, stają się zupełnie nieprzepuszczalnemi dla parującego dalej z ciała potu. Wiedzą o tem doskonale Anglicy i Francuzi, ubierający się podczas pobytu w swych podzwrotnikowych koloniach jedynie we flanelę.

Ale wracam do naszego rannego polowania i do miejsc, w których szukaliśmy łupów.

Otóż, jeżeli chodzenie po mszarnikach grozi śmiercią, nie idzie za tem bynajmniej, żeby chodzenie po rojstach było łatwem i przyjemnem. Tęgo już zmachani, doszliśmy wreszcie do miejsc, na których torfu już nie było, a zaczęły się suche, wysokie zagajniki, rosnące dziko i gęsto, zmieszane z jałowcem. Psy szukały skwapliwie, zacinając się często na starych śladach. Black, przywykły do szukania w otwartych polach, gdzie chodził tak daleko, jak mu się podobało, nie rozumiał, dlaczego trzymam go ciągle przy nodze. Jako pointer, był on psem, zupełnie do polowania w gąszczu nieodpowiednim, bo wietrzył daleko i niknął mi ustawicznie z oczu. Na

Litwie najodpowiedniejszą rasą psów są setery, idące chętnie na błoto i bardzo karne. Black zresztą, dzięki ogromnemu doświadczeniu i posłuszeństwu, był mi niezmierną pomocą, tem więcej, że nos miał od miejscowych psów nieskończenie lepszy i, raz wpadłszy na świeży trop, już z niego nie schodził.

Pierwszą, wystawioną przez Blacka sztuką była stara cieciorka. Byłem już kapitalnie znudzony i zniechęcony, kiedy spostrzegłem Blacka, wyciągniętego do krzaka jałowca. Serce mi zabiło i w mgnieniu oka byłem tuż przy nim. Nie zdążyłem tchu złapać, kiedy z krzaka podniósł się duży, szary ptak, szybko machając skrzydłami i silnie łopocąc. Nie uleciał dziesięciu kroków i padł, rażony strzałem.

Popełniłem czyn wielce niemyśliwski, zabijając samkę. Uszło mi to, jako gościowi. Zresztą byłem nowicyuszem i, mimo szczerej chęci, nie potrafiłbym był rozróżnić cieciorki od cietrzewia. W duszy myślałem sobie zresztą: — Jeżeli sądzicie, że przyjechałem pięćdziesiąt mil i łażę teraz od świtu, zrywając na torfie nogi, żeby widzieć zrywające się cieciorki i nie strzelać, to się mylicie. — Ostatecznie Jan wpakował swój łup do torby i ruszyliśmy dalej do łąk i moczarów, gdzie spodziewane były głuszce.

Z suchych zagajów zeszliśmy znowu na mo-

kre łąki, porośnięte gęstą trawą i wikliną, które przechodziły z kolei miejscami w jakieś obeschnięte bagna, na których rosła i trzcina. Miejscowość miała pozór niezmiernie dziki i dziewiczy, a ciągnęła się, jak okiem sięgnąć. Nietylko głuszec, ale łoś, ukazujący się na tem tle, nie byłby mnie zdziwił. Rozciągnęliśmy się szerokim łańcuchem, zajmując dużą przestrzeń łąki.

Chwilami towarzyszów swoich traciłem z oczu, potem znów widziałem ich głowy nad lasem trzcin i wikliny. Szliśmy wolno naprzód tym miarowym krokiem myśliwego, idącego za szukającym wyżłem, który to ruch robi nas podobnymi do bocianów. Środkiem szedł mój kolega, prawego skrzydła bronił stary Jan, lewe ja zajmowałem, hamując nieustannie gorącego Blacka, który odbiegał ciągle za daleko.

Pusto było dokoła. Ani ptaszka, ani motyla, ani nawet komarów nie było w tych miejscach głuchych i bez życia. Słońce wzbiło się tymczasem wysoko i przygrzewało mocno, bo wiatru nie było. Nad sitowiami trzęsło się powietrze. W końcu ogarniać mnie poczęły nudy i zniechęcenie w tej pustce, gdzie nic, nic się nie ruszało, niczego nie było, na czem możnaby zatrzymać oko. Wspomniałem polowania w Królestwie, gdzie od siódmej do jedenastej dać można było pięćdziesiąt strzałów. Zacząłem już żałować swej eskapady, dającej przyjemności

stanowczo za mało, wobec strasznego zmęczenia i trudów, z którymi musieliśmy się łamać.

Naraz, tuż koło mnie, Black zaciął się przed dużym, płaskim, jak plaster pleśni, krzakiem wikliny. Spuścił wzniesioną do góry łapę, postąpił krok naprzód i znowu stanął, mijając krzak bokiem. Nuda, zmęczenie i zły humor odleciały ode mnie na ten widok. Pies stał ciągle, jakby przed nim wzniósł się nagle niewidzialny a nieprzebyty mur, przez który nie mógł się przełamać. Czując mnie blizko, zachęcany mem cichem »allons Black, allons«, ruszył dalej tym miękkim, pełzającym krokiem wyżła, czującego zwierzynę w pobliżu.

Cały drżący, nos, grzbiet i ogon w jedną poziomą wyciągnąwszy linię, zdawał się płynąć po powierzchni wysokich traw. Łapy podnosił tak wolno, tak ostrożnie, tak miękko stawiał je na ziemi, jak gdyby za każdym krokiem stawiać miał nogę na ostrym kolcu. Zdawało się, że w każdym jego ruchu jest za wiele siły, że każdy ruch byłby za duży i za pełny, gdyby nie hamował go całą siłą instynktu, każącego mu skradać się i pełzać. Cała jego istota była gdzieś w wysokich trawach, w miejscu, które odgadywał jego szlachetny, wytworny nos. Nie trącił silniej żadnej gałązki, nie złamał źdźbła trawy, wijąc się między przeszkodami, jak wąż. Chwilami w gęstej trawie ginęły jego nogi i wów-

czas zdawało się, że płynie, prująć trawę piersiami...

Magnetyczny prąd jakiś, bijący od niego, owładnął i mną. Czułem przez bluzę, jak mi serce skacze w piersiach. W skroniach tętniały mi pulsa i szedłem tuż za nim z palcem na cynglu, cały drżący. Chwilami stawał i zwracał ku mnie wielkie, żółte oczy, szeroko otwarte, jakby upewniając się, że jestem dość blizko. Potem spuszczał wzniesioną łapę i pełznął dalej. Spodziewałem się starego cietrzewia wyliniałego, t. z. »kosacza«, o których mistrzowskiem wyciekaniu nasłuchałem się poprzedniego wieczora. — Ale i Black, piechur pierwszej wody, nie zmęczy się, a nos ma taki, że raz na śladzie, już z niego nie zejdzie — myślałem w duchu. Szedłem tedy, jak przykuty do psa, stosując swoje kroki do jego ruchów. Kiedy on stanął, i ja się zatrzymywałem, przestając oddychać, cały w oczach, czekając, rychło zobaczę zwierzynę.

Patrząc przed siebie, widziałem, że o jakie trzydzieści kroków przed nami wiklina i trawy kończą się, jak nożem obcięte, a zaczyna się goła, równa, jak stół, płaszczyzna. Pies tymczasem stawał coraz mocniej, wszywał się, jak igła, w najgęstsze krzaki i kępy, w końcu kładł się na brzuchu, pełzając, jak jaszczurka, i posuwał się tylko, popychany przeze mnie gwał-

tem nogą. Płaszczyzną, którą widziałem z daleka, było wyschnięte jakieś bagno, pokryte nizkim mchem, zielonym, jak sukno. Przed ostatnim krzewem wikliny, za którym zaczynało się już miejsce gładkie, stanął Black, jak wryty, i nie chciał się ruszyć, mimo usilnego trącania go nogą i zachęty głosem.

Chciałem go minąć i sam wydeptać to, co było w gęstwinie. Ale zaledwie zrobiłem krok przed nos psa, krzak zaszumiał, jakby ożył, i roztrącając z hałasem gałęzie, podniósł się jakiś duży ptak wielkości indora, głośno łopocąc skrzydłami. Krótką chwilę słyszałem głośne łop-łop-łop skrzydeł, bezwiednie podniosłem broń do twarzy i, wycelowawszy machinalnie w ciemną, ruszającą się przede mną, masę piór, pociągnąłem za cyngiel...

Przez dym wystrzału widziałem, jak ptak spadł kamieniem na ziemię. Rzuciłem się ku niemu, wołając na psa, kiedy z boku rozległo się powtórne łopotanie i drugi ptak podniósł się rzeźko z krzaka. Zmierzyłem się powtórnie, pociągnąłem drugi cyngiel i drugi ptak spuścił się na ziemię. Z radością rzuciłem się do zabitej zwierzyny, nie zważając już na trzecią sztukę, wyrywającą się za mną, a którą byłbym zabił, gdybym był zachował zimną krew i nabił wystrzeloną broń...

Black rzucił się tarmosić zabite ptaki, a ja

stałem, oddychając ciężko, jak ktoś, co z trudnej próby wychodzi szczęśliwie. Nerwy, długo napięte do najwyższego stopnia, wracały zwolna do równowagi; czułem, że mi się ręce trzęsą.

Moje ornitologiczne wiadomości wystarczały, aby poznać, że zabite dwie sztuki, leżące po szczęśliwej dublecie u moich nóg, są głuszcami. Byłem głęboko wzruszony, patrząc na tę wspaniałą zwierzynę, do królewskiej liczoną, której wielu dzielnych myśliwych nie widziało inaczej, jak w gabinetach zoologicznych. Tak wspaniałej dublety nie dałem nigdy w życiu. Black, również uszczęśliwiony, obwąchiwał nieznaną mu zwierzynę, machając radośnie ogonem.

Były to przepyszne dwa samce, dobrze już wypierzone, czarniawe, ciężkie, jak indory, sprzedawane w Warszawie pod nazwą tuczonych. Razem ważyły przeszło piętnaście funtów. Tymczasem ściągnęli i moi towarzysze, odgadując, że musiało mnie spotkać coś niezwykłego. Nawet Janowi, który zęby zjadł na polowaniach, zaimponowała moja dubleta.

— Ot! kiedy mu dał — odezwał się stary, podnosząc w górę zabitego pierwszym strzałem głuszca.

Rzeczywiście, ptak, strzelany *à bout portant*, był jak rozmiażdżony całym nabojem drobnego, cietrzewiego śrutu.

Nie szczędzono nam powinszowań i pochwał,

które Black przyjmował obojętnie, jako rzecz, z prawa mu się należącą i z dawna powszednią.

Nie mieliśmy już co robić w lesie, bo dubleta do głuszców nie zawsze się zdarza, zawróciliśmy więc do naszego koczowiska przez tę samą łąkę, która była tryumfu mojego teatrem. Byliśmy zresztą tak, jak i nasze psy, tęgo zmachani.

Tu miałem sposobność porównać wytrwałość pointerów z wytrwałością psów z długim włosem, z którymi polowali moi towarzysze. Kiedy biedne psiska wlokły się z wywieszonymi językami noga za nogą, Black był niestrudzonym i z całym ogniem przekładał przed nami galopem, przetrząsając łąkę. Zabicie jednak czterech cietrzewi i dubelta przeszło bez wrażenia i więcej gawędząc, niż polując, doszliśmy do naszego obozu zmęczeni, zlani potem i zabłoceni, ale w wybornych humorach i głodni, jak wilki.

Co do mnie, jeść nie mogłem; wypiłbym studnię całą, ale woda była niegodziwa, błotnista i pełna wymoczków. Bałem się febry, więc poprzestałem na szklance zimnej herbaty, pozostałej od śniadania. Leżeliśmy bez duszy na sianie i, rozkoszując się wypoczynkiem, czekaliśmy śniadania, które przyrządzał tymczasem żelazny Jan, krzątając się koło naszego zbóje-

ckiego gospodarstwa. Wypatroszył ptaki, zabite rano, i napchał im brzuchy pachnącem jakiemś zielem, tymiankiem, zdaje mi się. Miało to powstrzymać psucie się, którego, wobec gorąca, spodziewać się należało szybko.

Nie zawiodło mnie smutne przeczucie. Pomimo, że wyjazd mój nastąpił wcześniej, niż się spodziewałem, głuszców, którymi pochwalić się chciałem przed znajomymi, do Warszawy zabrać nie mogłem, bo poczynały być nieświeże. Śniadanie jedliśmy, jak wszystkie posiłki, leżąc pokotem dokoła pieńka, na którym zastawiał Jan nasze uczty. Pić, ach, pić chciało mi się piekielnie przez cały mój pobyt na Litwie, a wody nie było. Za późno przyszedłem do przekonania, że trzeba było zabrać filtr mały, kieszonkowy i proszków burzących. Syfon wody sodowej miałby tam wartość nieocenioną.

Zaspokoiwszy głód, poszliśmy spłacić dług słodkiemu Morfeuszowi. Zmęczenie i senność zamykały nam oczy gwałtem, a pachnące siano nęciło nas do siebie nieprzeparcie. Black, jak ja, potrzebujący spoczynku, ułożył się pierwszy na mojem miejscu, uważając je za wspólne, i mnie zostawił tylko wązki brzeg posłania od ściany szopy. Pamiętny jego rannych zasług, nie niepokoiłem go zbytecznie i wkrótce obadwaj zasnęliśmy słodkim snem, pełnym głuszców i cietrzewi. Usypiając, słyszałem, jak po-

szczekiwał przez sen, marząc o jakiejś chimerze ze skrzydłami.

Pod szopą było strasznie parno i duszno, czułem przez sen, że mi gorąco i zmora mnie dusi. Obudziłem się wcześnie, była ledwie druga po południu. Moi towarzysze spali jeszcze, psy i konie spały, jakby cała okolica zasiana była snem-trawą. Myślę, że nawet głuszce i cietrzewie spały w okolicznych rojstach, bo lasy wydały mi się więcej jeszcze martwe i milczące, niż rankiem.

Byłem cały zlany potem, wyszedłem więc przed szopę odetchnąć świeżem powietrzem. Psy podniosły głowy, jeden, korzystając z przebudzenia, przeciągnął się, podrapał za uchem i, ziewnąwszy, wyciągnął się, jak długi. Black niechętnie i mrucząc powlókł się za mną, uważając widocznie za swój obowiązek nie odstępować mnie w tej obcej krainie.

Cicho i sennie było dokoła. Lasy przesłoniły się niebieską, leciutką mgłą, podnoszącą się z rojstów, a nad blizkiem pólkiem nieskoszonego owsa trzęsło się powietrze. Miałem dużo czasu przed sobą, bo ruszyć mieliśmy do lasu dopiero o piątej po południu. Dzień był prawdziwie lipcowy, skwarny i pełen słońca jasnego i złocącego wszystko, na co padały jego promienie.

Czekając na swych towarzyszów, zatopionych w głębokim śnie, usiadłem na pieńku w cie-

niu jodły i, zapaliwszy papierosa, zacząłem dumać, patrząc na śpiącą okolicę. Przeniosłem się myślą do Warszawy, żałując wszystkich, co się tam wędzili w rozpalonych murach, pełnych kurzu i cholery. Potem z kolei zacząłem przypominać sobie, gdzie spędzałem inne lata, i w pamięci stanęło mi inne popołudnie letnie w południowej Francyi, spędzone na wycieczce w górach. Tak samo świeciło wtedy gorące słońce, tak samo spało wszystko dokoła, tylko świerszcze śpiewały w tysiącznych głosach swą skrzypiącą piosenkę. I wtedy nie mogłem spać, leżałem wyciągnięty, w cieniu skały i patrzałem na wspaniałą panoramę, kąpiącą się w złotem słońcu. Ale wówczas widnokrąg kończył się oceanem, który z góry wyglądał, jak posypany złotem, a daleko, het, na końcu horyzontu, płynęła łódź z białymi żaglami, a płynęła tak wolno, że nie psuła tej ciszy i tego spokoju. Widok był tak piękny, że chyba szatan, kuszący Chrystusa, nie pokazywał piękniejszego. Na pierwszym planie czerniały cienie, rzucane przez potężne skały, u stóp widać było, jak na dłoni, jakieś białe miasteczko, schowane w zieleni, z której wyglądały tylko czerwone dachy domków i kilka rybackich wiosek, porzuconych jak gromady kamieni, nad lazurowem morzem, pozłoconem promieniami słońca. Powietrze było górskie, przejrzyste, w którem przedmioty, na-

wet bardzo dalekie, rysowały się jasno i wyraźnie, jak na dłoni, a wszystko było małe w tem powietrzu i jasne, jak nowe domki dziecinne, wyjęte z pudełka. Człowiek czuł się tam oderwanym od ziemi i bliższym nieba w tem cudnem powietrzu...

Tu byłem także w samem sercu natury, ale krajobraz był inny. Wszystko było jakieś głębokie, tajemnicze i przesłonięte parą. Widnokrąg był ciasny, ale czuć było duże, ogromne obszary leśnych głębi dokoła. Jeżeli tam w górach czułem w sobie coś nieziemskiego prawie, to tu czułem się istotą ziemską, od ludzi daleką, dobrze ukrytą wśród tych puszcz i błot. Z rozkoszą myślałem o tem, jak daleko odsunąłem się od wszystkiego, co jest cywilizacyą, miastem i drukiem. Było to właśnie takie życie, o jakiem marzyłem, jakiem przeżyć chciałem choć dni kilka, skryty w lasach z moim psem i ze strzelbą w ręku.

Żal ścisnął mi serce, kiedy pomyślałem, że kilka takich dni jeszcze i skończy się ta romantyczna włóczęga po lasach i rojstach, ta swoboda, te wieczory przy ogniu, i wrócić trzeba będzie do pracy, do miasta i do codziennych, monotonnych trosk o chleb powszedni. Żal mi się zrobiło bezczynnie traconych chwil, poczułem w sobie cały zapas sił, zbieranych od roku,

i gotów byłem ruszyć, choćby zaraz, do lasu, byle być w ruchu i używać swobody.

Wróciłem do szopy. Tu spało jeszcze wszystko, nawet konie przestały chrupać siano i stały ze spuszczonymi łbami, drzemiąc. Było zresztą wcześnie, wpół do czwartej. Przyszło mi z początku do głowy ruszyć samemu, nie czekając na śpiących, ale porzuciłem tę myśl, jako niepraktyczną. Nie znając lasów, mogłem się zabłąkać i nie znalazłbym zwierzyny w obcej miejscowości na wielkich obszarach. Z rezygnacyą tedy zabrałem się do czyszczenia strzelby i czekałem na swych towarzyszów. Zresztą próba mej cierpliwości niedługo trwała, bo po kwadransie wyszedł mój kolega, zaspany jeszcze, spocony i oblepiony sianem. Po chwili ukazał się i stary Jan, a obadwaj radzili czekać jeszcze, bo cietrzewie w gorąco tkwią ukryte w najgłębszych gąszczach i dopiero z nadejściem chłodu ruszają na żer.

W mgnieniu oka pojawił się nastawiony przez Jana samowar. Gawędząc, piliśmy herbatę i czekaliśmy chłodu, a w godzinę potem zbrojno i wesoło ruszyliśmy na nowe łowy.

O ile rankiem grzęźliśmy w mokrym torfie i miękkim mchu, o tyle po obiedzie polowaliśmy w miejscach przeważnie wysokich, suchych, porośniętych wrzosem i silnie woniejącem »bagnem«, które w miejscowej gwarze »bahunem«

nazywają. Jest to, o ile się nie mylę, *Ledum palustre*, roślina w medycynie stosowana. W tych samych miejscach często, w najbliższem sąsiedztwie rośnie t. zw. »pijanica«, roślina, równie jak bagno, silnie pachnąca. Jeśli dzień jest gorący, bez wiatru, zapach bywa tak silny, że pies przestaje węszyć, a myśliwego boli głowa. Nie bez racyi więc nazywają jeden z tych krzewów pijanicą. Zapach jej odurza, jak trunek, i głowa ciężyć poczyna.

Długo, długo szliśmy razem, nic nie spotkawszy. Napróżno psy, szukając ochoczo, przetrząsły każdy krzak, każdy zaułek — las pozostawał martwym i pustym. A jednak miejsca były dziwnie ponętne i obiecujące. W Królestwie w takich miejscach trzęsłoby się od zajęcy i sarn — tu była pustka i głusza. Zresztą sama miejscowość nazywała się Głuszą.

Po dwóch godzinach bezowocnej włóczęgi, nudnej i męczącej, jak zawsze polowanie bez zwierzyny, zasiedliśmy pod cienistym drzewem dla odpoczynku. Jan był w złym humorze i wyrzucał memu koledze, że wyszliśmy zawcześnie podczas gorąca, które psom odebrało węch. Uśmiechnąłem się w duszy, wspominając dni, w których, pomimo skwaru, Black znajdował całe tuziny kuropatw, nie opuszczając ani jednej. Ale tam były kuropatwy, a tu nie było, oprócz komarów, nic.

— Łosie tu musiały być w Głuszy? — zapytałem Jana, chcąc go wyciągnąć na opowiadanie.

— Ta jakże nie? Były. Sam zabiłem jednego na Długiem Błocie, jeszcze za nieboszczyka pana. Zimą było. Szedł na sztych, a kiedy ja jemu dał pod róg, to się aż zatoczył, jak pijany, dopiero drugi raz strzelał do boku, kula poszła w serce, i padł — odpowiedział z ogniem stary.

Zły humor zniknął na to wspomnienie i coraz to nowe historye posypały się, jak z worka.

Ach, lasy to były, lasy, o których nam bajał stary myśliwiec! Gdzie położenie wyższe, piaszczyste góry, tam jodły nieba sięgały. Po nizinach kisły rojsty niezgłębione, niezbadane, jak mateczniki Mickiewicza. Zwierza musiała być moc, skoro bito jednego dnia po ośm łosi. Dziś w tych samych miejscach nie mogliśmy znaleźć lichego cietrzewia.

Posiedziawszy godzinę, zasłuchani w opowiadanie Jana, ruszyliśmy dalej, orzeźwieni wspomnieniem lepszych czasów i pełni nadziei. Jakoż odwróciła się karta, bo, ledwie uszliśmy dwieście kroków, psy stanęły. Stały razem do tego samego krzaka jałowca, z wyciągniętemi, jak strzały, pyskami. Obstąpiliśmy krzak dokoła, gotowi do strzału, zachęcając psy do ruszenia naprzód. Jakoż młoda suka mego kolegi, prawdziwe

»*enfant gâté*«, nie wytrzymała i rzuciła się ogniście do krzaka, wyprzedzając oburzonego takiem zachowaniem Blacka, który jeszcze silniej przycisnął się do ziemi, widząc namiętny ruch swej towarzyszki.

Z pod samego nosa suki wyrwał się stary cietrzew, wznosząc się w górę pionowo, jak świeca. Był tak blizko jej nosa, że skoczyła w górę i kłapnęła zębami, chcąc go przytrzymać. Wszystko razem nie trwało sekundy; padły najprzód trzy gorączkowe strzały, potem znów trzy, i cietrzew, szybko machając skrzydłami, nietknięty poleciał do lasu. Strzelaliśmy, jeden ubiegając drugiego, i, jak się zwykle dzieje w tych warunkach, spudłowaliśmy wszyscy niemiłosiernie, śpiesząc się zbytecznie. Zresztą wypadek ten nie bardzo nas zmartwił, bo niepowodzenie dzieliło się na trzy równe części, więc znieść je było łatwiej.

Śmiejąc się, rozeszliśmy się i zajęliśmy las szerzej. W chwilę potem widziałem, jak Jan zatrzymał się, a z przed niego poderwało się stadko sporych, szarych ptaków. Mgnienie oka widziałem ptaki, zawieszone przed nim w powietrzu; stary podniósł broń i z końca luf dmuchnęły dwa obłoczki niebieskawego dymu. Dwa ptaki, jak dwa kłębki szarej wełny, upadły na ziemię, odłączywszy się od reszty gromadki, która poleciała w tę stronę, co i pierwszy cietrzew.

Straciłem je z oczu dopiero daleko na tle lasu, zasłaniającego widnokrąg.

Zaczynało się widocznie powodzenie, bo i Black złamał się w pełnym biegu i, zgięty w pół, stanął na obszernem wrzosowisku. Ze sposobu, w jaki stanął, z jego miny poznałem, że zwierzyna siedzi tuż przed jego nosem. Był to stary wspaniały samiec cietrzew, kosacz. Zerwał się, jak pierwszy, wzlatując pionowo w górę i gdacząc głośno. Ogon roztoczył, jak lirę, a błyszczał cały w słońcu, jak stalowy. Strzał był idealnie łatwy, jak zresztą zawsze do cietrzewi, jeśli nie przeszkadza gąszcz leśny.

Z prawdziwym zachwytem przypatrywałem się pięknemu ptakowi, przyniesionemu przez Blacka. Jeżeli głuszec jest rzadszym, trudniejszym do zdobycia i więcej pożądanym przez myśliwych, to cietrzew jest nieskończenie piękniejszym pod względem upierzenia i kształtów. Zabity przeze mnie kosacz nie był tak pięknie upierzony, jak cietrzewie, bite na tokowisku, ale pomimo to był pięknym w całem znaczeniu tego słowa ptakiem. Grzbiet i szyja granatowo stalowego koloru, jak w pancerzu zakute, pióra w ogonie zawinięte w obwarzanki, a nad oczyma, jak brwi półksiężyce purpurowe. Musiał być starym, sądząc po nogach, opatrzonych w twarde, jasne pazurki i grzebień rogowy między palcami.

Miałem przez chwilę wyrzuty sumienia, patrząc na przepysznego ptaka, niewinnie zamordowanego. Żył sobie szczęśliwie w swych rodzinnych puszczach, których był ozdobą, które napełniał wiosną, życiem i grą miłosną, a oto zjawił się z dalekich stron prawdziwy najeźdźca i zabrał mu niesprawiedliwie jedyny jego skarb — życie... Black nie podzielał tych sentymentalnych zapatrywań i niecierpliwie zaglądał mi w oczy, pytając, dlaczego tracimy czas napróżno, skoro tak dobrze idzie. Przytroczyłem więc cietrzewia i ruszyliśmy dalej.

Ale czas mijał, a spotkać nie mogliśmy nic, pomimo usilnego szukania Blacka. Zaczynałem być zmęczonym, kości mnie bolały, a ładownica z przytroczonym cietrzewiem piłowała mi ciało okrutnie. Fuzya, która rano wydawała mi się lekką, teraz obrywała mi ręce, jakby centnar ważyła. Nauczony rannem doświadczeniem, patronów zabrałem tylko dwadzieścia, przekonawszy się, że na Litwie nie strzela się tyle co u nas do kuropatw, a pomimo to, wydawało mi się, że objuczony jestem, jak wielbłąd. Zresztą moi towarzysze nie byli szczęśliwsi, bo strzałów nie było słychać i lasy były głuche i martwe.

Do wieczora było jeszcze daleko i nadziei nie należało tracić. Swoją drogą o zabiciu więcej cietrzewi myślałem z pewnym strachem, bo

ten, którego już nosiłem, utrudniał mi niezmiernie ruchy, cóżby więc było, gdyby zamiast jednego wisiało mi u torby ośm.

Minąwszy wysoki grzbiet, na którym z pomiędzy wrzosu połyskiwał żółty piasek, zaczęliśmy iść po obszernej równinie, pokrytej suchym mchem i wrzosem, z pomiędzy którego wyglądały spróchniałe pieńki po dawno widocznie wyciętym lesie. Nie spodziewałem się tam wielkich rzeczy, bo okolica miała wygląd nagi i pusty. Mój kolega i Jan byli niedaleko, skręciłem więc ku nim, chcąc w wypalonym wspólnie papierosie poszukać pociechy. Z miłem zdziwieniem dostrzegłem, że psy ich »mają coś«. Przyśpieszyłem więc kroku i wkrótce zrównałem się z nimi, idąc za psami.

Black, posiadający nos nieskończenie lepszy od miejscowych, niewyraźnej rasy seterów, wyszedł odrazu na czoło i, niosąc wysoko głowę, poprowadził czworonogą trójkę. Nie potrzebowaliśmy iść zbyt daleko, bo na nieznacznej górce, porosłej gęsto wrzosem i jałowcem, psy stanęły. Pamiętając, do czego prowadzą strzały, dawane wspólnie, trzymałem się umyślnie na uboczu, nie chcąc strzelać razem z drugimi.

Mój kolega był najbliżej psów, podszedł więc do nich najpierwszy. Jak stado rakiet, wypuszczonych jednocześnie, zerwała się gromada jasnych ptaków, głośno furkocząc skrzydłami

i krzycząc zapamiętale. Pardwy! przeleciało mi przez głowę i zmierzyłem pośpiesznie do lecącego ukośnie ptaka, który na tle nieba wydał mi się zupełnie białym w świetle zachodzącego słońca. Widziałem, że ptak spadł równo ze strzałem, więc, nie odejmując broni od ramienia, zmierzyłem do drugiego, który nawinął mi się przed lufami. Strzeliłem dość daleko, ale równie szczęśliwie, jak do pierwszego, i druga jasna plamka znikła z modrego nieba, spadając we wrzosy.

Pobiegłem do leżącej pardwy, która trzepotała jeszcze skrzydłami, a drugą tymczasem aportował mój pies, radośnie machając ogonem. Moi towarzysze mniej byli szczęśliwi, bo dostała im się jedna tylko sztuka i to sporna. Byłem prawie równie zadowolonym, jak z rana po zabiciu głuszców.

Pardwa, mieszkanka północy *par excellence*, intrygowała mnie zawsze niezmiernie i rad się z nią spotykałem. Nie wiem, dlaczego strzał do tej zwierzyny uważany jest na Litwie za bardzo trudny. Co do mnie, pominąwszy, że do pardw strzelać trzeba czasami w gąszczu, między drzewami, nie uważam strzału do pardwy za trudniejszy, niż do kuropatwy.

Rozbite przez nas stadko liczyło, jak twierdził Jan, do piętnastu sztuk: liczba wcale u pardw nie nadzwyczajna. Ponieważ zabiliśmy starego samca, odznaczającego się od młodych czar-

nem podgardlem, więc była nadzieja, że dostaniemy ich więcej, pozbawionych troskliwości i ojcowskiej opieki. Z obyczajów pardwa zbliża się daleko więcej do kuropatwy, niż do sąsiada swego cietrzewia. Podobnie jak kuropatwa, jest jednożenną i, równie jak ona, troskliwie zajmuje się liczną rodziną, której nie opuszcza, dopóki młode nie wyrosną zupełnie i nie utworzą własnego ogniska i gospodarstwa.

Lecz nie jest moim zamiarem opisywać ptaki szczegółowo. Po znakomitych opisach Taczanowskiego byłoby to zuchwalstwem. Oddałem swoje młode pardwy Janowi, noszącemu sążnistą torbę siatkową, mieszczącą w razie potrzeby całe tuziny ptaków, i ruszyliśmy łańcuchem na poszukiwanie reszty stadka. Tym razem Dyana wyraźnie odwróciła ode mnie wdzięczne swe oblicze, bo, mimo szerokiego szukania Blacka, nic znaleźć nie mogłem. A jednak pardwy były, bo słyszałem rozlegające się peryodycznie strzały mych towarzyszów.

Nareszcie po długiem, długiem chodzeniu pies stanął do rozłożystego krzaka jałowca, ścielącego się płasko po ziemi i bardzo gęstego.

Była to naturalna forteca, do której nie łatwo się było dostać. Naprożno Black zachodził z różnych stron, usiłując się wcisnąć do środka; splątane i najeżone ostremi igłami gałęzie kłuły go w nos, i cofał się, spróbowawszy, wreszcie

znudzony denerwującem oczekiwaniem, wszedłem do krzaka sam, chcąc wydeptać upartego gościa.

Ledwie dobrze stanąłem na nogach w kolczastym kobiercu, kiedy za mojemi plecami wyrwała się z głośnem furkotaniem i krzykiem pardwa, a za nią druga. Obrócić się nie mogłem, bo byłem literalnie oplątany w jałowiec, sięgający mi do kolan. Wykręciłem się więc tylko połową ciała i, stojąc w najniewygodniejszej pozycyi, strzeliłem i chybiłem z obu luf.

Przeklinając jałowiec, wygramoliłem się z krzaka i, nabiwszy broń, zacząłem przetrząsać gorliwie blizkie krzaki i wrzosy, spodziewając się więcej pardw w pobliżu. Jakoż o pięćdziesiąt kroków od fatalnego miejsca siedziała i trzecia, którą zabiłem, bo poderwarła się blizko i wygodnie. Dalsze poszukiwania pozostały bezowocnemi — krzaki były puste. Po ruchach psa miarkowałem, że w pobliżu niema nic więcej i że wszelkie dalsze szukanie byłoby próżnem. Czułem straszne zmęczenie, nogi mnie paliły, jak gdybym stąpał po rozżarzonych węglach, chciałem więc odpocząć trochę i poleżeć, czekając na towarzyszów. Odpiąłem ładownicę i wyciągnąłem się, jak długi, na miękkim mchu.

Wiedziałem, że braknie mi czasu wypocząć zupełnie i to, że, wstając, będę więcej jeszcze zmęczony, ale nie mogłem pomimo to oprzeć się

pokusie wyciągnięcia zmęczonych upałem i ruchem członków. Zapaliłem papierosa i, założywszy ręce pod głowę, leżałem na wznak, lubując się odpoczynkiem i wpatrując się bezmyślnie w przeciągające mi nad głową białe obłoczki. Ze strachem odpędzałem od siebie myśl, że od naszego obozu dzielą nas jeszcze dobre trzy wiorsty, które trzeba będzie zrobić, zanim wolno mi będzie naprawdę odpocząć.

Cóż to za różnica z polowaniem w Królestwie, gdzie w podobnych chwilach miałem na zawołanie bryczkę, którą w kwadrans można było stanąć w domu, gdzie czekało wyborne łóżko i gorąca herbata! Tu liczyć mogłem jedynie na swoje siły i spodziewać się, że opuchnięte nogi doniosą mnie do szopy, gdzie znajdę swoje posłanie z siana i kieliszek wódki.

Silna to musi być namiętność, którą okupywać trzeba takim trudem i wysiłkami, a która przecież budzi się zawsze świeża i nieugaszona. Sądzić jej, jak wszelkich ludzkich słabości, miarą zdrowego rozsądku niepodobna. Inaczej, w jakiemże świetle przedstawiłby się myśliwy, który w zimny, mglisty dzień rzuca wygodny fotel i ciepły kominek po to, żeby, brodząc dzień cały po błotach i bagnach, gdzie zdrowie zawsze, a czasami i życie narażać trzeba, zabić parę kaczek albo bekasów, których wartość nie opłaca nawet wystrzelanej amunicyi. Zamiast spodzie-

wanych łupów, myśliwy przynosi nieraz reumatyzm i zapalenie płuc, wieczorem wraca bez duszy od zmęczenia, a jednak nazajutrz gotów znowu rozpocząć pełen nowych sił i nigdy niegasnącej nadziei, bo zawsze pcha go naprzód ta sama, wiecznie gorąca żądza wrażeń i przestrzeni.

Każdy z nas nosi w sobie ukrytą, mniej lub więcej głęboką chętkę nadzwyczajnych wrażeń i przygód. Czy to jest zabytek stanu pierwotnego, z czasów, w których życie zdobywać trzeba było w bezpośredniej walce z naturą, tlejący, jak iskra, stłumiona popiołem cywilizacyi — czy też naturalny zwrot ludzkości ku warunkom prostszym i zdrowszym, jakie znaleźć można jedynie w zetknięciu z przyrodą? Nie wiem! Dość, że każdy, najwięcej nawet zniewieściały człowiek czuje potrzebę odpoczynku na łonie tej pierwszej matki — natury. Ludzkość spostrzegła się, bodaj czy nie zapóźno, że za długo zaniedbywano ciało, duszę jedynie pielęgnując, i śpieszy teraz gorączkowo naprawić błąd, który odbijać się począł srodze na naszym rozwoju fizycznym i na naszem zdrowiu. Pierwsza ruszyła w tym kierunku cywilizowana Anglia; za nią rwały więzy rutyny Francya, Niemcy i t. d. I odtąd mnożą się po szerokim świecie kluby i stowarzyszenia, rozwój sił i ciała mające na celu.

Wybrani tego świata podróżują po dalekich krajach, żeglują po morzu i pną się po górach; mniej szczęśliwi wiosłują i gimnastykują się, byle wyprostować zakrzepłe członki i zaczerpnąć świeżego powietrza opleśniałemi płucami. Powodzenie, jakiego doznaje wszędzie demokratyczny rower, najdobitniej wykazuje potrzeby cywilizowanego świata. Z zapałem przyjęto nowego gościa i ludzkość zgarbiona, połamana i niezgrabna, przebiera nogami, szukając ruchu i przestrzeni. Niezaprzeczenie gra tu znaczną rolę moda i chęć naśladownictwa, ale niezmierne uznanie, jakiem cieszy się kołowy sport, dowodzi, że potrzebnym był tani, łatwy sposób zbliżenia się do natury i powietrza, sposób codzienny i przystępny dla każdego. Nikt chyba, znając stosunki, w jakich żyć trzeba w wielkich miastach, nie zaprzeczy prawdziwości tych słów, ani wielkiego znaczenia, jakie mają w naszym wieku wszelkie ćwiczenia cielesne i sporty. Bądź co bądź, są one tylko bodźcem do emulacyi i zachętą, bo samą treścią jest potrzeba zdrowia i sił, które znaleźć można tylko w bezpośredniem a częstem przestawaniu z przyrodą. Tam powietrze, tam słońce, tam sen i zdrowie!

Najdawniejszym, najwięcej rozpowszechnionym i lubionym sportem było po wszystkie czasy, aż w najgłębsze, przedhistoryczne sięgając, myśliwstwo. Jaskiniowy nasz przodek jadł mięso

i odziewał się skórą zabitych przez siebie zwierząt. Starożytni czcili polowanie w osobie jednej z najnadobniejszych bogiń, Dyany, przyznając jej najcenniejsze przymioty, wdzięk i siłę. Wreszcie chrześcijaństwo wyróżniło łowiectwo, oddając je pod opiekę wyłączną jednego ze świętych, naszego patrona, św. Huberta. Mijały wieki, zmieniały się pokolenia i obyczaje, a ludzie polowali, zawsze stawiając łowiectwo w rzędzie najprzedniejszych rozrywek, właściwych nawet królom i stanowi rycerskiemu.

Dzisiaj, choć zmieniły się czasy, choć wytrzebiono lasy i wytępiono grubszą, szlachetniejszą zwierzynę, za którą uganiali się nasi ojcowie, polowanie nie przestaje kwitnąć i po dawnemu biją żywiej serca na trąbkę w kniei albo na widok ściągającego legawca.

Od każdego sportu wymagamy wogóle ruchu i pewnej ilości wrażeń. Sport, w którym ruch jest jednostajnym, a ilość wrażeń odbieranych nieznaczną, jest sportem monotonnym i nudnym. Odwrotnie, rozmaitość dokonywanych ruchów i duża ilość wrażeń robią sport zajmującym i zabawnym. Niezaprzeczenie pierwsze miejsce należy się pod tym względem myśliwstwu. Rozmaitość terenu, po którym myśliwy szuka zwierzyny, zmienność pogody, coraz to inne krajobrazy — oto pierwsze przyczyny, dla których polowanie nie bywa nigdy nudnem. Co się tyczy

wrażeń, to niezmierna ich ilość, następujących szybko jedne po drugich, coraz nowych i przykuwających całą uwagę, stanowi właśnie główny powab polowania. W kniei i na polu żyjemy prędzej, goręcej; wszystkie nasze władze umysłowe i fizyczne równocześnie wchodzą w działanie. Myśl, uwaga, wszystkie zmysły działają razem, zaostrzone tą samą namiętnością, która nas pcha naprzód przez bagna i zarośla, niepomnych na trud, a często na niebezpieczeństwa. I dziwna, niezrozumiała rzecz! Właśnie te trudy i niebezpieczeństwa stanowią jeden z głównych uroków, najsilniejszą zachętę polowania.

Znaną jest powszechnie namiętność, z jaką polują górale na kozice; ojciec, podarty w kawały w przepaści, albo zasypany na wieki lawiną, zostawia ją w puściźnie synowi, który rusza w góry, niebaczny na niebezpieczeństwa, czyhające na każdym kroku w postaci zawrotu głowy na karkołomnej ścieżce, śnieżyc, huczących na stokach, albo kuli strażnika. Ginie i syn pod godłem pięknej Dyany, a wnuk prowadzi dalej zgubne rzemiosło...

Tak rozmyślałem na miękkim mchu litewskiego rojstu i nie zważałem, że słońce schowało się za bory i na ziemię, rozgrzaną dziennym upałem, zapadać począł chłodny wieczór. Myśl, że trzeba się będzie podnieść i chodzić,

odpędzałem od siebie jak natrętnego komara.

Przewróciłem się tylko na bok, wpatrując się w ciemne lasy na widnokręgu, tonące w półcieniu wieczornej godziny, i podparłszy głowę na ręku, myślałem ze zdziwieniem prawie, że na tym samym świecie, na którym jest ta cisza, są gdzieś dalej za lasami i bagnami wielkie miasta z ich tramwajami i elektrycznością; fabryki, zatruwające ludzi dymem i węglem. Sam sobie wydałem się innym człowiekiem w tem otoczeniu ciszy i spokoju. W głowie czułem tę słodką bezwładność, jaka opanowywa człowieka po silnych wstrząśnieniach nerwowych i po zmęczeniu fizycznem.

Z daleka, jakby z pod ziemi, doleciało mnie głuche »Hop-hoop!« starego Jana. Rozbudziłem się z zamyślenia i, nie chcąc narażać poczciwego starego na próżne wołanie, odkrzyknąłem z całych płuc.

Po dziesięciu minutach nawoływania zobaczyłem ich, jak wlekli się przez rojst, nogi ledwie pociągając. Byli obadwaj w najgorszym humorze, bo trafili na resztę rozbitego stada pardw i, strzeliwszy kilkanaście razy, zabili jedną tylko sztukę. Widząc, jak są pomęczeni, zaproponowałem krótki spoczynek. Doświadczony jednak Jan oparł się temu stanowczo, nie chcąc czekać nocy, bo do naszego obozu było

daleko, przeszło dwie wiorsty drogi przez rojst, po którym i we dnie nie łatwo było chodzić.

Zaczął się więc odwrót, gęsiego za Janem, otwierającym pochód. Był to chyba najfatalniejszy kawał drogi, jaki zrobiłem w życiu.

Jeśli rojst za dnia jest terenem niewygodnym i trudnym, to w nocy wydał mi się on istnem piekłem. Co chwila potykałem się o leżące w mchu sęki i gałęzie, rozbijając obrzękłe i zbolałe nogi. To nieustanne chwytanie uciekającej równowagi, utrudnione jeszcze grzązkim torfem, po którym prowadziła ta dantejska droga, było nad moje siły i wstyd tylko wstrzymywał mnie od kategorycznego oświadczenia mym towarzyszom, że wolę nocować w lesie, niż wracać po takiej drodze do domu.

W duszy przeklinałem chwilę, w której przyjechałem na te wertepy, zabite rano głuszce, całą Litwę z jej rojstami, a nadewszystko moje pardwy, kołyszące mi się u pasa i tłukące mi nogi. Kiedy szliśmy przez jakąć polankę, przed samym nosem mignął mi ptak; nie sięgnąłem nawet po fuzyę, bo brakło mi energii do wykonania tego ruchu.

— To nocnica [1]) — objaśnił Jan.

Kozodój odprowadził nas ze sto kroków, migając przed nami w prawo i w lewo, jakby się

---

[1]) Lelek — kozodój.

chciał przypatrzyć, co to za milczące postacie budzą śpiącą puszcze.

Z suchego rojstu spuściliśmy się za Janem, który prowadził nas na przełaj, w mokre grzęzawiska. Jeżeli pochód po rojście był już okropnym, to tu droga zaczynała się nie do opisania. Noc zrobiła się już zupełna, ciemna, choć oko wykól, zarośla stały się jeszcze gęstszemi i czarniejszemi. Pod nogami czułem ustawicznie wodę, ciepłą od dziennego upału. Na bagnie rosły jakieś kępy, o które zawadzałem co krok nogami, zapadając się między kępami po kolana. I tu, jak w rojście, nie brakło gnijących złomów, kaleczących stopy. Czasami stawiałem nogę na jakiś zgniły pień, który zapadał się pod mym ciężarem, więżąc mi nogę. Powietrze przytem było tak parne i duszne, że oddychać było trudno i literalnie pływałem w pocie.

Nie wiem, jak długo trwała ta droga, bo w końcu nie byłem w stanie nawet myśleć, i dobywałem resztki sił na wyciągnięcie nóg z błota, po którem stąpałem. Zawieszone u pasa ptaki kręciły się na trokach, jak żywe, kołysząc się i podskakując za każdym moim ruchem. I to utrudniało mi pochód niezmiernie. Z pomiędzy wszystkich wrażeń, odebranych w ciągu mego pobytu na Litwie, ten nocny powrót zapisał mi się najgłębiej w pamięci; nie zapomnę go, póki życia.

Wreszcie po jakiejś godzinie, czy dwóch takiej męczarni, zaczerniała przed nami szopa z sianem; byliśmy u celu. Resztką sił dowlokłem się do siana i, odpiąwszy pas mej ładownicy, rzuciłem się, jak martwy, ani pomyślawszy nawet o zmianie odzienia i o posiłku. Usypiając, czułem, jak poczciwy, nieoceniony Jan rozsznurowywał mi łapcie i nakrywał kocem.

Upadł tej nocy tęgi deszcz; przez niedokończoną połowę dachu lały się na mnie strumienie wody, a pomimo to spałem, jak kamień, i nie obudziłem się aż rano, zmoknięty, jak kura.

Była to, jak przyznawał sam Jan, niezwykła eskapada nawet dla niego, który przez długi swój wiek nieraz wracał nocą, zmęczony całodziennem polowaniem.

Obudziłem się dość późno cały zmoknięty i drżący od zimna. Za szopą palił się rozniecony, duży ogień, przy którym towarzysze mej wczorajszej niedoli suszyli odzienie i gotowali herbatę. Miałem na szczęście suchą, wełnianą koszulę, którą przywdziałem, zrzuciwszy czemprędzej mokre szaty. Bolały mnie wszystkie kości, nie mogłem rozprostować skostniałych członków, ale czułem się wogóle dość dziarskim i wypoczętym po wczorajszej przeprawie. Zasiadłem przy ogniu w kuczki i popijałem gorącą herbatę, lubując się ciepłem, bijącem od płonącego stosu.

Życie zaczynało w nas wstępować i miny

po wczorajszem znużeniu i nocnym prysznicu mieliśmy niezłe. Upłynęły dwie godziny, zanim wyschło nasze odzienie, rozwieszone nad ogniem; na cietrzewie było już tego ranka zapóźno. Obiecywał nam za to Jan dubelty niedaleko, na które też ruszyliśmy, nie chcąc tracić drogiego czasu.

Słońce już było wysoko i tylko na głębokim lesie znać było ślady wczorajszego deszczu. Błoto, na które prowadził nas stary sługa, zaczynało się o dwieście kroków od naszej szopy; iść więc nie potrzebowaliśmy daleko i, założywszy patrony z bekasim śrutem, zaczęliśmy polowanie. Zaraz na początku łąki wpadłem w jakąś głęboką dziurę, z której ledwie mogłem się wygrzebać, zabłocony do pasa. Niebezpieczeństwa nie było, ale błoto było jakieś dziwnie lepkie i tłuste tak, że, obsychając, utworzyło pancerz, który mocno utrudniał mi ruchy.

Miejscowość była zupełnie dziewicza, pusta i głucha. Oprócz myśliwych nie chodził tam chyba nikt; trawy nie cięto, bo była dzika i kwaśna, pomieszana z sitowiem i tatarakiem; grzyby nie rosły, więc i okoliczni włościanie nie mieli tam po co chodzić. Nawet bydło nie utrzymałoby się na grzązkiej i trzęsącej powierzchni. Miejscami trzciny były gęste, jak las, a sitowia dorastały długością człowieka. Po bagnie, wogóle nizkiem i grzązkiem, rozsypane były, jak wy-

sepki, małe, piaszczyste pagórki, pokryte karłowatą brzozą i wrzosem.

Krajobraz był tak dziki, że chwilami zdawało mi się niepodobnem, żeby te miejsca leżały w Europie, tak bardzo odpowiadały obrazom, w jakich przedstawiały mi się indyjskie dżungle, albo pampasy Ameryki.

Zwierzyny, oprócz kilku kszyków, które zerwały się poza obrębem strzału, nie było. Na dubelty było widocznie jeszcze zawcześnie. Łąka ciągnęła się wązkim pasem między dwiema ścianami lasu, szeroka może na wiorstę. Widząc, że na łące nic niema, zwróciłem się ku bliższemu lasowi, chcąc użyć przynajmniej cienia, a może upolować jakiego rzadszego ptaka. Jakoż ledwie zbliżyłem się do zarośli i począłem iść wzdłuż ciągnącej się ściany boru, kiedy z nad drzew na dwadzieścia kroków wyleciał spokojnie i powoli jakiś wielki, czarny ptak, duży, jak czapla, i podobny do niej z ruchów. Ponieważ szedłem tuż pod drzewami, nie zauważył mnie i wymierzyć mogłem spokojnie. W chwili, kiedy pociągnąłem za cyngiel, zobaczyłem, że ptak ma wiśniowe nogi. Po strzale obsunął się miękko, ukośnie na ziemię i upadł powoli, jak liść z drzewa, z rospostartemi szeroko skrzydłami. Oglądając go zblizka, domyśliłem się, że mam przed sobą czarnego bociana.

Niepodobna się było omylić, bo, pominąwszy

upierzenie, podobny był z postawy do białego, pospolitego Maćka zupełnie. Zresztą i miejscowość wskazywała, że to może być czarny bocian, który jest mieszkańcem puszcz *par excellence*. Dziób i nogi ciemno-wiśniowe, pierze białe na piersi i brzuchu, przechodzące na grzbiecie w czarny, aż stalowy kolor, robią z niego pięknego ptaka, w całem znaczeniu tego słowa.

Byłem uszczęśliwiony moim łupem, ale na razie rzeczywiście nie wiedziałem, co z nim począć. Chcąc go kazać wypchać, nie mogłem go troczyć do ładownicy, bo to pogniotłoby mu pióra; nieść go zaś w ręku, znaczyło to zrzec się dalszego polowania. Ułożyłem go więc na poprzecznych gałęziach jodły i, zapamiętawszy dobrze położenie i miejscowość, żeby do nich trafić, ruszyłem dalej, trzymając się ciągle brzegu lasu.

Widocznie nadobna Dyana łaskawym na mnie patrzyła okiem, bo nie uszedłem dwustu kroków, kiedy zobaczyłem psa, stojącego pośród drobnych krzaków na brzegu łąki. — To już nie bocian, bo widziałbym go z daleka, ale co to być może? — myślałem, śpiesząc z bijącem sercem do wyciągniętego, jak struna, Blacka. Ptak musiał siedzieć twardo, bo pies trzymał nos spuszczony prawie pionowo ku ziemi. Trąciłem go lekko nogą, budząc go z zachwytu, i pies rzucił się naprzód łapami, jak gdyby chciał nakryć ucie-

kającą mysz. Zaszumiało w trawie, załopotało i z pod samego nosa psa wyrwał się stary, zleniały cietrzew, wzlatując w górę, jak świeca. Black sunął za nim w górę, ale go już nie dosięgnął. Nie mogłem chybić, mając ptaka na 10 kroków na czystem miejscu. Spadł, jak kamień, pomimo, że śrut miałem drobny, bekasi.

Nie był to cietrzew tak piękny, jak kosacze na tokowisku, ale wypierzony już był zupełnie. z wygiętemi w lirę piórami w ogonie. Nad oczyma, jak dwie smugi krwi, czerwieniły się korale w formie półksiężyca. Ucieszył mnie ten strzał więcej, niż zabicie pół tuzina młodych cietrzewi, bo wolę zawsze jedną a dobrą sztukę, do której strzał długo pozostaje w pamięci.

Przytroczyłem swój łup do ładownicy i nabijałem wystrzeloną lufę, kiedy zobaczyłem podchodzącego mego towarzysza. Słysząc strzały, przypuszczał, że trafiłem na stadko cietrzewi, i przychodził brać udział w poszukiwaniu. Znalazło się zresztą niedaleko i stadko, z którego zabiliśmy pięć sztuk młodych, ale zupełnie już wypierzonych ciecieruków, t. zw. »farbowików»,

Dwa zabiliśmy siedzące na drzewie; nietylko nie uciekały, widząc nas stojących pod drzewem, ale przypatrywały nam się ciekawie, przekręcając główki, zupełnie jak młode indyki, kiedy posiadają wieczorem na gałęzi. Była to istna rzeź niewiniątek.

Wyszedłszy z lasu na łąkę, spotkaliśmy Jana, idącego ku nam w towarzystwie jakiegoś drugiego myśliwca, którego mój kolega znał już dawniej i pozdrowił, jako strażnika sąsiednich lasów.

Jan, choć był sam przez się typem nieporównanym, zgasł przy nowym naszym kompanionie tak, jak gaśnie ranny miesiąc w promieniach wschodzącego słońca. Od stóp, obutych w skórzane łapcie, ogromnych i płaskich, jakby stworzonych do chodzenia po grzązkich rojstach, aż do głowy, nakrytej, mimo lipcowego skwaru, futrzaną kapuzą, ciągnęło się długie, kościste ciało, odziane w szary samodział z miejscowych owiec. Żadna żywsza barwa nie cieszyła oka w tej postaci, podobnej do suchego pnia drzewa. Stworzonym wydał mi się ten syn lasów do przemykania się niepostrzeżonym przez puszcze; miał nawet w sobie dużo podobieństwa do sióstr swych, jodeł, od których mało co był niższy. Rynsztunek myśliwski tego litewskiego Don-Kiszota składał się ze strzelby, przerobionej ze starego karabina, za długiej, jak jej właściciel, i ze starej torby borsuczej o wytartym włosie i czarnej od nalepionego całymi wiekami brudu.

Znajomość okazała się niezmiernie drogocenną, bo leśnik poprowadził nas w miejsca, gdzie nie strzelano w tym roku cietrzewi. Co do ilości zabitej zwierzyny, był to najbogatszy dzień na-

szych polowań. Zabiliśmy oprócz dwóch dubeltów i bociana czarnego, zdobytego przeze mnie, 43 cietrzewi, rezultat, jak na tamte strony, i to w roku stosunkowo w zwierzynę ubogim, niebywały.

Dnia tego widziałem kawał starego i dziewiczego lasu, kawał istnej puszczy. Z powodu procesu, toczącego się o ten szmat lasu, utopionego między błotami, nikt go nie tykał. Waliły się sosny i jodły z czasów Witolda, a nikt ich nie podnosił, bo nie miały właściciela. Zato las wyglądał zupełnie pierwotnie, a gąszcz był miejscami nie do przebycia. Ziemię zaścielały gnijące gałęzie, połamane starością i wichrami, między drzewami pełzał dziki chmiel, plącząc między sobą mniejsze drzewa i krzewy. Paprocie dorastały na gruncie, bogatym w wilgoć, do niebywałych rozmiarów. Była to zresztą jedyna drobniejsza roślina, jaka zostać się potrafiła w tych głębiach leśnych, do których nigdy nie zaglądało słońce.

Zasypany śniegiem, las taki musi być zupełnie nie do przebycia, ale pięknie wygląda w oczach myśliwego z pewnością. Tak wyobrażałem sobie zawsze knieje, w których za dawnych czasów polowali nasi przodkowie, tura dopiero i niedźwiedzia do grubej licząc zwierzyny.

Rozkoszowałem się tą puszczą i ciszą, przerywaną tylko pukaniem dzięciołów po spróchnia-

łem drzewie. Było ich tam tak wiele, jak nigdy przedtem nie widziałem, widocznie ściągniętych pokarmem, którego dostarczały zgrzybiałe, opadające z kory, olbrzymy.

Późno po południu wróciliśmy do obozu zmęczeni, zerwani zwierzyną, którą dźwigać potrzeba było, mimo upału.

Wieczoru, który nastąpił po tem popołudniu, nie zapomnę nigdy. Po skwarnym dniu i po deszczu zapadł cudny, gwiaździsty wieczór, chłodny, wonny i bez mgły. Blizki las wydawał się jeszcze czarniejszym, ognisko jaśniejszem. Wszystko razem wydało mi się tak pięknem, tak romantycznem, tak odmiennem od codziennego żywota, jak nigdy. Poprostu uczułem się człowiekiem innym, niż zwykle, o szerszym duchu, szerszej piersi, łatwiej czującym to, co piękne i dobre, lepszym.

Długo, długo w noc siedzieliśmy, a raczej leżeli, leniwie wyciągnięci na pledach, zasłuchani w opowiadania starych myśliwców, którzy, jakby się chwaląc, kto więcej widział, coraz to lepsze opowiadali zdarzenia i historye. Nie wszystko w nich było prawdą, ale mniejsza o to, byle się słuchało przyjemnie. Jan, bywalec, piękniej umiał opowiadać, zato leśnik był więcej prawdziwym i więcej miał charakteru. Nawet jodły nie szumiały dokoła, zasłuchane w opowiadaniach starych myśliwych, a księżyc wypłynął z za bo-

rów na sam szczyt nieba i patrzał na nas z wysoka, cichy i pogodny. Innych on tam ludzi, inne puszcze, inne łowy widywał w tych miejscach...

Ach! a to powietrze, jakiem tam oddychaliśmy!... Od szopy ciągnęło świeże siano, jak balsam, a z lasów zalatywał nas ten silny, zdrowy zapach sosen i paproci, który idzie od lasów po gorącym dniu.

Trochę rozmarzeni bajkami starych, trochę tęskni za tem, co minęło i nie wróci, poszliśmy spać.

Nazajutrz ze świtem ruszać mieliśmy znowu na polowanie pod przewodnictwem starego leśnika, który cuda nam obiecywał w miejscach, do których nas prowadził. Leżałem jeszcze długo na sianie, wpatrując się w gwiaździste niebo, przeglądające przez niedokończoną strzechę, i usnąć nie mogłem. Jedna z gwiazd nad samym zrębem szopy, najjaśniejsza i najmigotliwsza, mrugała ciągle ku mnie, jakby się przekomarzając, że coś wie, a powiedzieć nie chce. Z jej obrazem pod powiekami usnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem, kiedy obudził mnie jakiś głos przed wrotami naszej szopy. Nastawiłem ucha i doleciały mnie słowa:» Z Warszawy — bardzo pilno — na noc wysłali z S«.

Zrozumiałem i wytrzeźwiałem w jednej chwili. To o mnie chodziło. Wybiegłem przed szopę,

gdzie konny posłaniec trzymał depeszę i rozmawiał ze starym Janem. Przy księżycu przeczytałem depeszę. Zaadresowana do mnie, te dwa tylko zawierała słowa: »Przyjeżdżać zaraz«. Podpisane nazwisko nie dopuszczało zwłoki. Obudziłem mego znajomego, bo ruszać trzeba było zaraz, jeżeli zdążyć chciałem na wieczorny pociąg. Przed świtem ruszyliśmy do S., rzucając te lasy i to życie cygańskie, pełne uroku.

Bądźcie zdrowe, knieje, głuszce i cietrzewie! Wspominam o was z westchnieniem, a myśląc o tych kilku dniach na Litwie, czuję i widzę te noce wilgotne i pachnące, ten księżyc w pełni, płynący nad obszarem czarnych lasów, i te sympatyczne twarze, oświetlone ogniskiem, dokoła którego rozkładał się co dnia nasz myśliwski tabor. O starym Janie myślę często, a wydaje mi się on — w warunkach, w których żyć trzeba, i w porównaniu z ludźmi, z którymi przestaję — istotą z innych czasów, czy z innej planety. Rozmawiamy z Blackiem o naszych tryumfach, które święciliśmy na litewskich rojstach. Black kiwa ogonem i patrzy mi tęsknie w oczy, potem ziewa i zwija się pod kominkiem w kłębek, jakby mówił: »Złe i nudne czasy, wtedy lepiej było...«

Przed południem byłem w S., skąd po obiedzie obdarowany zabitą zwierzyną, pożegnany serdecznie i wycałowany, ruszyłem w drogę, zo-

stawiając serce i wdzięczność, a najlepsze wioząc wspomnienia. Bodaj czy nie łzę obtarłem pod okiem, żegnając tych dobrych ludzi i te lasy gościnne...

Pod wieczór, jak szereg żórawi, zaczerniały słupy telegraficzne, i wstyd mnie bierze, kiedy mam wyznać, że doznałem miłego uczucia, myśląc, że te słupy to droga, wzdłuż której za dziesięć godzin będę w domu, gdzie czeka na mnie kąpiel, własne łóżko, biurko, asfalt i znajomi. *Consuetudo altera natura...*

Na dworcu w Warszawie patrzano na mnie, jak na Robinsona albo Stanleya, kiedy opalony, brudny i zarośnięty, wysiadłem z wagonu, a posługacz niósł za mną broń i powiązane pękami ptaki, nieznane u nas. I Black był uszczęśliwiony powrotem do domu, bo i on zniewieściał jak jego pan, i zaleźał pole. A jednak, gdyby nam kto zaproponował drugą podobną wyprawę, mimo trudów, mimo upału i torfniaków, powiedzielibyśmy obaj: »Choćby jutro!«

W TAKI TO CICHY, JESIENNY WIECZÓR.

(JESIEŃ).

Pani Jadwidze Jackowskiej
obrazek ten zawdzięczam i ofiaruję.

Jesień!

»Jesieni, tyś w złoto strojna i purpury!«

Jesień, ranki mgliste, dni słoneczne i słodkie, ciche wieczory. Mimo szaty bogatej, utkanej złotem ściernisk, zielenią młodej runi i szkarłatem płonącego liścia winogradu, jesień smutna czegoś, senna, jakby zadumana. Przyszła na świat jesień w zasłonach pierwszej mgły, w brylantach pierwszych szronów.

Jak sprawiedliwa, hojna pani, za znojną pracę lata przyniosła chleb na rok cały, głód ukoiła i łzy otarła, które przednówek wycisnął. Ziemia legła naga, odarta, świat stanął otworem szeroki, przestronny, jak step. Zato, gdzie spojrzysz, stogi stoją, jak miasto. Cisza, w polach pusto, w gumnach dostatek. W jasnem, ciepłem powietrzu, snują się nici babiego lata.

Daleko we wsi, słońce się w szybie odbija, promieniem strzela, jak iskrą, aż w oczy razi. Za wsią długą ławą czernieją lasy, a jeszcze dalej, na horyzoncie, jak biała igła, majaczy

wieża kościoła. Jak okiem sięgnąć, w słońcu pławią się złote ściernie i płowe uprawy, i jeszcze ściernie i jeszcze uprawy, aż w głowie się kręci i wzrok tonie w oddali, tak na świecie jasno i przestronno. Oddychać łatwiej.

Perze palą, nad polami ścielą się dymy. Między polami drożyną wóz jedzie w jednego konia, a za wozem długim warkoczem opada pył.

W mgliste ranki za żerem tłucze się gromadami wrone ptactwo, w dzień, kiedy zaświeci słońce, nad ugorami kręcą się stada siewek, a pod wieczór, o zachodzie, zawodzą żałośnie niewidzialne kulony.

Jesień.

Słońce już inne, niż latem; nie sypie żarem, niebo bledsze nie grozi burzą. W jasne dni pod wieczór, kiedy słońce nizko i kiedy cienie schodzą na ziemię w poziomych promieniach zachodu, drży złoty pył. Wówczas w ciszy i w tem oświetleniu obrazy mają coś zamyślonego, coś nieuchwytnego, jak scena z bajki, jak złudzenie. Sen idzie na świat, wszystko, co żyje, układa się do wypoczynku, więc spokój i słodycz są w przyrodzie. Tylko ludzie ruszają się jeszcze, we wsi gwar, psy naszczekują i bydło ryczy, wracając z pastwisk. U studzien, w zagrodach skrzypią żórawie, na niebo, proste, jak świece, idą słupy dymów. A cicho, pusto w lesie i na polach...

...Po zachodzie, kiedy noc zapadnie i czerwona, miedziana twarz wrześniowego miesiąca wyjrzy z nad lasu, cisza będzie głębsza jeszcze i spokój zupełniejszy. W polach wabić się będą młode kuropatwy; z czarnego lasu, wietrząc ostrożnie, wyjdą stada sarn.

W takie wieczory słodycz płynie w duszę. Świat wydaje się lepszym, pełnym łaski. Skargi cichną, bunt gaśnie, w sercu rodzi się wiara w dobro i wdzięczność za życie. A jednak, w jesiennem powietrzu, mimo słońca i pogody, jest jakby odcień żalu, jakby smutek. Smutek jest w rannej mgle, która tumanem pełza po łące, smutek jest w wichrze, wyjącym na odmianę, smutek idzie od pustych pól i od lasu, gdzie kwitną wrzosy, gdzie żółkną paprocie i gdzie pierwsze liście spadają z drzew. Pieśń dożynkowa, choć plony sławi i dostatek, na tęskną idzie nutę. Czuć, że to ostatnia fala dobrego, a to, co przyjść ma na świat, gorszem będzie, niż to, co minęło, i daleki, głuchy żal złych przeczuć budzi się w duszy, jak nietoperz o zmroku.

Spadają liście... Przeżyły jedną wiosnę i jedno lato. Człowiek! Człowiek trwa dłużej trochę, ale i dla niego jesień jest przypomnieniem końca, zapowiedzią starości, jesieni życia i śmierci, tak samo nieuniknionej, jak zima. W tej sennej, pogodnej ciszy, w tym spokoju, który zawładnął

światem, jest już zadatek śmierci. I przyjdą pierwsze słoty! Po nich, jak symbol niegasnącej nigdy nadziei i fali życia, która powraca, zazielenią się nowo posiane łany, nikłe jak wspomnienie i jak wspomnienie uparte, w jasnem powietrzu pojawią się białe nici pajęczyny, jak pierwszy znak starości, jak pierwsza siwizna na skroni.

Na niebie sznurami zaczernią się klucze gęsi i żórawi, lęcących na zachód, do krajów słońca. Ludzie żegnać je będą westchnieniem. Jesień, już jesień! Idzie zima! A potem? Potem miną jasne dni, tak jąk przemija wszystko! Ale tymczasem świat jest, jak piękna kobieta, która dała szczęście, i pogodna już, obojętna na burze i rozterki życia, patrzy na swoje dzieło i za upojenia, które minęły, dziękuje smutno uśmiechem.

Jesień... Piękniejsza, niż kipiące lato, pełne burz i zdrady. Szczersza, niż wiosna, która niesie tyle niedotrzymanych nigdy obietnic, niedoścignionych pożądań, nieziszczonych nadziei. Prawdziwsza, niż wiosna! W niej niema posiewu przyszłych rozczarowań.

Jesień! Jak pożegnanie, i smutna, i tęskna, i słodka jest razem!

W taki to cichy, jesienny wieczór szedłem ze starym Mikołajem, leśnikiem, przez las, na

zręby, gdzie o świcie i o zachodzie ryczał gruby dwunastak, najpiękniejsza sztuka w rewirze, pan i książę okolicznych kniei.

Co nocy, jak potężny hymn miłości i panowania, niosąc wyzwanie do sąsiednich rewirów, toczył się jego basowy, grzmiący ryk, od którego drżały bory.

— Gra, jak na organach — w zachwycie powiadał Mikołaj.

Mówiąc językiem kłusowników, szliśmy na rykowisko »na wychodnego«.

Spotkanie, według słów leśnika, było pewne, a o to szło tylko, czy jelenie wyjdą za dnia i dość wcześnie, aby strzał ze sztucera, może przez lunetę, był możebny.

Zresztą, w tym cichym pachnącym lesie, idąc na stanowisko, myślałem o wszystkiem, o tysiącu rzeczy bezładnie, a najmniej może o jeleniu, na którego szedłem właśnie. Upojony otoczeniem, poprostu marzyłem i radowałem się chwilą, jesienią, lasem i tem, że żyję.

Linią przeszliśmy przez młody zagaj sosnowy, ciepły jeszcze i pachnący żywicą, którą młode zdrowe drzewka, nagrzane słońcem, wypociły w ciągu dnia. Potem minęliśmy nizinę, zarośniętą olszyną, w której już chłodno było i wilgotno, a zalatywało bagnem i paprocią. Plątał się u nóg dziki chmiel, pełzający po ziemi, jak wąż; muskały po twarzy liście olszyny, odzienia kol-

cami czepiała się malina. Złotem i czerwienią mieniły się w zaroślach więdnące paprocie. Po kłodzie przeprawiliśmy się przez strugę, płynącą w olszynach, i kawał drogi jeszcze szliśmy lasem, który mroczny już był i senny pod wieczór.

Usypiał las, tylko w wierzchołkach sosen, nad głowami załopotał spłoszony grzywacz, tylko zając ruszył w podszyciu, albo, jak czerwony płomień, mignęła na pniu wiewiórka. W półciemnym, wysokim lesie, jak w gotyckim kościele, cicho było i nad wyraz uroczyście.

Wprost wdzięczny byłem Mikołajowi, że nie nawiązywał gawędy i pozostawił mnie samemu sobie. Wieczorna cisza i spokój, które były dokoła, działały snadź silnie na prostą duszę starego, bo, zwykle skory do gawędy, tym razem milczał i zgasnąć pozwolił fajce, którą trzymał w zębach. Raz tylko, westchnąwszy, odezwał się połgłosem, przez pół do mnie, a przez pół do siebie.

— To Pan Bóg dał jesień piękną. I pogoda na świecie, i na siewy dobrze.

W tych słowach i w tem westchnieniu wyrażone poprostu było całe poczucie chwili i wdzięczność, którą wezbrało chłopskie serce w ten pogodny, jesienny wieczór. Pogoda, ciepło, rok idzie chlebny! Przemilczałem, bo czułem to samo na inny sposób, a może silniej, niż stary leśnik.

Szliśmy wciąż w milczeniu dalej, cicho, tajemniczo snując się przez las, jak dwa cienie.

Do wekslu było już blizko. Las porzedniał i stał się więcej podszytym, tu i owdzie nad wierzchołkami zajaśniał między drzewami szmat nieba. Zaświeciło wreszcie jezioro; wyszliśmy na nadbrzeżne łęgi, na skraj zarośli.

Tu stary zatrzymał się, popatrzył na las i na wody, na snujące się w powietrzu nici pajęczyny, zeszedł jeszcze parę kroków ku wodzie, przystanął i oddał mi sztucer.

— Tu, na tej górze, dobrze będzie, stąd wiatru nie powinny dostać. Od prawej ręki, ze Starych Bud powinny wyjść.

Zalecał mi coś jeszcze; mamrocząc pod nosem, ułożył moją pelerynę pod rozłożystym, babiastym krzem jałowca i odszedł.

Słyszałem długo, jak stąpał po miękkiem podłożu lasu, potem ogarnęła mnie cisza; zostałem z własnymi losami i knieją sam na sam.

Nabiłem sztucer, nastawiłem lornetkę i, przyczaiwszy się zdradziecko za jałowcem, począłem nasłuchiwać. W jesiennym krajobrazie umierał powoli dzień, a z za jeziora od pól, ledwie dosłyszalne, dolatywało mnie chwilami warczenie młocarni.

Jeszcze świeciło słońce, ale nad światem był już smutek wieczoru i rezygnacya chwil, które

minąć mają bezpowrotnie i których nic zatrzymać nie jest w stanie. Jesień była w powietrzu; babie lato. Ostatni może słoneczny dzień miał się ku schyłkowi. W poziomych, nikłych promieniach zachodu, w resztkach słońca, których wypalić nie zdążyło lato, świat, choć pogodny jeszcze i ciepły, był już bez siły i bez życia, już zamierający. Żadna żywsza barwa, żaden blask nie cieszył oka. W słońcu, które już nie grzało, ziemia, jakby wyczerpana, zmęczona, leżała senna już i cicha, w ostatnim uśmiechu pogody gotując się na zimę, na śmierć. Na łąkach pożółkły trawy, na równinach szarzały łany upraw i zasiewów, na których nie pozieleniała jeszcze ruń. Tylko na drzewach liście grały barwami, w które jesienią, jak na śmierć, zwykł się stroić las. Wiatr usnął, na błękitnem, bladem niebie nie było obłoków. Pode mną, jak wielka, lustrzana szyba, zaległa martwa tafla jeziora, a za jeziorem, nad brzegiem, przeglądając się w toni i już przesłonięta niebieską mgłą oddali, majaczyła wieś jakaś, drzewa, wysadzona topolami droga i na wzgórzu wiatrak, ostro rysujący się na tle nieba. Po prawej ręce, za wodą i za łąkami, ciągnął się czarny szlak lasów, zamykających pierścieniem horyzont. Po lewej — falisto schodziły ku wodzie łęgi, a pod górę, ku równinom, szły pola, których szeroka, rozpostarta szachownica wyraźna była, jak na

dłoni. Pod drugim brzegiem, jak białe ptaki, rzucane wiatrem, błyskając w słońcu, kręciły się nad wodą mewy, i to był w tym słonecznym obrazie objaw życia jedyny. Ale objaw to był tak nikły i tak daleki, że popsuć tej symfonii spokoju nie był w stanie...

Potem, wysoko z nad lasu wypłynął klucz dzikich gęsi, zaczerniał na niebie długim sznurem i sunął w stronę zachodu, ku słońcu. W przestworzu szybował coraz dalej, na stropie nieba obsuwał się coraz niżej i niżej, już ledwie widzialny, jak szereg krzyżyków, jak niteczka czarna, aż utonął na widnokręgu i rozpłynął się w blaskach zachodu. Nawet mewy zniknęły i dokoła niepodzielnie zapanował spokój, jak gdyby w promieniach gasnącego słońca nad światem przeleciał anioł śmierci. Z ciepłego, słodkiego powietrza, czy z błękitu nieba może, spływały zawiesiste pasma pajęczyny i sennie, miękko, jak białe, wieczorne motyle, osiadały na ziemi. Za mną, już tonąc w pomroku wieczoru, odwieczną, niedopowiedzianą nigdy gwarą, szeptał coś tajemniczo las...

Powoli, nieznacznie zapadał wieczór. Za górą słońce, już odarte z promieni, leżało na ziemi, jak czerwona, ognista tarcza, i nikłem, poziomem światłem żegnało świat. Za czarną krawędź horyzontu zachodziło coraz głębiej, pozło-

ciło raz jeszcze las, w lustrze jeziora zagrało złotą łuską, aż zgasło.

W okamgnieniu krajobraz zmienił się. Poczerniała zieleń, na ścierniach zaćmiło się złoto, zgasły blaski na jeziorze. Niebo odeszło wyżej i stało się bogatszem w błękit. Po dziennym trudzie ziemia układała się do spoczynku i, usypiając, dyszała jeszcze. Pociągnęło od lasu wilgotnym chłodem, niosącym zapach sosny i paproci; od pól, wygrzanych w słońcu, szedł żywy, ciepły oddech ziemi, w którym falami niosło płodny zapach świeżo oranej roli i schnącego na pokosie potrawu.

Nad jeziorem, z pod czarnej ściany olszyn, jak rąbek białego muślinu, wstawała mgła. Od wsi i z pól na nocleg ściągało żywo do lasu czarne ptactwo.

Wszystko, co w przyrodzie żyje w świetle słońca, kryło się i zasypiało. Gdzieś, daleko za jeziorem, za olszynami, zadzwonili na Anioł Pański, wóz zaturkotał, wracając do wsi; w dalekiej zagrodzie pies zaszczekał, potem ucichło wszystko — dzień skonał. Zaczynało się nocne życie, pełne czarów, tajemniczych szeptów, podejrzeń i zdrady. Mały ptaszek zakwilił jeszcze nieśmiało na brzegu lasu, aż zamilkł i on. Cisza wydała mi się jeszcze głębszą. A było chwilami tak cicho, że zdawało się: ja słucham, ale nasłuchuje i knieja, i czeka, czy nie zdradzę

się głosem albo ruchem. Zatrzymywałem oddech i słyszałem bicie własnego serca i szept zegarka w kieszeni.

Już raz po raz mignął nad ziemią kozodój, szybki i cichy, jak myśl. Gdzieś za łąkami w polach, nawołując młode, zawabiła kuropatwa, nad lasem zaszumiało stado kaczek, lecących na ściernie, na suchy żer. Wyżej, gdzieś pod niebem, zakrzyknęła metalicznym głosem czapla i — znowu było cicho.

A las szeptał wciąż tajemniczo, opowiadał coś i obiecywał.

Za mną w zaroślach *chodziło*. Coś poruszało się, przystawało, i znowu, ledwie dosłyszalne, szeleściało coraz bliżej.

Cały w słuchu, odruchowo, ostrożnie wyciągnąłem rękę po sztucer.

Szmer ustał i w przestworzach ciszy słyszałem znów tylko, jak biło mi serce i szumiało w uszach.

Znów zaszemrało, ale tym razem słyszałem wyraźnie, że to coś chodziło nie po ziemi, lecz gdzieś wysoko w konarach drzew. Raz jeszcze przystanęło, jeszcze chwila ciszy. Potem nagle rzuciło się, szarpnęło i upadło.

Trzask złamanej gałązki, urwany pisk ptaszka; zatrzepotało na ziemi, coś zachrapało, zaszeleściało po suchych liściach i ucichło.

Szczęśliwsza ode mnie kuna leśna zakończyła już wieczorne łowy i odeszła z łupem.

Leśny dramat, jakich pod osłoną nocy dużo odgrywa się co dnia. Bo dla tych, którzy ją kochają, knieja tajemnic nie ma; odsłania swe tajnie, pozwala weselić się, smucić i płakać z nią razem. O świcie, kiedy wzejdzie słońce, w chórach witających dzień, śpiewaka jednego zabraknie.

Czas płynął, chwila za chwilą, minuta za minutą. Już poszarzało, już rozpalały się na niebie zorze, w lesie coraz to bliższe drzewa tonęły w mroku, a jeleni nie było. Wyszedł z jałowców zając, tak blizko i tak pewny siebie, że dotknąć go nieledwie mogłem ręką. Poskoczył parę kroków, zdziwiony jasnością, czy może własną odwagą; przysiadł, strzepnął słuchami i wreszcie upewniwszy się, że dokoła bezpiecznie, ruszył ku polom na żer.

Podparłszy się na ręku, patrzyłem na niebo, na którem od złota i od seledynu mienił się zachód, i biadałem w duszy, że dzisiaj do strzału już nie dojdę. Światła było dziesięć minut, może kwadrans jeszcze, a potem, choćby zwierz wyszedł, będzie za ciemno. Rozpamiętywałem żałośnie, jak to nieszczęście prześladowało mnie zawsze, ilekroć spotkać się miałem z jeleniami.

Do tej zwierzyny stanowczo nie miałem szczęścia i zawsze, w ostatniej chwili coś przeszko-

dziło. To spotkania nie było, to jelenie wychodziły za daleko, to strzelić nie mogłem z powodu łań, zasłaniających byka.

Oto i dziś szedłem na pewno niby! Byk był miejscowy, znany, przeznaczony dla mnie oddawna. Od tygodnia ryczał w tem samem miejscu, a kiedy przyszło do rzeczy, bróździ znów stary pech.

Znów nie dojdę do strzału. Albo nie wyjdzie dziś wcale, albo wyjdzie po ciemku.

I — jeszcze nie przeszła mi ta myśl przez głowę, jeszcze nie zgasła, kiedy doznałem uczucia dziwnego, niejasnego, niedającego się określić, ani ująć w słowa, uczucia, o którem potocznie mówi się, że »coś tchnęło«. Coś, jak wewnętrzny szept, nieujęty w głos, coś, jak dotknięcie niewidzialnej ręki, jak przestroga, jak znak nieodczuty przez zmysły.

— Jelenie na prawo!

A wrażenie, że jest tak istotnie, że to poczucie nie myli, nie byłoby silniejsze, ani więcej wyraźne, gdyby mnie ktoś dotknął naprawdę, albo poszepnął głosem. A jednak nie widziałem, ani usłyszałem przedtem nic.

Powoli, powoli, ostrożnie odwróciłem głowę i — skamieniałem.

Jak z pod ziemi wyrosła, o dziesięć kroków ode mnie stała stara łania. Zatrzymała się na wzgórku nieruchoma, jak posąg ze śpiżu, ciemna,

cała na tle nieba widoczna, jak na dłoni. Wyszła z lasu cicho, jak mysz, i teraz nastawiwszy bystro łyżki, wyciągnęła szyję i wietrzyła. W uszach i w nozdrzach był cały zwierz, cała jego istota, cała baczność i ostrożność. Patrzyła w stronę jeziora i, ruszając chrapami, chwytała wiatr, niepewna skąd idzie, tak samo, jak niedawno leśnik.

— Reszta stada za łanią — mignęło mi przez myśl. Skuliłem się więcej jeszcze i spojrzałem na sztucer, który od poprzedniego alarmu trzymałem w ręku.

Postawszy chwilę nieruchomo, łania ruszyła i, rozglądając się na wszystkie strony, poczęła wietrzyć. To wyciągnęła szyję, nastawiała łyżki i chwytała wiatr, to spuszczała łeb i węszyła po ziemi, jak szukający tropu pies. Widocznie natrafić musiała na coś, co obudziło w niej podejrzenie, bo długo węszyła, nie podnosząc głowy, właśnie w miejscu, gdzie były nasze ślady. Wreszcie, uspokojona, podniosła głowę i poczęła rozpatrywać się dokoła. Musiała być stara i doświadczona, bo patrzyła długo, uważnie rozglądając się, jak pani domu przed balem lustrująca salę, czy wszystko na miejscu, czy światła zapalone i nie brak niczego. Podeszła do mnie tak blizko, że dzielił nas tylko krzak jałowca, pod którym czatowałem. Poprzez zielone igły widziałem dokładnie jej oczy i łzawnice; słyszałem,

jak węszy, i czekałem, rychło mnie odszuka i pójdzie. Była chwila, że wzrok nasz krzyżował się i poprostu czułem na sobie jej oczy. Z bijącem sercem wstrzymałem oddech, w duchu powtarzając sobie: — Widzi mnie, widzi, zaraz pryśnie... — Nie dopatrzyła jednak i, wietrząc spokojnie, odeszła.

Tymczasem reszta towarzystwa, biorącego udział w zgromadzeniu, poczynała nadciągać.

Naprzód, cicho i przykładnie, jak pierwsza, z lasu wysunęły się jeszcze dwie łanie i w chwilę potem czwarta, ostrożna i spokojna, jak poprzednie. Były to najwidoczniej osoby starsze już, zapewne wielokrotne mężatki, dla których rykowisko nie było nowością. Potem, eleganckim, lekkim truchtem, pędzona przez sporego szóstaka, z lasu wybiegła na polanę piąta łania, sądząc z postawy i z obejścia, młoda jeszcze i niedoświadczona, nieumiejąca ani się zachować, ani być dość ostrożną.

Jedna ze starszych matron, zgorszona takim nietaktem i brakiem przyzwoitości, ruszyła żywo karcić młodzież i przestrzedz, że na wszelkie poufałości zawcześnie jeszcze. Ale byczek był czupurny jakiś, widocznie bardzo pewny siebie, i nie ustępował łatwo. Na przekorę, czy może chcąc ugłaskać starą, nie namyślając się długo, do niej zwrócił swoje zapały i począł ją pędzać dokoła stada. Inne tymczasem patrzyły z zajęciem, jak

damy, kiedy na posadzce pojawi się pierwszy tancerz.

Zupełnie jak w salonie.

Zabawa więc ożywiała się i zapowiadała dobrze. Na zręb coraz to nadciągały łanie, równie przykładne, jak dobrze ułożone, i dokoła sali balowej stawały skromnie w kole. Młodzież tylko, jak to dziś bywa podobno i wśród ludzi, spóźniała się, a przyszedłszy, nie wychodziła na salę, nie podchodziła do dam i kryła się po kątach.

Była jednakże i młodzież w pobliżu, bo w zaroślach słychać było ruch, łamanie i coraz to jakaś głowa, mniej albo więcej rosochata, wysuwała się z pomiędzy drzew i wielkiemi błyszczącemi oczyma patrzyła, czy nie rozpoczynają tańczyć. I tak, zebrało się powoli liczne towarzystwo, w którem brakło tylko muzyki i — wodzireja.

A musiał to być ktoś nie byle, bo czekano nań długo i cierpliwie. Z lasu wysunął się jeszcze widłaczek i nieśmiało kręcić się począł przy łaniach, ale, na ogół biorąc, nie zwracano na niego zbytniej uwagi i oczekiwano wyraźnie na kogoś znakomitszego. Łanie kręciły się, węszyły, jak gdyby chciały powiedzieć: »co to ma znaczyć, dlaczego on tak spóźnia się dzisiaj!?«

Byłem wprawdzie niemym widzem tylko, a rola, w której przyszedłem, do uświetnienia

zabawy przyczynić się z pewnością nie miała... ale niecierpliwiłem się i ja, bo zapadała noc i ciemniało.

Aż, nareszcie, poprzedzony iście godną króla fanfarą, nadszedł.

Naprzód od lasu, jak brana w najniższych basach trąb i organów uwertura do opery Wagnera, potoczył się potężny ryk i rozdarł ciszę. Po jeziorze poszedł, jak grzmot, odbił się od przeciwnego brzegu, nawrócił i, rozbity na echa, tonął gdzieś w głębiach uśpionego lasu — coraz dalej. Majestatycznie, chwiejąc potężną koroną, wolno, z godnością na polanie ukazał się on — król kniei.

Ścisnęło mię w piersiach, serce poczułem w gardle, aż oddech zaparło. — To ten! — przeleciało mi przez głowę i w febrze liczyć zacząłem odnogi na rogach. Jedna, dwie, trzy, pięć, sześć! Jeszcze raz — sześć!

To on! Wyszedł, nie śpiesząc się, pewien, że choć przychodzi ostatni, pierwszym będzie, gdy się ukaże. Postąpił parę kroków, przystanął, podniósł łeb i zaryczał znowu... A kiedy stał tak z rogami zarzuconymi na grzbiet, z wydętą, brodatą gardzielą i rozwartemi chrapami, z których szła para, był, jak obraz, wspaniały, jak uosobienie dzikiej siły i namiętności. I znowu potoczył się po jeziorze grzmot, znowu, jak ha-

sła, wzywające do turnieju, rozniosły go po lesie echa.

Miałem przed sobą najwspanialszą scenę, jaką w Europie dano oglądać myśliwemu! Jeleń przy stadzie, stary, brodaty byk na ryku!

Łanie wyciągnęły szyje, młode byki, buszujące wśród stada, usunęły się z respektem na stronę. Jak Cezar — przyszedł, odezwał się i zwyciężył!

Dziwnem zestawieniem pojęć, mimo febry, która mną trzęsła, mimo całego wzruszenia, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że patrzę na salę balową.

Niby zepsuty donżuan — byk, pewien siebie, sunie do łań od niechcenia, z partesu, jak gdyby tłómacząc się, że wcześniej przyjść nie mógł, bo ma dziś właśnie dwa duże bale i cztery wieczory i właśnie prowadzić musiał mazura, który przeciągnął się długo. A trudno być punktualnym, gdy się jest tak pożądanym. Zmęczony rzeczywiście przetańczonymi już kadrylami musiał być bardzo, bo ledwie przywitał się z damami i, obwąchawszy je kolejno, spokojny, że o niewierności niema tymczasem mowy, że wciąż jeszcze panuje w stadzie, jak sułtan, i pierwsze w tym bukiecie zajmuje miejsce, obwąchał stado raz jeszcze niedbale i — najspokojniej położył się w trawie.

Przetłómaczone na język salonów, znaczyłoby

to mniej więcej: »zmęczony trochę, poszedł do męskiego pokoju wypalić papierosa i odpocząć chwilę«.

Nie jestem zbyt wymagającym, a jednak, widząc to, doznałem pewnego rozczarowania. Więcej pobłażliwe, czy więcej wyrozumiałe starsze łanie zdawały się wchodzić w położenie dwunastaka i, pomne zasług jego z czasów, kiedy był jeszcze szóstakiem i ósmakiem, stały spokojnie i patrzyły na ulubieńca swego i władcę ze współczuciem. Zato młodsze (Redaktorze, na miłość Boską, czy nie zwodziłeś mnie aby, zapewniając, że gazety Twej nie czytają nigdy piękne panie??!), otóż młodsze, łanie mniej doświadczone i pełne złudzeń, zdziwione były najwidoczniej takim brakiem manier i, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, coraz to wyciągały długie szyje i wietrzyły, tęskno spoglądając w stronę młodszych byczków, które usunęły się były wprawdzie na drugi plan po przyjściu dwunastaka, lecz teraz ośmielone jego dziwnem zachowaniem się, chytrze bokami zachodziły do stada i szeptały coś do ucha łań. Cała młodsza część towarzystwa zdawała się mówić: »bo koniec końców, jeśli na to tylko nas tu zapraszano!«

Skandal wisiał w powietrzu...

Mogłem był wprawdzie zapobiedz złemu i jednem pociągnięciem za cyngiel ustrzedz zmę-

czonego lowelasa od wstydu, ale do leżącego strzelać nie chciałem i żal mi było przerywać idyllę tę zawcześnie przed rozwiązaniem sytuacyi. Zresztą: nie czyń tego drugim, co tobie niemiłe, a wszakże z wiekiem każdemu przytrafić się może, iż do tańca stanie — zmęczonym trochę.

Starsze więc damy zachowywały się powściągliwie, z godnością właściwą wiekowi i ostrożnością. Za to między młodzieżą kwitnął w najlepsze flirt.

Byk, pewien swych praw i przywilejów, spoglądał pobłażliwie na zabawę młodych, bacząc, czy nie posuwają się za daleko i czy przestrzegają granic zakreślonych przez skromność. Tymczasem do dwóch kawalerów, hasających już na polanie, przyłączył się trzeci, hoży szóstak, co oczywiście podniosło jeszcze nastrój wśród płci pięknej i ożywiło harce. A jednak wszystko odbyć się mogło gładko, bez awantury, gdyby nie płochość jednej z młodych łań, która, wieczna Ewa kusicielka, zapominając o najelementarniejszym konwenansie, oddalać się poczęła od stada i, wabiąc za sobą jednego z szóstaków, zmierzała najwyraźniej ku zaroślom. Krew nie woda, a las i jego mroczne zacisza były tak blizko!

Na świecie wszystko ma granice, nawet wyrozumiałość — dwunastaka. Tego było zanadto,

skończyły się żarty! Obrażony byk podniósł się powoli, z godnością skrzywdzonego w prawach swych małżonka, ryknął krótko i, nastawiwszy rogi, ruszył ukarać chłystka. Szóstak uskoczył, nie czekając, a łania, zarumieniwszy się, ze spuszczoną głową wróciła na miejsce.

Jako szlachetny w gniewie swoim, władca stary nie ścigał uciekającego. Zawrócił, wystąpił na środek koła, zaparł się szeroko racicami dla nabrania rozmachu i, jakby przestrzegając, że karanym będzie każdy, kto wdzierać się tu ośmieli w jego prawa, groźnie zaryczał. Ale co to?!

Jeszcze grzmiał ryk, po lesie jeszcze odpowiadały echa, kiedy zdaleka, gdzieś z głębi kniei, z nad jeziora doleciał taki sam głęboki, potężny głos drugiego jelenia. Byk umilkł, stanął, jak wryty, i podniósłszy głowę, nasłuchiwał, niepewny jeszcze, czy nie zwodzą go echa.

Nie, to nie było echo! Z lasu zagrzmiało znowu. Ryczał, wyraźnie ryczał, aż las trząsł się w korzeniach; ryczał coraz bliżej, coraz donośniej. Nasz dwunastak znał ten głos. To rywal nadciągał i urągał jego władzy. Ten nie uciekał, jak szóstak; wyzywał do walki i szedł śmiało, hardo oznajmiając swoje zamiary.

Znów zaryczał... W miejscowego byka wstąpiło inne życie. Zrobił się, jakby wznioślejszy, smuklejszy, najeżył grzywę, łeb wyniósł, wyła-

mał kark i, kopiąc racicami, aż ziemia leciała w powietrze, podał naprzód brodatą gardziel i odpowiedział. Jak rozmowa dwóch leśnych olbrzymów, w której słowo każde było grzmotem, po jeziorze taczał się ryk od brzegu do brzegu, aż knieje drżały, budziły się pola, a w siołach ludzie stawali i słuchali, mówiąc:

— Słyszycie, to byki tak grają po borach!

I szli tak na siebie dwaj królowie kniei na bój o berło w stadzie i — o miłość.

Odpłacając za mój wierny afekt, las sprawiał dla mnie igrzyska, na jakie spraszać zwykł tylko wybranych. Turniej zapowiadał się nielada, bo, sądząc po ryku, zapaśnicy byli siebie godni: równej siły i odwagi. Już rękawica była rzucona i podjęta, już szranki gotowe, a piękne damy czekały tylko, komu w udziale przypadnie wieniec.

Bój rozpocząć się miał za chwilę, przeciwnik był coraz bliżej, coraz groźniej brzmiały fanfary, któremi się zapowiadał. Miejscowy byk drżał cały. To wyrzucając nogami, jak koń w hiszpańskim tempie, wybiegał na spotkanie i ryczał, to niespokojnie zawracał, sapiąc, obiegał łanie, jak gdyby lustrować chciał swoje szeregi i upewnić się, że dochować zechcą mu wierności.

To było tak piękne, tak dużo w scenie tej było ognia i siły, że zapomniałem, po co przy-

szedłem, dlaczego przyniosłem sztucer, który ścisnąłem w tej chwili w ręku, aż trzeszczały mi palce. Zobaczyć chciałem wprzódy potyczkę, a potem co będzie, to będzie. Zresztą mogłem strzelać sto razy, bo nie dalej, jak o dwadzieścia kroków, byk kręcił się przede mną na wszystkie strony i nastawiał komorę, jakby prosząc o kulę.

Dyabeł, towarzyszący mi nieodstępnie w polowaniach na jelenia, nie zapomniał o mnie i tym razem. Nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, byk, podchodzący do stada, uciął i przestał ryczeć. Dwunastak zdziwiony umilknął także i począł nasłuchiwać. Wyzywająco wyszedł naprzeciw i ryknął jeszcze parę razy, ale wyzwanie pozostało bez odpowiedzi, przeciwnik kapitulował. Poczułem, że zajść tam musiało coś, z czego nie umiałem sobie zdać sprawy, bo i przede mną w stadzie wszczął się niepokój. Łanie ruszyły niespokojnie i, nastawiając łyżki, poczęły kupić się dokoła byka, węsząc niespokojnie w stronę lasu.

Potem, zanim zrozumiałem co się święci, zanim czas miałem opamiętać się, stado, jak wicher, ruszyło z kopyta i, migając między drzewami, zniknęło w lesie. Słyszałem łomot i trzask łamanych gałęzi, potem przez chwilę tętent, aż ucichło wszystko i znów powrócił głęboki, wieczorny spokój i cisza.

A stało się to tak nagle, tak niespodzianie, że doznałem wrażenia przebudzenia i przecierałem oczy, niepewien, czy to, na co patrzyłem przed chwilą, było rzeczywistością, czy mamidłem tylko, nasłanem na mnie przez leśne bóstwa!

— Co się stało, co to miało znaczyć? — powtarzałem sobie bezmyślnie.

Niedługo zresztą czekałem na wyjaśnienie. Idąc brzegiem jeziora, właśnie od strony, w której ryczał przychodni jeleń, ukazało się dwóch drwali z siekierami na ramieniu.

— A co za ludzie, kto to, jakich sto dyabłów nosi was tu po nocy... krrrew!?

— My z B...owa, wielmożny panie, pieńki kopalim.

— Lelinie widzielim, na Stare Budy poszły — objaśnił mnie drugi uprzejmie, chcąc zadokumentować, że rozumie w czem rzecz.

— A bodaj was...! — życzyłem im w duchu.

Ale, na szczęście, święty Hubert nie zwykł słuchać przekleństw, miotanych w gniewie, i drwale zdrowo zapewne wrócili do wsi, ani się domyślając, jaką mi wyrządzili krzywdę i czego im za to życzyłem.

Nie było co robić, partya na dzisiaj była przegraną.

— Dyabli wzięli! — powiedziałem sobie i, przywołując na pomoc cały zapas filozofii, na jaką

stać mnie było w tej chwili, zabrałem manatki i wylazłem z pod krzaka, pod którym leżałem. Czekać musiałem na Mikołaja, który miał przyjść albo na strzał, albo z nastaniem ciemności.

— Oj, będzie stary zły! — myślałem, obiecując sobie solennie nie przyznawać się, że jelenia miałem na strzał, a nie strzelałem, niewiadomo dlaczego, przez poezyę. I tak nie zrozumiałby mnie, gdybym powiedział prawdę.

Już przez pół pogodzony z losem, rozmyślając, co skłamać mam leśnikowi, zasiadłem na pieńku i zapaliłem papierosa. Scena z jeleniami przeciągnąć się musiała długo, bo pociemniało tymczasem na świecie i wieczór zapadł zupełny. Przede mną jezioro leżało martwe już, ołowiane, bez blasku i bez fali. Na przeciwległym brzegu szara mgła zakryła wieś i drzewa. Tylko niebo zostało czyste, bez chmur, a w jego ciemnym, głębokim błękicie zapalały się gwiazdy, coraz to nowe, coraz jaśniejsze. Z przestworzy coraz dalsze światy, coraz liczniejsze spoglądały ku ziemi, migocąc, jak światełka.

Na zachodzie czerwono paliły się zorze, a las stał niemy, jeszcze więcej tajemniczy, ponury, jak czarna ściana. Ciemno było w lesie i cicho; miesiąc nie wzeszedł jeszcze. Z zamyślenia obudził mnie głos leśnika:

— A co, paniczku, nie były?

— Były, mój Mikołaju, ale późno wyszły, ciemno już było strzelać.

Noc była, na szczęście, stary nie widział wstydu, jaki miałem na twarzy. Kwaśny, milczący przewiesił mój sztucer przez ramię i ruszyliśmy z powrotem do linii, na której czekać miały konie. Ale dzień był feralny jakiś, nieszczęśliwy, bo i tu spotkać nas miał zawód. Czy to przez pomyłkę, czy przez nieporozumienie koni nie było. Poszły do innego rewiru, gdzie czekały napróżno do północy. Nam zaś, o ile nie chcieliśmy nocować w lesie, nie pozostało nic innego, jak wracać pieszo, a do domu było daleko.

Piały pierwsze kury i miesiąc był wysoko, kiedy wyszliśmy z lasów. Leśnika odprawiłem spać, bo do wsi droga była, jak strzelił, niemylna.

Noc przyszła, jak w czerwcu, na Święty Jan, miesięczna, ciepła i okryła strudzoną ziemię. W białem, martwem świetle pełni, wieś leżała cicha, śpiąca. Piasek na drodze, zapłocia, wierzby nad stawem i nowe poszycia na dachach świeciły, jak wysrebrzone. Po znojnym dniu świat spał głęboko, we wsi zamilkły nawet psy.

Tylko echem odbijał się odgłos mych kroków, tylko koń parskał w chłopskiej stajence, albo, dzwoniąc łańcuchem, targnęła się krowa

u żłobu. Jak wiosną, zwiedzione ciepłem, w kamieniach przy drodze grały świerszcze.

W promieniach miesiąca, z dalekich, lepszych światów zapomnienia na ziemię, na skrzydłach snu płynęło ukojenie i było go dużo w tę słodką, gwiaździstą noc.

Jelenia zabiłem nazajutrz. Dzień był posępny chmurny, pod wieczór mżył deszcz.

NA NIEDŹWIEDZIA.

(ZIMA).

Hr. A. Zamoyskiemu,
jako wspomnienie wielu dobrych chwil,
razem przeżytych w kniei.

Pół leżąc, pół siedząc, czekałem w gabinecie na światło i, za leniwy, żeby sięgnąc dzwonka, w zamyśleniu patrzyłem w okno, za którem w zmroku gęstymi, mięsistymi płatami padał pierwszy śnieg. Krzyżując się, mieszając, kręcąc, białe płateczki leciały za płateczkami, jednostajne i uporczywe, i ledwie dojrzane niknęły, żeby ustąpić innym, których coraz to nowe miliony płynęły z nieba i tonęły w białym obrusie, zasłanym na ziemi.

Świat przemienił się w biały wir, w którym ostać się nie mogła ani pamięć, ani myśl, ani przestrzeń! A jednak ta białość i ten ruch zdawały się mieć jedną myśl przewodnią, jeden pośpiech i ten sam cel. I każdy z niknących puchów zabierał z sobą trochę uwagi i trochę świadomości, aż dusza zlewała się z tą białością i rozpływała w niej zupełnie. Chwile półsnu, półmarzenia, w których myśl odłącza się od ciała, niekrępowana czasem, ani odległością,

buja w przestrzeni i na polach umarłych wrażeń zbiera kwiaty wspomnienia.

Noc tymczasem stała się zupełną. Śnieg, padając, kreślił białe zygzaki na tle szyb i ciemności. Zaczęto zapalać latarnie. Z przycichłej, martwej ulicy głosy dochodziły głuche i stłumione, jak z innego świata; nieśmiało odezwały się dzwonki pierwszych w roku sanek.

A śnieg wciąż padał i padał. Robiło się coraz ciemniej i coraz ciszej, jak gdyby świat cały zamierał pod białym całunem, nakrywającym ziemię.

Nawet w domu ustało życie i zapanowała cisza. Służba zapomniała o świecach. W pokoju słychać było tylko zegar i chrapanie jamnika, śpiącego na otomanie.

Dzwonek u drzwi! Służący wszedł, wniósł światło i podał mi depeszę.

»Barłogi osaczone. Niedziela konie czekają«.

Marzenia prysły, ale rzeczywistość stała się piękniejszą od marzenia. Nazajutrz, z południa, »zbrojny i odziany« siedziałem w wagonie i żegnałem Warszawę białą, jak do ślubu, jasną, wesołą, skąpaną w słońcu pierwszego dnia zimy.

Ze snu otworzywszy oczy, nie mogłem przypomnieć sobie, gdzie jestem.

Przed piecem, wielkim jak sypialnia przeciętnego warszawskiego mieszkania, klęczała jakaś postać w baranim tułubie i dmuchała w ogień.

Gdzie ja jestem i dlaczego tu jestem? Czy to już na jawie, czy we śnie jeszcze? Pokój bielony, w którym nie byłem nigdy, sprzęty nieznane, a jednak to moje ubranie i mój kożuch wiszą na drzwiach. Przed łóżkiem skóra niedźwiedzia, a na łosich rogach nad łóżkiem moja ładownica i mój kordelas. Ten widok oprzytomnił mnie zupełnie, wspomnienia ożyły i wrażenia ostatnich dni tłumnie zakłębiły mi się w głowie.

Depesza, niedźwiedzie, pośpieszny wyjazd z Warszawy, długa podróż koleją przez zimę i śniegi, i wreszcie najpiękniejsza część podróży — siedmdziesiąt wiorst sankami, które, zawinięty w futra jak Eskimos, przejechałem

jednym tchem, nie zatrzymując się prawie. Siedmdziesiąt wiorst w trzaskający mróz, przez głębokie dziewicze bory, głuche i zaśnieżone, a takie dzikie, takie niedostępne i tajemnicze, takie pełne obietnic, że sam ich widok wart był podróży. Mój woźnica, pędzący trójką w obawie nocy i wilków. Potem już wieczorem przyjazd na miejsce, do państwa T., w samo serce puszczy. Leśnictwo na tle czarnego boru, zasypany śniegiem dom i okna migocące wesoło światłem, moi gospodarze, ich czarujące przyjęcie, ich gościnność i ciepło, jakie mnie owiało, kiedy wszedłem w ich progi...

Późnym wieczorem przyszli osacznicy, raportując, co który znalazł w swym obwodzie.

Łosie z powodu mrozu snuły się po ostępach, nie stojąc w miejscu. Na błocie ryś podarł zająca, ale to zwierz niepewny, jutro może być o pięć mil od miejsca, w którem dziś nabroił. Tylko niedźwiedzie spały, jak kamienie, czekając w barłogach na nasze kule.

Słuchałem w upojeniu, niepewien rzeczywistości, bojąc się przebudzenia z pięknego snu. Spać odechciało mi się zupełnie. Ziewnąłem, przeciągnąłem skołatane podróżą kości i sięgnąłem po papierosa. Postać w tułubie przestała dmuchać i z pod lnianych, skudlonych włosów spojrzała na mnie.

— A co na świecie?

— Mróz, panie, duży, hej mróz, mrozik, to on!

Rozmowa się urwała, bo chłop, rozpaliwszy ogień, wyszedł.

Odrzuciłem kołdrę i poszedłem wyjrzeć przez okno. Zaczynało już dobrze świtać.

O sto kroków od domu czerniał zwartą, gęstą ścianą wysoki, jodłowy las. Przed domem, z pod śniegu sięgającego okien, wyglądały zasypane opłotki i szlachetniejsze drzewka, owinięte słomą. Na skraju lasu, przytulona do niego, stała mała chałupka, ledwie widoczna z pod śniegu. Nad chałupą prosto, jak świeca, szedł na jasne niebo słup dymu. Postać jakaś, zawinięta w kożuchy, szła ku nam od chatki. Zresztą las i las. Za oknem wisiał termometr.

— Co on nazywa dużym mrozem? — przyszło mi na myśl. Nie zaraz jednak dopatrzyłem rtęci, patrząc za blizko zera. 15°, 20°, 25°. Co u licha, czy zepsuty termometr!? 30° — 32°!!! 32° Réaumura! O, do dyabła, tego nie było w programie! Jak się tu ubrać, żeby nie zmarznąć na stanowisku, »na numerze« — jak tu mówią? Jak opatrzyć ręce, żeby sztucer utrzymać? A podobno stać trzeba spokojnie, bo niedźwiedź umie być chytrym i podejrzliwym. Wczoraj, w wieczornej rozmowie kładł na to nacisk gospodarz. Zresztą jakoś to będzie. Na śmierć nie zmarznę, a dla niedźwiedzia warto trochę pocierpieć. W buty, dla większej pewno-

ści, włożyłem dwie pary pończoch wełnianych. Smutne, a niedalekie doświadczenie pouczyć mnie miało, że przy takim mrozie najgrubsza pończocha i but skórzany nie wystarcza i biada temu, kto na stanowisku stanie inaczej, jak w filcach albo w sukiennych butach.

Dzień tymczasem zrobił się zupełny i w domu poczęła się zwykła ranna krętanina; w jadalni nakrywano do herbaty.

Skończyłem się ubierać i zacząłem opatrywać broń i naboje, kiedy na dzień dobry wszedł gospodarz.

— Mróz duży, ale zelżeje na dzień, a nie ruszymy, jak o 10-ej. Osacznicy pojechali przed świtem, raz jeszcze sprawdzić ostęp, czy jakie mary albo złe przeczucia nie podniosły misia z barłogu. Do ostępu wiorst dziesięć, więc mamy czas. Tymczasem chodźmy na śniadanie.

Sztucer, z którym stanąć miałem na stanowisku, ekspres kal. 500, odebrałem od Nowotnego literalnie na pół godziny przed wyjazdem z Warszawy i znałem go z oględzin tylko w wagonie, a spróbować chciałem do celu, przyjechawszy na miejsce. Gospodarz nie przeciwił się wprawdzie, lecz odradzał, bo stado łosi, stojące w blizkim ostępie, ruszyć mogło, spłoszone strzałami, które przy takim mrozie słychać daleko.

Nie nalegałem zresztą, bo fakt wypróbowa-

nia nowego sztucera odrazu na niedźwiedziu nęcił mnie i kusił ogromnie. Pierwsza kula z nowej broni do pierwszego w życiu niedźwiedzia, to, bądź co bądź nie każdemu się trafi i jako debiut — nie codzienne. Ekspres był wysokiego gatunku, najlepszy, jaki opuścił kiedykolwiek warsztat Nowotnego, wykończony jak chronometr i składny, jak koszula.

Zresztą Święty Hubert nie opuści wiernego sługi w przygodzie i poprowadzi kulę. Nie przychodziło mi ani na chwilę do głowy, czy to roztropnie i bezpiecznie. Bałem się tylko spudłować, niepewien nieznanej mi broni.

Skończyliśmy śniadanie, kiedy wszedł strzelec, oznajmiając, że osacznicy, wysłani na ranny objazd, są już z powrotem i czekają w sieni.

Wyszedłem za gospodarzem, chcąc na własne uszy usłyszeć, co za wieści przywieźli. Głównego osacznika jednak, reżysera całej wyprawy, nie było, bo został z obławą w lesie i tylko przysłał dwóch ludzi, którzy sini i skostniali stali u drzwi i zabijali w ręce na rozgrzewkę.

— No?!

— Leży.

— To dobrze, a gdzież obława?

— Obława czeka na młynach. Sieńka prosił, żeby tam panowie przyjechali.

Serce zabiło mi trochę silniej, bo mrzonki i nadzieje zaczynały ubierać się w rzeczywistość.

— Zaprzęgać — zwrócił się do strzelca gospodarz.

— — — — — — — — — — — — — —

Jedziemy. Gęsiego zachodzą przed ganek nizkie, jednokonne saneczki na jedną osobę. Konie w nich pod hołoblą małe, krępe, kudłate, jak bestye. Maści koni nie widać, bo pokryte są szronem i wyglądają, jak siwe. Szron na koniach, szron na grzywach, na uprzęży, na saniach; koniom u pysków wiszą sople lodu. Sankami powożą postacie w grubych tułubach, w czapach nasuniętych na oczy, brodate i tak samo pokryte siwym szronem, jak konie. Wszystko, na co okiem rzucić, białe, iskrzące w słońcu i mimo trzaskający mróz — wesołe. Kolejno sanki zajeżdżają przed ganek, wchodowe drzwi uchylają się na chwilę i w obłoku pary ukazuje się postać zawinięta w futro lub w dachę, schodzi po schodkach i pośpiesznie gramoli się do sanek. Woźnica przysiada bokiem i, krzyknąwszy na konia, rusza. Kiedy moje sanki przechodziły przed domem, przez czystą niezamarzniętą szybę zobaczyłem twarz pani domu, jak, śmiejąc się, żegnała mnie ręką, i buzię starszego

malca, ślącego mi pocałunki. Poczytałem to za dobrą wróżbę. Tuż za opłotkami zaczął się las, który po chwili stał się głuchym i dzikim ostępem.

Krętą, wązką drożyną leśną pięcioro sanek sunie cicho i pośpiesznie, jak wąż.

Nad końmi kłębi się z nozdrzy para i siada szronem. Czuję go igłami na twarzy i w oddechu. Dzwonki z pod hołobli odjęto, konie nie prychają, nawet łozy nie skrzypią w kopnym śniegu. Tylko woźnica zaklnie z cicha na konia, coś zamruczy pod nosem i szereg sanek, jak orszak ducha zimy, mglisty i biały od szronu, mknie przed siebie cichy i tajemniczy, niknąc na zakrętach, jak widziadło. Miejscami las rzednie, pokazuje się szmat jasnego martwego nieba, bez obłoku, bez chmurki. W ostrem, czystem powietrzu kontury zaśnieżonych drzew odcinają się na tle nieba tak jasno i tak wyraziście, że oczy bolą.

Gdzie zajrzało słońce, tam iskrzą się na śniegu miryady brylantów. Zima na nasze przyjęcie wystąpiła wspaniale i bogatą przywdziała szatę. W oczach się mieni, tyle dokoła przepychu i światła. Ten biały krajobraz, przesuwający się nam przed oczyma, ta lśniąca białość, ta szybkość i ten martwy spokój, który tu ogarnął wszystko, ma w sobie coś upajającego, coś ze snu i gdyby nie mróz, który szczypie twarz

i kłuje w piersiach, miałbym wrażenie, że patrzę na przedstawienie jakiejś zaczarowanej bajki.

Myśl, że jadę *na niedźwiedzia*, że dziś jeszcze zobaczyć go mogę na swobodzie, dzikiego, we własnem królestwie, takim, jakiego wychowała puszcza, pana tych borów, że budzić go mam ze snu i spotkać się z nim oko w oko, jest mi na razie prawie obojętną, tak to wrażenie jest dla mnie nowem, tak przytłumionem mnóstwem innych, odebranych w ciągu ostatnich paru dni. Słyszałem, co dziś rano jeszcze mówili osacznicy, wiem, po co tu przyjechałem, widzę przed sobą sanki gospodarza, który dużo już zabił niedźwiedzi, wiem, że dzisiejszy barłóg przeznaczony jest dla mnie i wszystko robione, abym ja doszedł do strzału, ale tego wszystkiego nie umiem powiązać w całość i odszukać w tem siebie, swojego ja. Wszystko, na co patrzę i co mnie czeka, jest mi takie obce, takie nowe, że nie umiem tego porównać z niczem, na co patrzyłem dotąd. Doznaję wrażenia, że w sankach, zawinięty w dachę, siedzi ktoś inny, i jedzie ze sztucerem na niedźwiedzia, a ja patrzę na niego swemi codziennemi oczyma i obserwuję go. Wogóle jednak jest mi bardzo dobrze i świat przedstawia mi się, nawet w tej roli widza, niezmiernie dodatnio.

Ostępy tymczasem, przez które przejeżdżamy,

stają się coraz głębsze, coraz więcej zapadłe, coraz więcej wykrotów i łomu leży przy drodze. Podszycie zwarte, splątane dzikim chmielem i na metr zasypane śniegiem. Czuć dzicz i puszczę dziewiczą, latem nieprzebytą, która śpi teraz nakryta grubo białym puchem. Zawały, wykroty, młode sosenki i stare, omszałe jodły, gęstwa malin dzikich i chmielu, wszystko przykryte całunem śniegu. Zima i spokój głęboki panują wszechwładnie. Krajobraz ma w sobie coś skamieniałego, coś uroczystego i sennego, jak obrazy Boecklina.

Całe zaspy śniegu leżą na zwieszonych gałęziach świerków i jodeł, i gną je ku ziemi. Gdzie las gęstszy, u stóp drzew, pod gałęziami prawie ciemno, a z pod każdego świerku, jak z jaskini, wygląda tajemnica. Co kryje się w tych głębiach, zasypanych śniegiem? Tropów mało, ale te, które spotykamy, przyśpieszają bicie serca. Ryś, łoś i niedźwiedź! Sami królowie kniei. A wciąż las, śnieg i las bez końca...

Gdzie ostęp jest więcej zwarty, gdzie młodzież przeważa, tam nakrył wszystko jednolitym kożuchem śnieg i pojedyńcze, mniejsze drzewka zatraciły swą odrębność. Drożyna wije się, jak wąwóz, między białymi wałami, które w fantastycznych kopcach piętrzą się po obu stronach drogi.

Chwilami, kiedy na zakrętach drogi poprze-

dzające nas sanki znikną mi z oczu, doznaję wrażenia, że jedziemy wprost na białą górę, że w nią wpadniemy i utoniemy sami w białym puchu, który tu przykrywa wszystko. Już, już wjeżdżamy na jeden z kopców śniegu, zamykających drogę, już nas pochłonie, kiedy koń zwraca i znów widzę przed sobą sanki gospodarza, prowadzące szereg, jego barczyste plecy i szubę niedźwiedzią, zasypaną śniegiem.

Wszystko dokoła jest tak białe, tak jednostajnie białe i pozbawione cieni, że oko nienawykłe nie jest w stanie uchwycić odległości i perspektywy. Jesteśmy w królestwie zimy, mrozu i śniegów. Mijamy otwarte, jasne polany, na których śnieg iskrzy się w słońcu, mijamy zwarte ostępy starej świerczyny, w których porost jest tak gęsty, że u stóp drzew panuje półcień. Na konarach, zwieszonych nad drogą, śnieg pokładł się całemi stertami, przygiął je i sklepił nizko nad ziemią.

Niektóre omijamy, pod inne, kurcząc się i tuląc głowy w futra, wciskamy się, jak węże. Wyjeżdżamy z pod tych sklepień biali, zasypani płachtami śniegu, spadającego na sanki. Zima przybiera i nas w swą szatę i chce opanować, jak opanowała tu wszystko. Mijamy wysokopienny, stary bór, w którym, jak ciemne słupy, odbijają się na śniegu czerwonawe pnie masztowego drzewa i coraz cieńsze, cieńsze nikną w od-

dali. Przejechaliśmy szmat boru, w którym, jak żniwiarz łan zboża, burza położyła pokotem całe pokolenie starodrzewiu. Tam, gdzie pień padł w poprzek drogi, wypiłowano z niego wał, żeby przejazd otworzyć. Potężne dzwono leży przy drodze i gnije; nikt się o nie nie zatroszczy, nikt nie pokusi. Olbrzymy leżą martwe i nietykalne, za kilka lat rozpadną się w próchno i posłużą za podkład, na którym, na miejscu pogromu, wzrośnie bujniej nowe pokolenie, dziś już nieśmiało podnoszące głowę.

Gdzie zawały spiętrzyły się, padając jedne na drugie, gdzie wykroty są głębsze, albo gdzie gąszcz malin i jeżyn jest więcej zwarty i więcej splątany chmielem, tam ostęp latem nawet musi być niedostępnym. Teraz, przykryty głębokim śniegiem, jest, jak przepaść, nie do przebycia. Kawał drogi sunęliśmy po lodzie strumienia, zamkniętego mrozem, przejechaliśmy małą łąkę i znów zanurzyliśmy się w gąszcze.

Na pasiece minęliśmy domostwo leśnika z opłotkami, zasypanymi śniegiem. U wrót stał w saneczkach oszroniały koń i patrzył sennemi oczyma, jak przemknęliśmy biali i pośpieszni, jak duchy. A dokoła nas wciąż te same białości, ta sama jasność i ten sam martwy spokój.

Zima — w swej apoteozie, w całej grozie i piękności; chłodna, twarda i niepokalana!

Jeszcze las, potem zakręt; zaświeciła przed

nami otwarta, jasna polana i kawał czystego nieba, niezakrytego drzewami. Sanki zatrzymały się tak nagle, że aż hołobla poszła do góry. Stanęliśmy na miejscu.

Ach, Fałacie, Fałacie, dlaczego nie było między nami ciebie i twej palety!

Tło do obrazu, to — biała ściana starych świerków, rysująca się zębato ośnieżonymi wierzchołkami na tle jasnego, czystego nieba. Pod ścianą boru palą się dwa ogromne stosy, a dokoła nich, w zwartym pierścieniu, tłoczy się i grzeje ciemna kupa obławy, może setka ludzi. Tuż kilkanaście małych saneczek, przy których wyprzężone i nakryte konie jedzą z sanek siano, a obok, w jarze waląca się chałupa, młyn i resztki opłotków. Podobno na młynie mielono kiedyś zboże, ale przed laty; po roztopach woda poszła innem korytem i młyn został na suszy, a młynarz na koszu.

Zabrali ludzie z młyna kamienie, szkło i żelastwo, a drzewo zostawiono, bo nie warto go było sprowadzać z puszczy. Wali się dzisiaj; z ciemnych, niezabitych okien wygląda pustka, śniegu nawiało do środka, ale stoi jeszcze i teraz pod śniegiem, wysrebrzony szronem wygląda malowniczo i zdobi obraz. Była i stodoła, ale nasi ludzie rozebrali ją dziś na ogień i grzeją się przy jej szczątkach. Płomienia ognisk nie

widać w jasnem słońcu, tylko dym idzie świecą w górę i rozpływa się nad lasem.

Cały obraz, mimo siarczysty mróz, ścinający oddech, mimo martwoty, ma w sobie coś nad wyraz pełnego życia, wesołego i ruchliwego. Prawda, że patrzę oczyma myśliwego, na którego czeka w ostępie niedźwiedź, a ci ludzie, grzejący się u ognia, to obława, która ma mi niedźwiedzia napędzić.

Kiedy stanęliśmy, koń u sanek zarżał, witając. Wszystkie twarze zwróciły się ku nam i odkryto głowy.

Z tłumu wysunął się znajomy mój od wczoraj, Seńko, pierwszy osacznik, specyalista i mistrz w swoim rodzaju, ubrany w łapcie i czapkę z gwiazdką; podszedł, aby nam dopomódz wysiadać z sani. Nie czekając, zrzuciłem futro i podszedłem słuchać, co mówi z nim gospodarz.

— No i cóż, będzie?

— Jest, spit.

— Stary, duża sztuka?

— Duża, czapką śladu nie nakryje.

Rzecz stawała się coraz więcej interesującą, i zbliżał się epilog; czułem to doskonale. A ta obława! te twarze, te typy! Brodate wszystko, zarosłe po oczy; duże chłopy, sami dorośli, w fałdowanych kożuchach, jak spódnice, w czapkach na uszy i w łapciach, jak Seńko.

Niektórzy mieli strzelby i nosili całe muzeum

broni palnej, od stu lat używanej. Pojedynki z lufą na półtrzecia łokcia, podwójne pistonówki, powiązane drutem i pookręcane sznurkami, stare muszkiety, przerobione ze skałkowych, pamiętające najście Francuzów, pistonowe karabiny, jakich przed 50 laty używała piechota. Jeden z obławników, tęgi, ryży chłop z zafrasowaną twarzą, szukał czegoś, grzebiąc uparcie w śniegu.

— A czego on tak szuka? — zapytałem Sieńki.

— Ech, nic, sztuka (kurek) mu od strzelby zginęła.

Wszyscy, bez wyjątku, mieli za pasem topory. Ten szczegół zastanowił mnie szczególnie i powiem — mile połechtał mą wyobraźnię. Gdyby to jeden, dwóch przyszło z toporami, możnaby pomyśleć, że tchórz ich obleciał. Ale tu wszyscy, starzy i młodzi, wystąpili zbrojno. Więc te topory mogą być potrzebne, skoro je wszyscy przynieśli.

Patrząc na obławę, widziałem, że nawzajem ona przygląda się przybyszowi ciekawie, że mnie sądzą i krytykują. Zresztą ani chwili nie miałem złudzenia. Przegląd mej osoby i mego rynsztunku nie wypadł korzystnie. Szczególniejszą uwagę i brak zaufania budził w tych leśnych wilkach, mierzących wartość broni wielkością wylotu, mały kaliber sztucera, branego przez nich za gładką ptaszniczkę, i kordelas, który,

zgodnie z tradycyą, przypiąłem do boku, idąc na królewskiego zwierza.

Ostatnie przygotowania i rozmowy nie trwały długo. Słyszałem, jak pan T. półgłosem mówił do osaczników:

— A na pana (na mnie) musi wyjść, on z daleka przyjechał — i odpowiedź Seńki:

— Ne znaju, postaramy się.

Zaczęto się zbierać. Obława ze strażą wyciągnęła się sznurem na drodze, którą przyjechaliśmy przed chwilą, i ruszyła torem, pozostawionym przez nasze sanie. Droga spuszczała się w dół, więc widziałem ich długo, jak ciemną plamą pełznęli po śniegu; zaczernieli parę razy na zakrętach, aż utonęli w białych gąszczach. Przy ogniskach zostały konie, my, Seńko, który znał »numery«, i dwóch ludzi, strzegących sani.

Strzelby były tylko cztery. Pan T., ja i dwóch myśliwych miejscowych *pour décorer le tableau*. W pół godziny może po wyjściu obławy Seńko dał znak, że czas już i na nas. Musiało być blizko południa, bo słońce wyjrzało nad las i zalewało nas potokami światła. Rzuciłem papierosa i ruszyłem za Seńką, otwierającym szereg. Pół wiorsty szliśmy gęsiego torem, którym przeszła obława, potem, skręciwszy w prawo, zanurzyliśmy się w dość rzadki, wysokopienny las, gdzie nie było już ani drogi, ani toru, tylko głęboki śnieg, sięgający powyżej kolan. O trzysta kro-

ków może od drogi pozostał, kryjąc się za zawałą, jeden z miejscowych myśliwych. W chwilę potem osacznik zatrzymał się i panu T., idącemu za mną, pokazał na śniegu tropy. Ślad był podobny do ludzkiego, mocno zatarty sypkim śniegiem. Był to trop, który pozostawił nasz niedźwiedź, wchodząc do ostępu, zajmowanego przez obławę.

Dla mnie głęboka brózda, wyorana w śniegu, nie przedstawiała nic charakterystycznego; nie poznałbym nawet, czy to zwierz, czy człowiek tędy przechodził. Pan T. jednak, popatrzawszy na trop, szepnął do mnie:

— Gruba sztuka, ze dwanaście pudów.

Dziesięć kroków od tropu Seńko przystanął znowu, spojrzał dokoła i pokazał mi gruby, pojedyńczy świerk. Zrozumiałem. To tu!

Odłączyłem się od naszej gromadki i zostałem sam.

— — — — — — — — — — — — — —

Na stanowisku. Na stanowisku na niedźwiedzia! Trzeba być myśliwym, trzeba mieć tę namiętność w każdej kropli krwi i w każdym nerwie, aby odczuć, ile w tych słowach mieści się czaru, ile uroku, ile one rodzą nadziei, jakich obrazów budzą wspomnienia.

Niedźwiedź — dla większości myśliwych europejskich zwierz legendowy prawie, którego przyszłe pokolenia znać będą tylko z podania; zwierz, o którym, jak o żelaznym wilku, krążą wśród ludzi baśnie; zwierz, którego zdobyciu największy nasz poeta poświęcił pieśń całą, wreszcie zwierz, który potrafi być groźnym i srogo karać śmiałka, sięgającego po jego życie, śpi oto gdzieś w pobliżu, w swym barłogu, zasypanym śniegiem, nic nie przeczuwa. A człowiek, istota, w porównaniu z tym królem lasu nędzna i słaba, ufny w broń, która mu towarzyszy, i w swoją zimną krew, czyha na niego i, przyczajony zdradziecko, czeka. Z głębin zaśnieżonego ostępu idzie na myśliwego tajemnica,

gra wyobraźnia, aż w skroniach tętni i mrówki chodzą po skórze. Będzie, czy nie będzie?! Czy zobaczę go chociaż?! Czy śmierć, która mieszka w stalowych lufach sztucera, wyjrzy z nich tym razem na świat Boży? Aż dotąd myśliwy pozostawał pod wpływem otoczenia, które nim kierowało, z którem dzielić musiał uczucia i nadzieje. Dopiero na stanowisku, pozostawiony sam sobie, przechodzi do roli prawdziwie czynnej i zaczyna być pod wrażeniem chwili, któremu może oddać się zupełnie.

Zaczynają się przedziwnie ponętne chwile oczekiwania, przeplatanego nadzieją i zwątpieniem, któremu uroku dodaje poczucie pewnego hazardu i nieświadomości tego, co czeka nas w najbliższej przyszłości, czegoś, co obrachować się nie da, a w czem kapitalną odgrywać mamy rolę. Urok tej niepewności potęguje się jeszcze stokrotnie, jeśli zwierz, na którego czekamy, bywa groźnym, albo za takiego uchodzi. Na pamięć przychodzą zasłyszane niegdyś przygody, widziane obrazy stają przed oczami i rodzi się jakby głuche, dalekie uczucie pewnego niebezpieczeństwa, z którem spotkać się możemy. Zdarzało się innym, dlaczego nie miałoby się przytrafić i nam. Gotowym trzeba być na wszystko! Ach! byle się tylko przytrafiło, byle zwierz na mnie wyszedł. Na rozmyślania zresztą niema już czasu, epilog nadchodzi szybko i rozwiąże

się lada moment. To, co tak starannie przygotowywaliśmy tygodnie całe, to, o czem myśleliśmy w ciągu ostatnich dni, rozstrzygnąć się ma za chwilę w przeciągu kilkunastu, może kilku sekund. Trzeba więc, ażeby teraz właśnie nie zawiodła nas przytomność i zimna krew.

I raz jeszcze zaglądamy do sztucera, czy ładunki są napewno w lufach, sprawdzamy, czy kurki odprowadzone. Gorące westchnienie niesie prośbę naszą i składa ją kornie u stóp świętego Huberta. A jednak! Te wrażenia takie silne, takie wzruszające dla myśliwego, są wprost niezrozumiałe dla ogółu. Dlaczego narażać swą skórę i kostnieć na trzaskającym mrozie, kiedy czas ten spędzić można spokojnie i bezpiecznie w domu, przy kominku? Wszak nie idzie tu o skórę, ani o mięso, które taniej i łatwiej kupić można, niż zdobywać samemu. Zapewne. Czyż jednak turyści nie wdzierają się z narażeniem życia na górskie szczyty, ażeby widzieć stamtąd wschód słońca; czyż ludzie nie odbywają uciążliwych, dalekich podróży jedynie dla zobaczenia nowych widoków? Iluż to wreszcie trawi noce całe przy zielonym stoliku, czekając na piękną »koronkę« i rozgrywając z bijącem sercem niepewne »szlemy«, choć obojętną im jest różnica kilku czy kilkunastu rubli. Wszak ani jednym, ani drugim o stronę materyalną nie chodzi i »nie przyjdzie im z tego nic«. Ci i tamci

chcą tylko wrażeń, budzących nerwy, uśpione szarem, codziennem życiem. Nie chęć zysku, lecz pewien rodzaj romantyzmu, drzemiącego w duszy najzakamienialszych filistrów, i stare, jak świat, upodobanie do przygód i hazardu dało początek grze, turystyce i sportom. Co z tego najwięcej warte? To sprawa sentymentu, a ten dyskusyi nie podlega. Woli jeden szlema, inny niedźwiedzia.

Lecz na co to pisać! Myśliwych nawracać nie potrzeba — filistrów nie przekonam.

Wracam co prędzej na stanowisko pod świerk, pod którym zostawili mnie Seńko i pan T. Nigdy może piękniejsza panorama zimowego krajobrazu nie ucieszyła oczu myśliwego; nigdy stanowisko nie wydało mi się więcej obiecującem.

Stałem na skraju starego lasu, nad brzegiem głębokiej kotliny, która, jak okiem sięgnąć, leżała przed stanowiskiem. Z mego miejsca 150 kroków może na prawo widziałem drzewo, przy którem został pan T. Czarne lufy sztucera wyjrzały z za pnia, za którym krył się myśliwy, i sterczały ku ostępowi. Las za nami i na spadku kotliny był rzadki, bez podszycia, zarośnięty grubymi, pojedyńczymi świerkami. O jakie ośmdziesiąt kroków dopiero od stanowiska, już w dole, w kotlinie, zaczynał się nagle, jak biała ściana, nizki zwarty gąszcz, przykryty śniegiem. Stanowiska leżały wyżej, niż zarośla, więc wzrok,

nie zatrzymywany niczem, biegł daleko, aż do ciemnej linii starodrzewa, czerniejącej o kilkaset kroków i tajemniczo zamykającej widnokrąg. Zarośla w kotlinie były tak zwarte, warstwa pokrywającego je śniegu tak jednolita, że, widziane z góry, robiły wrażenie obszernej, białej równiny, usianej kopcami śniegu, leżącego na gałęziach starszych drzew, sterczących pojedyńczo nad krzakami i młodzieżą. Zresztą nic, tylko śnieg i śnieg, zalany słońcem. Świat zdawał się tam składać z trzech żywiołów tylko: ze śniegu, ze światła i ze spokoju. Żadnego śladu życia, żadnego ruchu na ziemi, ani w powietrzu, żadnego głosu, tylko światło, cisza i białe, martwe masy śniegu. Pojęcie mrozu i zimy stawało się tu czemś plastycznem, czemś widzialnem, prawie że dotykalnem. W powietrzu migotały i skrzyły się w słońcu ledwie dostrzegalne igiełki lodu. Z przeciążonych gałęzi zsuwał się niekiedy kłąb śniegu, i, rozsypamy w puch, miękko spływał na ziemię.

W kontemplacyi tej jednak i w mych zachwytach przeszkadzało mi żywo uczucie zimna, dającego mi się we znaki coraz silniej. O ile »w sobie« było mi dość ciepło, o tyle marzły mi strasznie twarz i nogi. Palców wprost nie czułem, a w piętach miałem uczucie wkręcanych świdrów. Policzki i czoło bolały mnie, jak przy najsilniejszej newralgii. Nie było to już uczucie zimna, lecz wyraźny, silny ból. O utrzy-

maniu broni w rękach nie mogło być mowy, bo, mimo rękawiczek, kostniały natychmiast. W końcu zrzuciłem rękawiczki, sztucer wziąłem pod pachę i nagie ręce wsunąłem do mufki. Stałem jednak, pamiętny przestróg p. T. i Seńki, nieruchomo, choć czułem, że wprost z bólu nie wy trzymam długo w ten sposób.

Od wyjścia obławników upłynęła godzina może, a w ostępie wciąż panowała cisza. Czy oni pomarzli, czy potonęli w śniegach?! Zresztą i ubranemu lepiej panu T. musiało być zimno, bo, widziałem, jak kręcił się na stanowisku. Co do do mnie, wytrwać postanowiłem *malgré tout*, ażeby nic sobie nie mieć do wyrzucenia. Zaczynały mnie jednak ogarniać nuda i zwątpienie. Coś tam musiało się pokrzyżować! Czy niedźwiedź ruszył, czy nie było go może w ostępie! Szanse powodzenia wydawały mi się coraz mniej szemi, a cała wycieczka schodzić poczęła w mych oczach do rzędu niepotrzebnej awantury, bez sensu i bez celu.

Minęło jeszcze pół godziny, długie, jak wieczność. Minuty wlokły się, jak żółwie, a po każdej zimno stawało się dokuczliwszem. Brak ruchu przy takim mrozie był torturą. Ani zapalić papierosa, ani rękami strzepnąć na rozgrzewkę. A te świdry, te śruby w nogach! Niech dyabli biorą wszystko razem, byle się to skończyło jak najprędzej.

Wstyd mi wyznać, na stanowisku trwałem już tylko przez ambicyę, bo polowanie, niedźwiedź i wszystko razem było mi obojętnem, tak uczucie zimna i bólu zagłuszyło wszystkie inne. Obchodziło mnie w tej chwili prawdziwie jedno tylko: jak długo stać jeszcze będę musiał bez ruchu?

Naraz, gdzieś daleko bardzo przed nami, w głębi ostępu na prawem skrzydle wśród ciszy padł strzał. Drgnąłem całem ciałem i instynktownie chwyciłem sztucer. Drugi strzał huknął przed nami, trzeci na lewem skrzydle bliżej stanowisk i jeszcze dwa gdzieś daleko pośrodku. To osacznicy oznajmiali, że obława już zaszła i koło zamknięte.

Las ocknął się i przemówił... W ostępie, zasypanym śniegiem, odezwały sią naprzód urywane, pojedyńcze odgłosy, jak obwoływane gdzieś daleko hasła, jak stuk siekier po drzewach, jak stłumione, tajemnicze nawoływania. Potem głosów tych nadlatywało coraz więcej, więcej, aż zlały się w jeden długi rapsod, który ogarnął las cały, wypełnił jego najskrytsze głębie, obudził echa, drzemiące w śniegu, i w mroźnem powietrzu płynął na nas falą, jak daleki szum morza, albo gwar tłumu. Dwie trąbki zawodziły wysoko, rozdzierając krzykliwie równe, nizkie tło gonu. Obława ruszyła, aż las cały jej odpowiedział. I szła na nas ta muzyka ze śnieżnych

gąszczów, z pod zwieszonych konarów jodeł i świerków; płynęła z każdej gałęzi, z każdej igły. Leciała nad wierzchołkami drzew, wychodziła z pod ziemi i przenikała do duszy, aż każdy nerw napiął się, jak struna, i dreszczem grał razem z knieją. Jak fale, krzyk obławy wolniał chwilami i przycichał, to wzmagał się znowu. A trąbki wciąż górowały, coraz donośniej, coraz dźwięczniej, prując powietrze, jak gdyby głosem swym zachęcały i prowadziły obławę. Tylko na stanowiskach panowała głucha, zdradziecka cisza. Z drzew, miękkimi płatkami coraz częściej obsuwał się śnieg i, rozbity na puch, migocąc w słońcu, prószył cicho na ziemię.

Po skórze przeszły mi pierwsze mrówki, sto myśli naraz przeleciało przez głowę. Teraz, to naprawdę już! Lada moment zobaczę niedźwiedzia, albo — usłyszę strzały sąsiadów. I znowu otworzyłem sztucer, aby raz jeszcze upewnić się, że są ładunki, że kurki odwiedzione. Zresztą byłem spokojny, tylko serce biło mi śpieszniej i dreszcz przebiegał po krzyżu. Jak w jasnowidzeniu, czułem, że to ja będę strzelał. Nie wiedziałem: jak, w jakich warunkach, czy długo wypadnie mi jeszcze czekać, czy strzelać będę pierwszym, ale wrażenie miałem, że strzału dojdę niezawodnie. Nawet o zimnie zapomniałem. Czułem tylko w rękach i w skroniach tętno, klu-

jące w końce palców, jak szpilki. Przez twarz mimo mrozu przechodziły mi gorące fale. Jak olśniewający, biały amfiteatr przede mną leżał jar, iskrzący w słońcu, a za jarem, w dużym boru huczała obława, grały trąbki. Byłem, jak w hypnozie, cały w zmysłach, zapatrzony w leżące pode mną gąszcze, zasłuchany w głosy obławników. A cisza dokoła była tak zupełną, że chwilami słyszałem własne tętno. Powietrze było takie jasne, takie przezroczyste, taki spokój w lesie, że mysz nie uszłaby uwagi napiętych zmysłów, gdyby się ruszyła w zaroślach.

Ale ostęp nie dawał znaku życia i pod śnieżnym całunem spał jeszcze.

A jeśli misia niema? Jeśli taki ostrożny, jak mówili Seńko i pan T., byłby się już ruszył? Niepodobna, żeby ten piekielny hałas nie doszedł go jeszcze w barłogu i nie obudził. Szanse powodzenia wydały mi się znowu małemi i poczynałem wątpić o rezultacie.

Czy to z powodu śniegu, czy z powodu gąszczu, zajęty rewir musiał być bardzo uciążliwym, bo obława posuwała się niezmiernie wolno. Niemniej czuć było, że zbliża się mimo to coraz więcej. Już wśród ogólnej wrzawy odróżnić mogłem wyraźnie głosy pojedyńczych obławników, już wydawało mi się, że za chwilę ukazać się muszą za jarem, na skraju lasu.

Niedźwiedzia jednak ani śladu. Nic, co wska-

zywałoby na jego obecność. Nic i nic. A jednak ostęp zamknięty był szczelnie. Z krzyków wnosić było można, że łańcuch obławy otacza nas równem, zwartem kołem. Cały las huczał przed nami, tylko na linii stanowisk było cicho. Niedźwiedzia nie było chyba w ostępie! Już, już rezygnowałem, już traciłem resztę nadziei, kiedy za kotliną, na prawem skrzydle obławy, donośniej od innych jakiś głos zawył:

— On, on! bij w niedźwiedzia, nie puszczaj, niedźwiedź, niedźwiedź!!!

W ostępie zakipiało. Wrzawa, jak burza, poszła wzdłuż obławy, nawróciła, jak fala, wzmogła się w stronie, gdzie ruszono zwierza, i ogarnęła całe koło. Już nie krzyki, nie hałas, lecz nieludzkie, namiętne wycie słychać było w obławie. Padło parę strzałów i wrzawa wzrosła jeszcze na prawem skrzydle. Widocznie zwierza dojrzeli tam wszyscy, czy może przerwać chciał łańcuch naganiaczy. Kurczowo ścisnąłem sztucer i wyprostowałem się, jak gdyby przeleciał przeze mnie prąd elektryczny. Dreszcze wstrząsały mną tak mocno, że plecy oprzeć musiałem o drzewo, żeby nie dygotać całem ciałem. Obława wyła nieustannie, ale słychać już było, że zwierz odparty, od prawej strony idzie na myśliwych.

— Idzie, idzie, zaraz będzie na linii! — przelatywało mi przez głowę.

Widziałem cały jar, na prawo cały stok do

kotliny i brzeg starego lasu. Pewien więc byłem, że w każdym razie zobaczę zwierza. Minęły 3, może 4 minuty. Wtem lufy sztucera pana T., które widziałem, jak na dłoni, poruszyły się, podniosły i pozostały tak chwilę, skierowane w zarośla. Dwa razy lufy opadły i dwa razy podniosły się na nowo. Nie było wątpliwości, pan T. mierzył, ale w gąszczu nie mógł wziąć zwierza na cel. Zatrzymałem oddech i, z duszą na ramieniu, czekałem, kiedy z luf buchnie dym, padnie strzał i — skończy się wszystko. Ale lufy opadły i nie podniosły się więcej. Odetchnąłem, spojrzałem, gdzie mierzył p. T. i jeszcze raz przeszły po mnie mrówki...

Miś szedł na sztych, nie widziałem go jeszcze, ale droga, którą pruł przez gęstwę, znaczyła się na śniegu, pokrywającym zwarte poszycie kotliny, jak brózda. Chylały się zarośla, gdzieniegdzie z pod śniegu, zarywającego się szmatami, wyjrzała ciemna zieleń jedliny. Szedł ostro, bo brózda wydłużała się szybko i dotykała już brzegu zarośli.

Podniosłem broń do twarzy, żeby nagłym ruchem nie spłoszyć zwierza, kiedy będzie blizko.

Posypał śnieg z najbliższych świerków, rozwarła się biała ściana gęstwy i, już nad lufami sztucera, między kurkami zobaczyłem niedźwiedzia, jak w chmurze śniegu, sam podobny do żywej zaspy, wypadł na polanę. Taka nawał-

nica wrażenia zwaliła się na mnie w tej chwili, że tylko pojedyńcze obrazy odbiły się wyraźnie na kliszach mego mózgu i pozostały w pamięci. Wydał mi się ogromnym. Mignął mi naprzód potężny, trójkątny łeb ze śpiczastym pyskiem i sterczącemi uszami, kark i kudłaty grzbiet, z którego spadał śnieg. Przez głębokie zaspy, wyrzucając ciężko ciałem, sadził pod górę potężnego galopa, aż śnieg leciał za nim w powietrze. Przednie łapy zbierał ku sobie, jakby coś zagarniał pod piersi, zadem podrzucał, jak dziecko na czworakach.

Każdy sus zbliża go do mnie więcej i już widzę małe, bystre oczy, patrząc z pod szerokiego czoła, czarny nos i parę z nozdrzy. Nie widzi mnie, pomimo, że odkryty stoję przed drzewem. Jeszcze dziesięć sekund, jeszcze pięć, jeszcze trzy! Przez wizyer widzę białą, srebrną muszkę na tle kudłów, pod którymi gwałtownie chodzi łopatka. Mija mnie o dziesięć kroków i już bliżej nie będzie. Jeszcze sekunda — pociągnąłem.

Potknął się, jak gdyby nagle po strzale zabrakło mu gruntu pod prawą łapą. Widzę przez okamgnienie, jak tą łapą sięga lewego boku i chwyta za miejsce, w które mierzyłem. Ale i druga łapa podwija mu się i zwierz głową naprzód ruluje, jak zając. Przez chwilę widzę

cztery łapy nad śniegiem w powietrzu, ale wraz wstaje i tem samem tempem galopuje dalej.

Więc, do stu piorunów, jeszcze raz! Znowu zabłyszczała muszka na łopatce zwierza, znowu strzał, znowu wywraca kozła i — znowu wstaje. Po takich dwóch kulach! Jestem tak wzruszony, że ręce literalnie odmawiają mi posłuszeństwa i poprostu nie jestem w stanie odemknąć sztucera, ani zmienić naboi.

Mam uczucie, że mierzyłem dobrze, i przysiągłbym, że obie kule niesie w komorze. A jednak idzie! Nie mogę nabić broni i strzelać, choć jest nie dalej jak trzydzieści kroków. Muszę patrzeć, jak oddala się, a w mojem zdumieniu jest tyleż żalu, co i zdziwienia. Dlaczego on nie padł? Czegoż jemu potrzeba więcej?! Tak dobrze trafiony!

Ach! zwalnia nareszcie i z galopa przechodzi w stępa. Ruchy zaczynają być bezładne, potacza się, idzie coraz słabiej, aż wpada na oślep na gruby świerk i, potrąciwszy o pień, przewraca się w śnieg. Próbuje wprawdzie wstawać jeszcze, ale unosi się tylko przodem i, rycząc, siedzi chwilę, oparty na rozstawionych szeroko przednich łapach. W tej chwili biedne zwierzę budzi tylko litość i wyrzuty sumienia, tyle w jego ryku jest skargi i jęku! Nareszcie udaje mi się nabić sztucer i czemprędzej schodzę ze stanowiska, żeby go dobić.

Ale moje kule są zbyteczne. Słania się już tylko, opuszcza łeb, w pysku i nozdrzach pokazuje mu się krwawa piana i, zanim doszedłem, z jękiem wali się na bok.

Konał, ale życie nie łatwo opuścić chciało potężne ciało. Chrapiąc i robiąc bokami, wyrzucał nozdrzami krew, otwierał ślepia i, wysuwając dwucalowe pazury, prężył łapy. Przedśmiertne drgawki potrząsały nim długo jeszcze. Przechodziły po nim coraz słabiej, jak fale, aż uspokoił się zupełnie.

»Natenczas Wojski...« Ale Wojskiego nie było tam, niestety! Nie było Strapczyny, ani Sprawnika, nie było rogu, ani muzyki, którąby powtórzyły »dęby dębom, bukom buki«. Bez romantycznej strony zdobycia zwierza, bez tej poezyi łowów, nie umiałem oprzeć się wrażeniu, że, gasząc taką siłę i potężne życie, popełniłem morderstwo.

Mimo całego upojenia i radości, odczuwałem coś, co przypominało niesmak.

Jakim prawem to zrobiłem? Prawem silniejszego tylko, które jednak wydaje nam się gwałtem, ilekroć cierpimy przez nie sami. Chroniąc się od ludzi, żył w głuchych ostępach, nie szkodząc nikomu. Uchowała go i żywiła matka-puszcza, której był za życia królem i ozdobą. Spał w śnieżnym barłogu i, czekając wiosny, śnił o lepszych czasach, kiedy nastanie ciepło,

słońce rozkuje ziemię i dojrzeją jagody. Ale człowiek cywilizowany zapragnął wrażeń dla stępionych nerwów.

Więc przejechał sto mil i wdarł się do serca lasów, wysłał płatnych zbirów, którzy za srebrniki wyszukali i wydali kryjówkę pana kniei. Potem zapłacił obławę i sam, ufny w swą broń i przebiegłość, podstępnie, z zasadzki zabił go zdradziecko...

Na białym całunie, zasłanym na ziemi, nieruchomo, leży syn puszczy martwy; już nie groźny, a mimo to wspaniały jeszcze. A ja, tryumfator niby i zwycięzca, stoję nad swym łupem i — wstydzę się nieledwie. Oklask i pochwały myśliwych, oglądających zwierza i unoszących się nad jego pięknością i nad mymi strzałami, były mi obojętne w tej chwili; uciążliwe — pochlebstwa obławy, która, w nadziei lepszego datku, sławiła mnie, niedźwiedzia, moją broń, ba! nawet huk ekspresa, który tak niepozornym wydał im się zrazu. O potężna mamono! Tobie służą nawet dzieci puszczy!

Ostatni akt: zakryto oczy koniowi, podprowadzono go z wiatrem i na sanki władowano zwierza. Z powrotem, jak kondukt, ruszyliśmy do młynów.

Za nami, jako wspomnienie, został zdeptany śnieg i wypisana krwawo historya gwałtu. Ale i to zniknie, gdy przyjdą roztopy.

Może wiosną dopiero, gdy knieja ożyje, kiedyś wieczorem, kiedy na niebie, jak gromnice, zaświecą gwiazdy i wiatr przejdzie nad lasem, zgarbiona osika, jak babka cmentarna, drżącymi liśćmi wyszepce swój pacierz i rozpowie leśnej gawiedzi, co widziała zimą, w dniu, w którym do puszczy przyszedł człowiek.

Wracając, rozmyślałem o niedźwiedziu, zapowiedzianym na dzień następny.

NA ŁOSIE.

Hr. A. Ilińskiemu - Kaszowskiemu, dzielnemu myśliwemu i niezrównanemu towarzyszowi.

Wesoło zadzwoniły dzwonki i janczary; konie raźno ruszyły z miejsca, wyrzucając kopytami śnieg. Twarze owionęło nam mroźne, czyste powietrze, tem rozkoszniejsze, że tylko co wysiedliśmy z dusznego, przepalonego wagonu, pełnego dymu tytuniowego, w którym bez przerwy spędziliśmy szesnaście godzin.

Pociąg, który nas przywiózł, ruszył także ze stacyi, ciężko sapiąc i rzucając kominem kłęby gęstego, czarnego dymu. Żegnaliśmy go bez żalu, ba, nawet z radością, zamieniwszy wagon na lekkie jak piórko sanki, zaprzężone parą rosłych koni, czarnych jak kruki, barwnie ubranych w zimową błyszczącą i hałaśliwą uprząż.

Szarzało już, kiedy zostawiliśmy za sobą stacyę, małą, zagrzebaną wśród lasów poleską stacyę, na której herbaty nawet nie można było dostać. Pierwsze chwile jechaliśmy w milczeniu, upojeni szybkością, muzyką dzwonków na różne grających tony i mroźnem powietrzem, w którem czuć było już puszczę. Jak okiem rzucić,

wszystko było pod śniegiem, tylko na horyzoncie czerniały linie lasów.

Mróz wzmógł się pod wieczór, śnieg skrzypiał pod płozami sanek, a na niebie migać poczynały pierwsze gwiazdy. Sierść koni z karej zrobiła się szarą, pyski im oszroniały, a z nozdrzy buchały białe smugi pary. Lecieliśmy, jak na skrzydłach, aż w głowie kręciło się od tych białości, migających bez końca w oczach. Las zbliżał się, rosnąc w oczach z szybkością, aż wpadliśmy na drogę, przy której po obu stronach zaciemniały dwie ściany lasu, zasypanego śniegiem, pełnego tajemnic i głębi.

Ciemniało coraz więcej, nareszcie zapadła noc jasna, gwiaździsta i mroźna, jedna z tych nocy, dla których kocha się północ i zimę. Nie przemówiliśmy ani słowa, a jednak rozumieliśmy się z moim towarzyszem, p. K., doskonale. Obadwaj myśliwi namiętni, śpieszyliśmy do jednego celu, zaproszeni przez wspólnego znajomego na obławę na łosie, która zapowiedziana była na następny dzień. W tej chwili do szczęścia nie brakło nam nic i obadwaj niebo mieliśmy w sercach. Nie dusiliśmy się już w wagonie, oddychaliśmy przepysznem powietrzem, konie, brzęcząc janczarami, mknęły, aż wiatr świstał w uszach, pogoda była wyborna i nie miała się ku odmianie, a las poprostu nas czarował, taki był głęboki i obiecujący.

Mieliśmy takiej drogi trzydzieści wiorst przed sobą, ale nasze sanki poprostu pochłaniały przestrzeń, rwaną dzielnym kłusem naszych koni. Las, to wysoki, to niższy a gęstszy, przechodził chwilami w bagno porosłe krzakami, lecz ciągnął się bez przerwy, ciesząc nas swą rozległością. Wiedzieliśmy zresztą, że jesteśmy już na terytoryum naszego gospodarza, który zapowiedział, że od stacyi jechać będziemy jego lasem.

Parę razy na polanach, wyciętych wśród lasu, mignęły nam małe folwarki i pojedyńcze chaty z błyszczącem w okienku światełkiem, parę razy pies zaszczekał na zaścianku. Nasze konie prychnęły, czując stajnię, i znów zanurzyliśmy się w czarny las, ciągnący się po obu stronach drogi. Wreszcie po trzech może godzinach jazdy zajaśniało przed nami szerokie pole, równina zasłana iskrzącym od gwiazd śniegiem taka biała i jednostajna, że myśli mąciła. Konie, jakby korzystając z otwartej przed nimi przestrzeni, pomknęły jeszcze chyżej, i za chwilę byliśmy wśród opłotków folwarku. Sanki skręciły w bramę, podskoczyły parę razy na zaspach śniegu, minęliśmy parę czarnych budynków i, zatoczywszy koło, stanęliśmy przed gankiem dworu, z którego wszystkiemi oknami biło światło. Usłyszano nas widać, bo drzwi otwarły się szeroko, rzucając strumień światła na konie, z których podnosiły się kłęby pary, na sanki

i na nas. Nie zdążyliśmy jeszcze wydobyć się z owijających nas koców i futer, kiedy we drzwiach ukazał się gospodarz i powitał nas wesoło.

Zaraz na wstępie w sieni oznajmił nam radosną nowinę, że leśnicy mają obtropionych czternaście łosi, między którymi są cztery stare, rogate byki. Zabiło mi serce na te słowa, ale nie było czasu na radość, bo gościnny gospodarz prowadził nas do pokoju, gdzie, jak mówił, poznać mieliśmy większą część towarzyszów jutrzejszego polowania.

W pokoju, do którego weszliśmy, gwarno było i wesoło. Porozstawiane zielone stoliki i kieliszki świadczyły, że nie próżnowano tam przed naszem przybyciem. Rozpoczęła się prezentacya, z której na razie nie spamiętałem ani jednego nazwiska. Uderzyła mnie tylko końcówka »łło«, przy każdem niemal powtarzająca się nazwisku. Kiwaliśmy się i kłaniali na wszystkie strony, ściskając ręce poznanych panów, i ruszyliśmy wreszcie na kolacyę, z którą czekano naszego przyjazdu.

Wieczór zeszedł wesoło, jak zwykle przed polowaniem, pełny opowiadań, nadziei i wspomnień. Poprzedniego roku zabito u naszego gospodarza pięć łosi, było się więc czego spodziewać. Pilno mi było do poduszki, bo wyobrażałem sobie, że czas, dzielący mnie od uroczy-

stego dnia, prędzej minie we śnie. Spałem zresztą źle, bo śniły mi się niestworzone łowy, popsuty sztuciec i t. d.

Ledwie szarzeć poczęło, byliśmy na nogach. Cały dom pełen był ruchu, krzątaniny i biegania. W jadalnej sali przy lampach zebrało się u śniadania całe towarzystwo, już w myśliwskim rynsztunku. Długie buty, kożuchy i lisiury, ładownice przez plecy i dużo humoru.

Dzień zapowiadał się piękny, mroźny i słoneczny; na drzewach bieliła się z nocy »szadź« (okiść).

Przed dworem na dziedzińcu widać było szereg saneczek jednokonnych dla myśliwych; na wielkich saniach wyruszyła właśnie psiarnia pod eskortą psiarczyka i konnego dojeżdżacza, harapem hamującego zbyteczny ogień posforowanych psów, których tuzin tłoczył się na saniach, gryząc się i skomląc z niecierpliwości. Boskie chwile nadziei i oczekiwania.

Pod ciemną ścianą lasu mknie już szereg sanek, zaprzężonych w chłopskie małe koniki o zjeżonej sierści, jak u psów. Przepyszny jodłowy las, gęsty i podszyty, drzemie zasypany śniegiem, wiszącym całemi zaspami na rozpostartych płasko gałęziach. Z każdych sanek sterczą lufy dubeltówki albo sztućca, a z pod czapki śmieje się para rozradowanych oczu. Sanki mkną

cicho po puszystym śniegu, zasypującym tylko co wytorowaną kolej; czasem parsknie koń albo płat śniegu obsunie się z gałęzi.

Co kilkadziesiąt kroków szereg zatrzymuje się, z sanek zeskakuje myśliwy, śpieszy na wskazane przez prowadzącego stanowisko i szereg rusza dalej, zostawiając myśliwego własnemu losowi i szczęściu. Na jedenastem z kolei stanowisku wypadł mój numer. Wyskoczyłem z sanek i, brnąc po śniegu, stanąłem pod grubą jodłą.

Z bijącem sercem otworzyłem sztucer i wsunąłem ładunki, pytając się w duszy: czy ich też użyję? Starannie zamknąłem zamek, odwiodłem kurki i począłem się rozglądać po zesłanym mi przez los stanowisku. Las wydał mi się więcej obiecującym i tajemniczym niż kiedykolwiek; moje stanowisko ze wszech miar było wyborne. Stałem pod grubą jodłą, zwieszającą gałęzie jak parasol, przede mną wyrastał gęsty krzak, zasłaniający mnie po piersi z przodu, a las przede mną, czy to wskutek pożaru, czy wskutek wichrów, mniej był zarosły i zwarty, niż dalsza knieja. Stałem więc jakby na brzegu polanki, na której rosło kilka tylko potężnych jodeł, podszytych u stóp krzakami i młodszem pokoleniem jodełek.

Wszystko białe, nieskalane, pokryte śniegiem, jak welonem. O pięćdziesiąt kroków i po bokach

ciągnął się zwarty las, ciemną ramą otaczając polanę i moje stanowisko. Z lubością spojrzałem na mój ekspres, raz jeszcze otworzyłem go, patrząc czy są ładunki, czy kurki otwarte, i westchnąłem do świętego Huberta, polecając mu swe zapały. Cicho było dokoła, jak pod całunem; najlżejszy wiatr nie poruszał wierzchołków drzew, tylko kiedy niekiedy płat śniegu miękko osuwał się z gałęzi i, rozbity na płatki, prószył na ziemię.

Stałem tak może dziesięć minut, wsłuchując się w bicie własnego serca i w tę ciszę pełną nadziei i oczekiwania. Całą mą istotą zlany z lasem — czekałem.

Nareszcie, gdzieś daleko, jakby z pod ziemi ledwo dosłyszalny doleciał mnie głos psa. Serce zabiło mi żywiej i machinalnie ścisnąłem broń. Głos odezwał się raz, drugi — potem słyszałem dwa psy naszczekujące razem — potem było ich trzy, cztery, aż wreszcie odróżnić nie mogłem już pojedyńczych głosów, tylko z głębi kniei, drzemiącej przede mną ciemnemi głębiami, dochodził mnie jakby stłumiony jęk, falujący w akordach to wyższą, to niższą nutą... Zdawało mi się, że słyszę i głos trąbki, ale w uszach tak mi tętniło, że nie byłem pewnym.

Pierwsze wrażenie minęło. Z głębi lasu dochodziło mnie coraz wyraźniej granie psów, zalewających swą muzyką całą puszczę; trąbka

grała coraz mocniej. Chwilami wydawało mi się, że ze wszystkich stron grają ogary, że słyszę je i z tyłu i z boków, że z każdej igły pokrytej śniegiem płynie ten głos, od którego mrówki czułem na skórze.

Już nie słyszałem, jak przed chwilą, bicia własnego serca, choć wzruszony byłem piekielnie, tylko w głowie szumiało mi jak w kotle i jak błyskawice przelatywały myśli: Czy będą łosie, czy na mnie pójdą i czy będzie byk, do którego wolno strzelić?

Gon psów stawał się coraz to czystszy i jaśniejszy. Jeden głos wysoki i piskliwy zawodził w tym tłumie wyraźnie i mogłem go od innych doskonale odróżnić. Daleko za psami słychać było głos obławy, stłumiony odległością i śniegiem, jak tło do wrzaskliwej muzyki gończych. Trąbka grała uporczywie to samo hasło. Był to widocznie sygnał jakiś dla myśliwych, czy dla psów, którego nie rozumiałem, niestety.

Odgłosy te, razem wzięte, stanowiły koncert, od którego włosy stawały na głowie, każdy nerw wyciągnął się, jak struna, a serce zamierało w piersi...

Zwierz musiał iść ostro, goniony na oko, bo gon zbliżał się, jak burza, zostawiając het za sobą głuchy odgłos idącej obławy i trąbkę dojeżdżacza. Cały bór grzmiał przed nami, tylko na linii strzelców panowała głucha, zdradliwa

cisza. Z gałązek jodły obsuwał się bez szelestu puszysty śnieg, miękko spływając na ziemię.

Gon szedł wyraźnie ku nam i był już nie dalej jak pięćset może kroków... Jeszcze chwila i wszystko się rozstrzygnie... Ale kto będzie szczęśliwym, komu uśmiechnie się wdzięcznie Dyana?

Gon coraz bliżej, bliżej, tylko co nie widać psów. Z rozpaczą widzę, że nie na mnie wyjdą. Gonią ku drugiemu albo trzeciemu stanowisku na lewo. Słyszę doskonale, jak psy grają zajadle, goniąc na oko, jak zalewają się żałośnie, ale ja nie będę strzelał...

Psy już są prawie na linii, zupełnie w lewo ode mnie, i naraz wśród ich wrzasku rozlega się strzał — potem drugi strzał, trzeci — i znów rozlega się głos psów, jeszcze gorętszy, jeszcze zajadlejszy, niż poprzednio, ale już za linią strzelców, na tyłach.

Skończyło się, zwierz poszedł, a jaki rezultat, dowiem się dopiero po skończonym miocie, gdy dojdzie obława. Odetchnąłem głęboko — dla mnie skończyło się czekanie i nadzieje...

Naraz w gęstym lesie, między pniami, na białym śniegu zaczerniało przede mną coś wielkiego. O jakie sto kroków mignęło coś raz i drugi. Szedł na mnie zwierz od przodu z lewej strony, powoli przekradając się i jakby nasłuchując psów, których głosy ginęły w oddali...

Zatrzymałem oddech, serce tylko biło mi, jak młotem, a po krzyżach chodziły mrówki. Zwierz szedł ciągle, już nie dalej jak o ośmdziesiąt kroków ode mnie. Widziałem już, że to łoś idzie, a przez głowę przeleciała mi myśl, że to jedna sztuka odcięła się przed psami od stada po strzałach mego sąsiada i chyłkiem wynosi się bokami, omijając miejsca, gdzie strzelano. Automatycznie podniosłem sztuciec i przycisnąłem kolbę do ramienia...

Czułem, że strzelę zimno, tylko w piersiach miałem dziwne uczucie zdławienia, jak gdyby ktoś chłodną ręką ściskał mnie za serce. Słyszałem już łamane gałęzie i widziałem, jak płatami spadał z nich śnieg, strząsany przez zwierza... Chwilami tułów niknął za obśnieżonemi gałęziami jodeł i widziałem tylko cztery migające nogi, potem na białem tle czerniało ogromne, wysokie ciało. Widziałem te szczegóły ponad długą, błyszczącą lufą sztućca, który nieruchomo trzymałem przy twarzy, żeby ruchem nie spłoszyć zwierza, kiedy już będzie na strzał...

Jeszcze pięć sekund — i na polanę wynurzyła się głowa ogromna, podobna do końskiej, z obwisłemi wargami i badawczo poruszającymi się chrapami. Za głową, ubraną we wspaniałą koronę z rogów, pojawiła się szyja i niezgrabny przód zwierza na wysokich nogach. Czy to czysta, jasno oświetlona polana, czy woń jakaś po-

dejrzana uderzyły zwierza, dość, że zatrzymał się na skraju, nie wychodząc zupełnie z gęstwy, i węszył pilnie, strzygąc przytem ogromnemi uszami. Nie było czasu czekać, aż strzelać będę mógł w komorę — zwierz stał *en trois quarts*. Przechyliłem twarz do kolby i wymierzyłem w szeroki kark, przed łopatkę...

Przez chwilkę na brunatnem tle zimowej sierści zwierza zabłyszczała mi przez wizyer muszka; pociągnąłem za cyngiel. Przez dym widziałem, jak zwierz rzucił się w bok, zwracając się do odwrotu. Przez sekundę widziałem bok i strzeliłem drugi raz; łoś postąpił parę kroków i zwalił się, jak kłoda...

Świat cały zniknął mi z przed oczu. Niepamiętny elementarnych reguł myśliwskich, każących pozostawać na stanowisku *malgré tout*, rzuciłem się do leżącego o czterdzieści kroków zwierza. Ogromnem ciałem wstrząsały już tylko przedśmiertne konwulsye, a nogi wyciągnięte, tak jak u zarzniętego wołu, drgały gwałtownie w miękkim śniegu, splamionym jasną krwią, płynącą z ran.

Pierwsza z kul była zupełnie wystarczającą; ona to powaliła zwierza, trafiwszy wybornie w grube arterye, idące do głowy od serca. Druga kula, wystrzelona zbyt pośpiesznie, uderzyła w piersi, zupełnie nizko gruchocząc żebra.

Uczucia, jakiego doznałem, podbiegłszy do za-

bitej sztuki, nie próbuję nawet opisać. Oto przede mną leżał wspaniały zwierz, zabity przeze mnie i tylko przeze mnie; zwierz nieledwie przedpotopowy, którego wielu starych i doskonałych myśliwych zna ledwie z opisu. Dziś jeszcze, kiedy to piszę i patrzę na tę białą czaszkę o wspaniałej koronie z dwunastu końcami, najpiękniejszy klejnot mej myśliwskiej karyery, serce bije mi żywo i westchnienie ucieka z piersi na wspomnienie tego białego lasu, tych chwil i moich strzałów...

Na tem samem polowaniu zabito jeszcze drugiego byka, o czterech końcach w koronie i cielę roczne.

NAD MORZEM.

Pani J. Kozłowskiej.

Piękny to był zakątek świata i niezwykły, zaprawdę, teren myśliwski! Gdzie Bretonia ostrym trójkątem wpiera się w morze, na wysuniętym najdalej ku zachodowi krańcu Europy, leży francuskie Finistére. W starożytności Rzymianie nie posuwali się w tę stronę dalej, niż brzegi oceanu, i kraj ten nazywali »koniec ziemi« — *finis terrae*. Tam właśnie na widnokręgu, daleko od wybrzeży i od wchodzącego w morze przylądka leży mała skalista wyspa, na której poluję.

Z brzegu lądu widać tylko skrawek ziemi, czerniący się jak chmurka, i kilka wysokich skał, sterczących nad wodą; w rzeczywistości wysepka nie większą jest, niż mały, polski folwark. Uprawnej ziemi niema na wyspie zupełnie. Są tylko czarne, granitowe skały i w miejscach od wichrów morskich zasłoniętych, na zboczach, w szczelinach i u podnóża granitów trochę zieloności. Piasku i gnijących wodorostów przyniosły wichry i burze, roślinność posiały

w ciągu lat dziesiątków ptaki, przelatujące z wybrzeży.

Mimo skalistego podłoża i ubóstwa ziemi rodzącej, trawa i zioła, a nawet gąszcz krzewów, które oprzeć się zdołały wichrom, rozwija się i rozrasta dzięki obfitości wilgoci i działaniu słońca na podziw bujnie. Na wyspie, nie przedstawiającej zresztą żadnej innej wartości, właściciel, dobry mój znajomy z Paryża, z czasów studenckich, próbował założyć miniaturowy park myśliwski. Posadzono więcej trochę krzewów, jeżyn dzikich, chmielu i trochę świerków, posiano trawę i ligustr i na próbę wpuszczono bażantów i królików. Próba udała się nadspodziewanie dobrze, zwierzyna, króliki zwłaszcza, pogodziły się z nową swą siedzibą morską i poczęły mnożyć. W ten sposób stworzono rzecz, w swoim rodzaju, jedyną.

Spędzając lato w poblizkiej miejscowości kąpielowej i korzystając z uprzejmości właściciela, na wysepce bywałem często, nieomal codzień. Mieszkać jednak, a nawet nocować tam było trudno, bo na całym obszarze »posiadłości« stał jeden tylko mały domek z kamienia o dwóch izbach. Mieszkał w nich stary Bretończyk, Paweł Kédrik, dozorca wyspy, leśnik, łowczy, hodowca, rybak, kucharz i przewoźnik w jednej osobie. Nocować więc trzeba było na wybrzeżu, w nadmorskiem miasteczku, w hotelu. Była to

nawet, jedyna zresztą, ujemna strona wycieczek na wyspę, bo wracać z niej na ląd stały musiałem wcześnie, za dnia, nim zaszło słońce. Dokoła, broniąc przystępu, rozsiane były niezliczone skały podwodne, groźne nawet przy wysokiej wodzie przypływu, przeprawa nocą więc, po omacku, trudną była i niebezpieczną.

Raz jeden, kiedy pod wieczór zaskoczyła nas burza, musiałem pozostać i spędzić noc w domku Kédrika. Nie żałowałem jednakże tego ani chwili, bo za noc bezsenną i za zmęczenie nagrodzony byłem widokiem rozhukanego morza, szalejącego noc całą, jak rozwścieczony potwór chcący pochłonąć wyspę, i nazajutrz o świcie wschodem słońca, które w całym swym majestacie wstawało nad wzburzonym jeszcze, kłębiącym się białą pianą Oceanem.

Krótką noc letnią spędziłem, słuchając opowiadań starego, który osobistością był ciekawą. umiał opowiadać i, u prawdziwego Bretona rzecz rzadka, mówił dobrze po francusku. Za młodu Kédrik, jak wszyscy zresztą rodacy jego, był marynarzem i jako majtek włóczył się po wszystkich bodaj morzach kuli ziemskiej, którą znał równie prawie dobrze, jak cały miniaturowy światek swej wyspy. Na starość, kiedy dokuczać mu począł wiek i choroba wszystkich marynarzy, reumatyzm, rzucił służbę, przyjął miejsce na odludnej naszej wyspie i tu, jak pustelnik,

kończył swój ruchliwy żywot. Żył dość dostatnio, bo, oprócz mieszkania i pensyi gubernatora wyspy, dostawał emeryturę, jako majtek marynarki trzeciej Rzeczypospolitej. Dni schodziły mu na karmieniu zwierzyny powierzonej jego pieczy, na łowieniu ryb na wędkę, w czem mistrzem był niedościgniony, i na paleniu fajki, która nie opuszczała go na chwilę. Cały mały świat jego królestwa znał go i uważał za swego; bażanty i króliki ledwie ustępowały z drogi, kiedy przechodził.

Ponieważ wiedziałem, że strzelanie właściwej zwierzyny robi staremu przykrość, nie niepokoiłem jej prawie. Polowanie zresztą na bażanty i na króliki było żadne, mało zajmujące, bo na upartego wszystką tę zwierzynę wystrzelać było można na wyspie całej w ciągu jednego dnia. Zwierzyna była zbyt oswojona i, naprawdę, uciekając z jednego końca wysepki na drugi, nie miała miejsca, gdzieby się schronić mogła skutecznie.

Polowałem więc raczej, o ile polowałem na wyspie wogóle, na ptactwo wodne, którego była rozmaitość. Włócząc się między skałami, wzdłuż wybrzeży, spotkać można było nad morzem zawsze parę rodzajów mew i kaczek morskich, a dalej bekasy, kulony, burzyki, zwane przez marynarzy »ptakami nieszczęścia«, bo towarzyszą jakoby zawsze statkom, które spotkać ma

w podróży wypadek. Na krawędziach skał, wpatrzone w wodę, zamyślone jakieś, siedziały szeregami kormorany, kruki morskie, jak ustawione w rzędy butelki. Niekiedy, wracając z dalekiej podróży nad przestworami Oceanu, zapadał na na wyspie i odpoczywał, niedosięgalny dla śrutu, król morza i przestrzeni, szerokoskrzydły albatros. Dokoła wyspy, na wodzie, strzelać można było nawet delfiny, których czarne, wielkie ciała przewalały się między falami. Prosili o to rybacy nadbrzeżni, nienawidzący zwierząt tych za szkody w ławicach sardynek i za zrywanie sieci. Ktoby więc chciał strzelać — było do czego.

Nie strzelałem jednak, a przynajmniej strzelałem tak mało, że wspominać o wydarzeniach myśliwskich z pobytów mych na wyspie nie warto. Głęboki urok wycieczek i chwil spędzanych na skałach, wśród morza, tkwił gdzieindziej.

Od strony wybrzeża na samym skraju wyspy leżały dwie odosobnione, wysokie skały granitowe. Dostać się na ich wierzchołki można było tylko od strony wyspy, bo od strony morza zbocza były prostopadłe, spadające jak ściana. Widok ze szczytów skał tych był najpiękniejszym może widokiem, na jaki danem mi było patrzeć kiedykolwiek nad morzem. U stóp skał, wciśnięta między potężne złomy granitów,

na wodzie, jak nędzna łupinka czerniła się łódź, która przywiozła nas z brzegu, a wydawała się tak małą i tak słabą, że pojąć było trudno, jak ostać się mogła wobec ogromów i potęgi, które tam były dokoła. Przy łodzi nie było nikogo i, jak sięgało oko, nie było nic żyjącego, tylko Ocean, niebo, słońce i nieskończoność przestworów. W oddali majaczył na widnokręgu brzeg, całe dziesiątki mil wybrzeża, na którem, warując od wieków, jak czarne, morskie potwory, bronią przystępu olbrzymie głazy granitu. Dalej na wybrzeżu, ledwie widzialne, zielone łąki, szachownice pól, miasta, wieże kościołów, czarne plamy lasów i jeszcze czarne skały granitowe. Pół Bretonii leży przed nami, jak na dłoni.

Bretonia! Zdumiewający, niepojęty zakątek Europy; ziemia marynarzy niezrównanych, rycerzy i granitów, ziemia, o którą, jak o skałę nadbrzeżną, rozbijały się fale najeźdźców, zagrażających Francyi od strony morza. Na tronie swoim w Wersalu król siedział bezpieczny, jak żywy mur, zasłaniały go piersi odwiecznych monarchistów, Bretonów. Bohaterska ziemia! zlana krwią najezdniczych Hiszpanów, Anglików, Holendrów, splamiona bratnią krwią niebieskich i białych, walczących pod wodzą Szuana. Dziwna ziemia legend, baśni i tradycyi! Kraj, słynący porówno z legend i z zabobonów, kraj od-

pustów i zażegnywań, kraj Męk Pańskich, krzyżów i kościołów z rzeźbionemi misternie kamiennemi wieżami i kraj zaczarowanych jaskiń, w których dziś jeszcze, według podań krążących wśród ludu, mieszkają smoki. Ludzie czczą tam przeszłość, wspomnienia, mówią, myślą i wierzą, jak wierzyli ich pradziadowie.

Smutny, dziki kraj, zapatrzony w minione, posępny czegoś, zasłuchany w szum morza, szepcącego wiecznie u jego brzegów.

Ze szczytu skały, na której spędzałem godziny całe, widać było tylko niebo, toń i błękitny bezmiar przestworów, przez które myśl leciała daleko, na drugą stronę ziemi, do krajów, w których, na nocny odpoczynek, spać chodzi słońce.

W słoneczne, ciepłe dni, kiedy wiatru niema i kiedy cisza zalegnie na morzu, z wody lekki, przejrzysty jak tchnienie, wstaje błękitny opar i przesłania dal, w której niebo styka się z tonią. Świat cały jest wtedy, jak niezmierzone, błękitne przezrocze bez granic i bez końca, w którem niebo i morze zlało się w lazur, nad którem świeci słońce. Wybrzeża, miasta, czarne granity u brzegu, białe latarnie morskie są wówczas jak złudzenie, jak obrazy rzucane na błękitnym ekranie, które zniknąć mają za chwilę. W przestrzeni, na tle lazuru pojawi się niekiedy biała mewa, żagiel, albo chmurką zalegnie dym

za niewidzialnym statkiem, idącym na drugą półkulę, pod zwrotnik. W dni takie, w błękitnej przestrzeni, niepodzielnie panują cisza i spokój odwieczny. Czasami tylko, od brzegu, doleci głos dzwonów, toczy się po falach coraz dalej, dalej, leci w przestworza i kona na Oceanie.

Dokoła wszystko mówi o nieskończoności: niebo, słońce i przestwory morza. Wszystko, na co spojrzeć, istnieje od wieków i wieki istnieć będzie. Człowiek tylko przemija i kończy się — on i jego dzieła. Przychodzi, rzadko tylko rozumie majestat, który jest dokoła, i — przemija.

Wymierały pokolenia, ginęły narody, waliły się trony, na ołtarzach coraz to nowych stawiano bogów, znikał człowiek, jak atom w przestrzeni, bez śladu, znikały jego największe dzieła, a odwieczna potęga przyrody trwa, zawsze ta sama, niezmieniona, niepożyta. Jak przed wiekami szumi potężnem swem tchnieniem Ocean, jak przed wiekami wschodzi i zachodzi słońce, jak przed wiekami nieruchomo leżą u brzegu czarne granity.

W pogodne dni, pod wieczór, kiedy słońce nizko, na morzu, przed przypływem, budzi się życie i cała olbrzymia, niezmierzona przestrzeń jego zasiewa się złotem. Na fali, jak sięgnąć okiem, mienią się i tańczą, jak iskry, złote łuski. Kiedy tak przewala się w swem piaszczystem łożu i, przelewając złoto, igra ze słońcem,

Ocean ma w sobie coś z rozkosznego, rozbawionego dziecka, tyle w nim jest życia, bezcelowych ruchów i tyle figlarnej ponęty. Biegnąc miękko po brzegu, jedna za drugą, fale gonią się i gonią na piasku, pełzając u nóg, jak białe, pokorne psy. Takiem wydawać się musiało morze pierwszym żeglarzom, kiedy przez ciche te, jasne przestworza płynąć chcieli do krajów wiecznego lata, do krajów, skąd przywozić można perły i korale. Wabiła ich tajemnica zagadki ukrytej za widnokręgiem, toń zasiana złotem i szept fal, pieszczących brzegi. Do zaczarowanych, nieznanych krain płynęli, choć wiedzieli, że w tym spokoju i wśród tych blasków mieszka śmierć.

W nocy, kiedy przypływ dosięga swej pełni i kiedy fale idą wysoko, Ocean zmienia oblicze.

Z czarnych, tajemniczych przestrzeni naprzemiany idą odgłosy groźne, to znów żałosne, jak jęki, jak skarga tych, którzy z podróży swych nie wrócili, których Ocean zatrzymał za zawsze. Z ciemności, jak stada lwów, potrząsając białemi grzywami, lecą rycząc i wyjąc szeregi fal coraz wyżej spiętrzonych, coraz groźniejszych. Na czarne skały, strzegące brzegów, rzucają się z wściekłością, coraz zapalczywsze, coraz zajadlejsze, w dzikim chaosie kłębią się i huczą między granitowymi złomami, aż, zwyciężone, nikną bezsilnie w wirach i, posłuszne odwie-

cznemu prawu przyrody, która nakazała odpływ, ustępują. Nazajutrz Ocean, błękitny znowu, śmieje się do słońca, bawi się światłem i — wabi ludzi.

Tak co dnia od wieków, od lat tysięcy, od pierwszych dni stworzenia. Ludzie rodzą się, aby umrzeć — On istnieje wiecznie.

NA ŚWIĘTEGO HUBERTA.

Hr. Róży Zamoyskiej.

O brzasku, przed świtem, zanim na wschodzie pojaśnieje niebo, w dziedzińcach raźnie, powłóczyście rozlega się trąbka. Dźwięcznie, donośnie zerwały się skoczne nuty pobudki, zatrzepotały w powietrzu i, jak pierwsze ranne ptaki, poleciały dzień zapowiadać i budzić do życia. Wszędzie trafiły, wszędzie dotarły, mimo mroku i pozamykanych szczelnie drzwi. Jeszcze nie przebrzmiały, a już w stajniach otwierają bramy, już czyszczą i ubierają konie. Już nad kuchniami pojawił się dym z komina, już coraz to nowe okna zapalają się światłem we dworze.

Gdzie spojrzeć, ruch, krzątanina i gwar, poprzedzające dni polowania. Od dworu kucharz w białym fartuchu niesie coś na wielkiej tacy, z wozowni wytaczają pojazdy dla myśliwych, do lasu, a wszędzie hałas, pośpiech, aż dziwią się wróble, wcześniej, niż co dnia, zbudzone pod strzechą. Wyciągniętego kłusa wjechał strzelec w bramę, u bocznego wejścia zeskoczył z konia zadzwonił i oddał raport.

We dworze nie śpią już i szumią, jak w ulu. Dzwonki dzwonią na korytarzach, biega służba do pokoi, w których stoją myśliwi, wchodzą strzelcy.

— A co tam na świecie? — stare jak świat, pierwsze pytanie myśliwego w dniu polowania.

— Mgła, ale wytrze się, będzie pogoda.

— A chwała Bogu, byle nie padało.

Snadź łaskaw na nas święty Hubert, bo to dziś trzeci listopada. Jego dzień, na Jego więc cześć i pod Jego wezwaniem odprawić się mają łowy. Ciemno jeszcze, kiedy do jadalni, gdzie na oświetlonym rzęsiście stole zastawione czeka śniadanie, ściągać zaczynają myśliwi. Po dwóch, po jednemu, według tego, jak mieszkają i jak którego dłużej u poduszki zatrzymał Morfeusz. Po chwili zresztą nie brak nikogo, a wszyscy już w rynsztunku, już ubrani do lasu, przy kordelasach, bo tak trzeba, kiedy ruszają do kniei na królewskiego zwierza.

Na dzień dobry gospodarz oznajmia, że dopiero co przyszedł raport z lasu. Dziki są »pewne« — stada i pojedyńcze, grube sztuki. Czego tu do szczęścia zapragnąć więcej! Kompania miła, polowanie królewskie, pogoda, wszystko idzie, jak z płatka.

To też humory nadzwyczajne, aż kipi, za stołem rozmowa głośna, swobodna, za swobodna nawet, bo pani do śniadania pierwszego nie przy-

chodzi, żarty, dowcipy nie zawsze cenzuralne, strzelają, jak rakiety. Atmosfera panuje podniecona, pełna nieuświadomionych, tlejących nadziei i oczekiwania tych wrażeń i wstrząśnień, których pożądamy, a które czekają nas w najbliższej przyszłości. Ale nie czas na fraszki i na gawędę. Gospodarz nagli, bo do kniei dwie mile z okładem; wstajemy. Jeszcze chwila zamętu, biegania, nawoływań. Ten woła strzelca, ten szuka rękawiczek, inny zapomniał naboi. Wózki szeregiem zachodzą przed podjazd, dwór pustoszeje. Ruszamy.

* * *

Powoli, leniwie wstawał dzień. Nad ziemią białym, zwartym tumanem leżała mgła, a drzewa, las, stogi na polach i wsie, przez które prowadziła droga, majaczyły tylko, jak stare, wyblakłe sztychy, i ledwie rozpoznane, rozpływały się w oparach, jak widziadła. Na wschodzie nad lasem walczyło z chmurami słońce i próbowało przedrzeć zasłony, co przesłoniły świat. Od ziemi chmury poczerwieniały, na niebie w różowych i seledynowych blaskach pojawiło się światło. W ten ponury jesienny ranek świętego Huberta jutrzenka przychodziła smutno, jakby swych losów niepewna, jakby nieśmiała, a jednak gotowa witać uśmiechem szary, posępny świat. Jak okiem

sięgnąć, odarta czarna ziemia leżała martwa i naga, jak trup, którego białym całunem nie nakryli jeszcze żałobnicy. Pola były puste, bez życia; od łąk, od lasów szedł zapach liści umarłych i zgnilizny. Kracząc nad zoraną ziemią, podlatywały wrony, szukając żeru, pies zaszczekał na drodze, od chłopskich stodół szedł łoskot cepów, bijących zboże na tokach. Na niebie jednak przecierało się, i coraz to szmatami przeglądał błękit z pomiędzy chmur.

Szyta złotemi strzałami słońca, mgła kryła się, pełzała po ziemi, jak gad, wiła się, dymiąc nad kotlinami łąk i bagien, taiła się pod ścianą lasu, zapadała w ziemię i nikła. Coraz to dalej, dalej sięgało oko; coraz to szerszy otwierał się świat. Już na widnokręgu majaczą lasy, do których rączo idą konie; szeroką, siną ławą zaległy przed nami drzemiące jeszcze, przesłonięte mgłami, ciemne, głębokie i tajemnicze, jak zagadka.

* * *

Pierwszy miot, pierwsze stanowisko, pierwszy dreszcz świeżej jeszcze, niezużytej nadziei. Już odrzucone futro, już nabite strzelby, już błyszczą w promieniach wschodu czarne, stalowe lufy sztucera.

Zaczyna się hazard, pełen niewysłowionego

uroku, febry i oczekiwania. Tuż za myśliwym, na stanowisku na leśnej drożynie, nieruchomy i milczący, jak głaz, stoi przyboczny strzelec i trzyma strzelbę na zmianę. Przed stanowiskiem, jak morze, głęboki i, jak morze, tajemniczy, zwartą ścianą stoi las sosnowy, zielony. Smutny, jesienny las, cichy jeszcze i śpiący, a taki swojski, taki znany, kochany od dziecka. Wyrósł razem z myśliwym, chowali się razem, pokochali za młodu, jedną mają duszę. I — bez słów zaczyna się rozmowa dwóch starych przyjaciół, rozmowa przez nich tylko rozumiana, dla nich tylko dostępna, pełna szeptów, czaru, obietnic i dreszczów rozkoszy.

— Powiedzże, miły, co ześlesz mi dzisiaj, co kryjesz dla mnie w swych głębiach, powiedz, czy to dziś mój dzień.

A nad świerkami ranny wiatr przejdzie, i las odpowiada szeptem:

— Cicho, zobaczysz, cicho, cicho!

Krew ucieka do serca, mimo zimnych pocałunków mgły pali twarz; dreszcz przechodzi po skórze. Cichy, nieodgadniony, zamknięty w sobie las coś szepcze, coś opowiada: wiatrem, kiedy zagra suchymi liśćmi, szelestem spadającej gałązki, ciszą i oczekiwaniem.

»Cicho. — Próżno myśliwi natężają ucha,
Próżno, jak najciekawszej mowy, każdy słucha

Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka:
Tylko muzyka puszczy gra do nich z daleka«.

Aż gdzieś daleko, gdzieś w głębi mrocznej kniei oczekiwana przecież, a taka niespodziana, nagła trąbka zagrała. Żałosna, przeciągła nuta zerwała się, rozdarła ciszę, poleciała przez las, jak ptak coraz dalej, dalej, coraz to nowe podnosząc echa, coraz to dalsze budząc ostępy; zagrała i ucięła. — Ruszyli — szepnął strzelec. Obrazy, tylekroć widziane, czar wrażeń przeżytych, a jak trudno uchwycić je, wytłómaczyć i przelać na papier!

Na myśliwych powiała szerokiem skrzydłem Nadzieja, serca zabiły żywiej. Jeszcze drgały w powietrzu ostatnie tony trąbki, jeszcze nie przebrzmiał sygnał, jeszcze odpowiadały gdzieś daleko echa, a już w kniei zbudziło się życie. W ostępie zrywały się i leciały na myśliwych szmery jakieś i głosy, dalekie jeszcze, mętne, ledwie uchwytne i odgadywane raczej, niż posłyszane. To zbliżały się coraz wyraźniejsze, to cichły i tonęły w głębinach lasu. Gdzieś daleko ptak zatrzepotał, zrywając się do lotu, coś zatętniało, głos jakiś krzyknął w obławie — i znowu było cicho, tak cicho, że słychać było własny oddech i daleko, w lesie kucie dzięcioła. A jednak w tej ciszy grała »muzyka puszczy« tak, jak słyszał ją Mickiewicz.

Wszystkie umysły napięte były i w oczeki-

waniu tego czegoś, co, ukryte jeszcze dla wzroku, nieznane i niepewne, szło jednak ku nam z kniei, zagarniętej ławą obławników. A obława była cicha, najwięcej upajająca, najwięcej drażniąca wyobraźnię, obława, w której czekać i spodziewać się trzeba nieustannie. Miot był zwarty, obiecujący; las pachniał grubym zwierzem. Pod ciemnem sklepieniem sosen i świerków, w podszyciu leszczyny i jałowców oko nie sięgało dalej, niż strzał, do którego gotowym trzeba było być każdej chwili. Już na lewem skrzydle krótkie, urwane trzasnęły dwa strzały bezdymnym prochem, jak dwa klaśnięcia biczem. Ze stadka cietrzewi, ciągnącego nad linią, jeden zatrzymał się nagle i spadł, jak kamień, za stanowiskiem.

W miocie coraz więcej ruchu. Z palcem na cynglu stoją myśliwi, czujni, jak żórawie, wpatrzeni w zieloną ścianę, nasłuchując, skąd przyjdzie zwierz. Na trzeciem, czy na czwartem stanowisku rozległ się suchy, dobitny strzał ze sztucera.

— Do dzików strzał — szeptem przestrzega strzelec. Od pierwszej chwili uwaga napięta jest do najwyższego stopnia, bo co cenniejszy, szlachetny zwierz rusza przed obławą zdaleka i pojawiać się przed stanowiskiem zwykł wcześnie.

W tej ciszy oczekiwania, na przeciągniętych nerwach, jak na strunach, najlżejsze, najniklej-

sze grały odgłosy; szmery w liściach, leżących na ziemi, ptak, przelatujący z drzewa na drzewo, szelest spadającej z drzewa gałązki, znowu padły dwa strzały dalej na lewo i jeszcze jeden bezpośrednio tuż obok na sąsiedniem stanowisku. Zatętniało — i od strony, w której strzelono, wypadło na oślep rozpędzone, rozhukane stado sarn: pierwsza, druga, trzecia — same kozy. Ej, rwą przez jałowiec, aż ziemia pryska z pod racic, wyciągnęły się, jak strzały. Dopadły, zawahały się chwilę, jednym susem przesadziły linię i, błysnąwszy białymi talerzami, zniknęły w gąszczu za myśliwymi. Kozła nie było przy stadzie, padł od strzału sąsiada.

Jeszcze chwiały się roztrącone przez sarny zarośla, jeszcze słychać było trzask uciekającego stada, kiedy między wrzosami mignęło coś przed stanowiskiem. Tym samym prawie tropem, pełzając między jałowcami, jak wąż, chyłkiem, pocichutku, wzdłuż linii pomykał lis, jak długa, żółtawa gąsienica. Jeszcze jeden duży krzak jałowca, potem odkryte miejsce; broń już przy twarzy. Wychyla się z za krzaka śpiczasty pysk, chytra głowa z wielkiemi, otwartemi szeroko oczyma, nie dalej, jak piętnaście kroków. Stanął i — jak piorunem rażony, bez ruchu upadł we własnym tropie.

Strzelec podać zdążył zaledwie drugą strzelbę, kiedy na linię wyskoczył zając; zatrzymał się,

przysiadł i, tak jak lis, padł od jednego strzału. Coraz żywiej, coraz gęściej strzelano na całej linii myśliwych. Strzały padały po jednym, po dwa, po kilka naraz; całą linię ogarniała atmosfera febry.

Jeszcze zając, jeszcze szczęśliwy strzał, drugi mignął tylko, kiedy zmieniałem strzelby, i poszedł za linię nie strzelany. Na jednem z dalszych stanowisk postrzelił ktoś dzika. Jak na dłoni, widać było, jak ciężko ranny powlókł się przez drogę. Obława zbliżała się, bo w miocie roiło się od zwierza. Po jednemu, po kilka naraz zające migały przed stanowiskami, słychać było cietrzewie, zrywające się z pod naganiaczy. Przeciągnęła słonka i — poszła chybiona. Coraz to częściej słychać było wzdłuż linii »Pilnuj«, albo »Tire-haut« ostrzegających się wzajemnie myśliwych, coraz to gęstsze rozlegały się strzały.

Myślałem właśnie w duchu, że dzików po tylu strzałach trudno się już w miocie spodziewać, kiedy zaszeleściało w liściach, zatrzeszczała sucho łamana gałązka. Zwróciłem głowę i — skamieniałem, krew oderzyła mi do głowy. Całe stado było przed stanowiskiem. Dwa grube dziki, widocznie sztuki, wiodące stado, stały blizko i, wietrząc, badały otoczenie. Z nastawionemi czujnie uszami, łowiąc podniesionymi ryjami wiatr, stały nieruchomie, jak uosobienie rozwagi i ostrożności. Reszta stada stała za nimi głę-

biej, rozsypana w zaroślach, i wyczekiwała niepewna, dokąd poprowadzą je przewodnie samury. Pod ciemnem sklepieniem drzew migały w podszyciu i snuły się przez jałowce czarne, masywne postacie, bez hałasu, jak cienie. Ledwie trzasnęła sucha gałązka, ledwie zachwiała się poruszona paproć. Bacząc, czy ruchu tego nie dostrzegą, powoli, ostrożnie odstawiłem strzelbę i sięgnąłem po sztucer, oparty o drzewo. Tymczasem, jak na zamówienie, strzelił ktoś na skrzydle.

Prowadzące dziki, nasłuchując, zwróciły głowy, już nie patrząc w stronę stanowiska, ruszyły niespokojnie i przystanęły znowu, wahając się, w którą uderzyć stronę. Kurcz ściskał mnie za gardło, kiedy podnosiłem dłoń do ramienia, zęby szczękały mi, jak w febrze. Za samurami ruszyło stado, i coraz to więcej dzików, coraz to dalsze sztuki wynurzały się z gąszczu; mniejsze, większe i zupełnie małe, tegoroczne warchlaki.

Duży, karasiowaty wycinek wysunął się z jałowców, pokazując mi bok cały. Do tego zmierzyłem. Muszka minęła ryj, potem małe błyszczące oczy, przesunęła się pod nastroszonemi uszami, pod grzywą na karku — niżej trochę, padł strzał. Zaszumiało, zakotłowało się, jak gdyby ruszyć się miał z korzeni las cały, zatrzęsły się zarośla; stado runęło, jak czarna la-

wina. Z łomotem, z trzaskiem, prując krze jałowców, kładąc co mniejsze drzewka, czarne, grube sztuki przewalały przed stanowiskiem, aż ziemia stękała. Ogromna maciora, trafiona drugą kulą, rulowała w ogniu.

— Nabijaj, nabijaj!

Drżącemi od pośpiechu rękoma otwarty sztucer, odrzucony wystrzelony ładunek, jeden tylko, na drugi niema czasu. Strzelec wsunął nową kulę. Jeszcze widać ostatnie sztuki ze stada, jeszcze strzał — i ze strzaskanym krzyżem leży trzeci dzik za linią.

— A to dobrze poszło! — aprobuje strzelec — doskonale!

Wzruszeni obadwaj, oddychamy głęboko po przebytych wrażeniach. Pomykają jeszcze zające, ale te małą już tylko budzą uwagę, i strzelamy je, jak z łaski.

Zresztą miot już skończony, między drzewami widać obławników, na skrzydłach wyszli już na linię. Myśliwi schodzą ze stanowisk, obława i strzelcy zbierają i znoszą zabitą zwierzynę. Strzelec dobija kordelasem dzika, który rzuca się ze złamanym krzyżem; pierwszy akt jest skończony. Sześć dzików, rogacz, cietrzew, dwa lisy i kilkanaście zajęcy leży na rozkładzie.

Śpieszymy do drugiego miotu, gdzie rozstawiona już czeka druga obława.

Wieczór — za ciężką, rudą chmurę zacho-

dziło słońce. Nikłym, bladym promieniem ozłociło wierzchoły sosen po raz ostatni i zgasło. Krajobraz posmutniał, zacierały się reszty barw, w lesie zaćmiło się złoto liści, poczerniała zieleń, która żyła jeszcze na łące; na ziemię, osłaniając świat mrokiem, schodziła posępna, jesienna noc. Już w kniei ucichły strzały, umilkł już gwar obławy; łowy były skończone. Tylko żywiej biły serca, tylko złudzenie trąbki grało jeszcze w uszach. Razem z wieczorem przychodził spokój, ziemia układała się do snu. Powiało chłodem, po lesie wiatr zaszumiał, nad łąką wstawała mgła. Czarne ptactwo gromadami ciągnęło od pól i zasiadało w lesie na nocleg; na niebie zapalały się pierwsze światełka gwiazd. Noc, smutek i cisza szły na świat.

W lesie, na polanie, u czarnej ściany drzew na czterech wysokich palach, spowitych wieńcami, palą się w żelaznych koszach cztery wielkie, smolne ogniska, jak wielkie, jasne pochodnie, jak cztery stosy ofiarne. Czarnym warkoczem dym z ognisk idzie, przewala się, jak smok, i długą smugą, usianą iskrami, płynie nad lasem.

Jasno świecą ogniska, a pod zielonymi wieńcami, na usłanym z jedliny kobiercu, na rozkładzie, śpi snem ostatnim zwierz. Na czele, na pierwszem miejscu czarny, królewski zwierz — dziki. Srebrzą się w blasku sumiaste grzywy szczeciny, u odyńców bieleją kły, jak złoto,

mieni się w ogniu ruda, puszysta barwa lisów, a dalej zaległy płowe rogacze, lekkie jeszcze i smukłe mimo śmierci, co skuła im ruchy. Dokoła starszyzny, jak szary leśny tłum, zaległ pokotem pokorny ludek zajęczy. Gdzie jaśniej zaświeci płomień, tam koralami czerwieni się krew.

Za pochodniami, pod lasem, już w mroku, z trębaczami na czele stanęła obława i straże. Gdyby nie jasne oczy kobiet, spoglądających ciekawie z pod kapturków, i nie gromadka myśliwych na pierwszym planie, myślećby można, że to całopalenie, albo średniowieczny, uroczysty obrząd na cześć świętego Huberta, taki, jak odprawiany był niegdyś po łowach szczęśliwych. Cicho, tak cicho, że słychać trzask płonącego łuczywa. Zebrani milczą i są pod urokiem obrazu, bo nie często dano oczom myśliwego oglądać piękniejszy. Nikt nie znajduje słowa i nie odzywa się pierwszy, ale ten niemy podziw i ta cisza wymowniejsze są i milsze gospodarzowi, niż głośne słowa podzięki.

Łowczy dał znak, strzelcy podnieśli do ust trąbki i zgodnie, na komendę odezwała się fanfara.

Poniosła się het pod niebo, potoczyła się po ziemi i, zbudziwszy zasypiające knieje, przeniknęła las cały. Faun, który gonił Rusałkę, zatrzymał się zawstydzony, ptaki podniosły głowy,

stado dzików, stojące nad bagnem, ruszyło, sarna w półskoku stanęła na leśnej drożynie, a spłoszony lis zaszył się w haszcze i nasłuchiwał.

Z trąb równą falą, jak hymn, płynęła melodya, leciała wysoko i konała gdzieś pod chmurami. Z nad czarnych sosen jasny miesiąc wyjrzał, zdziwiony, kto śmie zakłócać nocny spokój. Zaświecił, przejrzał się w martwych źrenicach i, obojętny, powędrował dalej kończyć nocne straże. A wyżej jeszcze, z nad gwiazd i z nad miesiąca spoglądał święty Hubert, patrzył, cieszył się, że ma takich synów na ziemi i — błogosławił.

* * *

Noc, zaszedł miesiąc, śpią knieje. Tylko nad lasem czerwieni się jeszcze łuna rozkładu. Dłużej świecić będzie wspomnienie; wdzięczność nie zgaśnie nigdy.

SPIS RZECZY

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa w Warszawie

	Rb. k.
Barszczewski L. Czerwony Mesyasz. Ze wspomnień włóczęgi	1.—
Bartkiewicz Zygmunt. Pierwszy grzech	1.40
— Słabe serca. Wyd. 2-gie	1.80
Choiński Jeske T. W pętach wolnej miłości	1.40
Czerwony Kogut. Nowele litewskie z przedmową Józefa Weyssenhoffa. W kolorowej okładce	1.50
Gomulicki W. Bój olbrzymów. Powieść historyczna z 1813 r.	2.—
Gruszecki A. Pod Czerwonym Wirchem	1·80
Huskowski Jan. Gesty. Powieść	1.20
Jeleńska E. Trzy pokolenia. Powieść	1·35
Konczyński T. Bunt. Powieść współczesna	1·60
— Zawrotne drogi. Powieść współczesna	1·50
Koszutska-Jahołkowska L. Z oddali. Romans	1.35
Lemański J. Dzień i noc	1.60
Lubińska Teresa. Jarzmo miłosne	1.80
Makuszyński K. Awantury arabskie	1.60
Marcinowska J. Vox Clamantis. Powieść z czasów Chrystusa	1.50
Olechowski G. Uświadomiony	1·35
Orsyd. Własną drogą. Powieść współczesna	1·80
Ostrowski St. Rok klęski. Powięść na tle r. 1812	1·50
Paszkowski Edward. Rozbitki. Powieść z kroniki kresowej	1.50
Perzyński W. Dzieje Józefa	1·50
Przybyszewski St. Dzieci nędzy	2·—
— Święty Gaj. »Mocnego Człowieka« część trzecia i ostatnia	2.—
Reymont Wł. St. Chłopi. Powieść współczesna I. Jesień. II. Zima. III. Wiosna. IV. Lato.	6.—
— Marzyciel. Szkic powieściowy	1.60
— Rok 1794. Ostatni Sejm Rzeczypospolitej. W ozdobnej okładce	2·50
— Wampir. Powieść teozoficzna. Wyd. 2-gie	1.80
Tetmajer Kazimierz. Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem. Anegdota. Wyd. 2-gie	1.80
Weyssenhoff Józef. Gromada	2.20
— Soból i panna. Wyd. 2-gie	2.20
— Znaj Pana	1.50
Wielowieyska E. Ku jutrzni. Powieść współczesna	1.60
Wierzbiński M. Oaza miłości. Powieść z życia utopistów .	1.50
Włodkówna Bron. Proste dzieje	1.20
Zapolska G. Kobieta bez skazy. Powieść	2·—
— O czem się nawet myśleć nie chce	2.—
— O czem się nie mówi. Powieść. Wyd. 2-gie . . .	1·50
Zeromski S. Aryman mści się. Godzina. Wyd. 2-gie . .	—·90
— Ludzie bezdomni. Powieść. 2 tomy. Wyd. 5-te . .	2·—
— Opowiadania. Wyd. 3-cie	1·35
— Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX w. 3 t.	3·—
Żmijewska Eug. Jutro. Powieść	1.80
— Młodzi. Powieść	1 60